

TOM CCLXXXIII.

ROK 71.

ZESZYT 847.

De. III

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

L I P I E C

1911.

TOM III.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

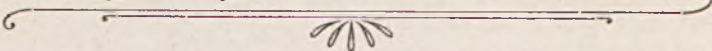
—
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str</i>
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	
2. SIELANKI KARPIŃSKIEGO,—przez <i>Witolda Zosela</i>	17
3. SĄSIEDZTWO HISTORYCZNE UKRAINY KOZACKIEJ, — przez <i>Fr. Rawitę-Gawrońskiego</i>	71
4. HENRYK DE RÉGNIER,—przez <i>J. Szarotę</i>	95
5. W SPRAWIE FILOZOFII SZTUKI,—przez <i>Michała Sobeskiego</i>	120
6. PSALTERZ DZIECKA,—przez <i>M. Konopicką</i>	137
7. NOWOSILCOW A ŻYDZI,—przez <i>Dawida Kandla</i>	147
8. SONYTY MIŁOSNE A. MICKIEWICZA A PANI KOWALSKA, — przez <i>prof. d-ra A. Pogodina</i>	150
9. STOPIEŃ WŁADANIA ZIEMIĄ A STOSUNKI LUDNOŚCIOWE W ZABORZE PRUSKIM,—przez <i>Józefa Frejlicha</i>	160
10. UZBROJENIE PANCERNIKÓW DZISIEJSZYCH,—przez <i>St. B.</i>	168
11. PIŚMIENICTWO:	
St. TARNOWSKI: „Julian Klaczko“ I i II,—przez <i>Miecz. Rettingera</i>	175
BOLESŁAW LIMANOWSKI: „Szermierze wolności,“ — przez <i>St. Szpotkańskiego</i>	182
BRAWER A. J. DR.: „Galizien wie es an Oesterreich kam,“—przez <i>I. B.</i>	184
ADAM SKAŁKOWSKI: „En marge de la correspondance de Napoléon I,“ przez <i>H. M.</i>	186
12. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Bilans sesyi Izb.—Referat komisji w sprawie chełmskiej.—Interpelacya Koła w sprawie nauczania wspólnego. — Wyższa uczelnia rolnicza w Warszawie i jej znaczenie.—Prawa języka polskiego w sądach, w procedurze, w sprawach włościańskich i gminnych.—Zjednoczenie opinii polskiej na Litwie.—Oplakane wybory w Galicyi	189
13. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	204

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 283.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1911. — Tom III.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1911.



De. 11. 1.

OPOKA.

XXXIII.

Dokonane na osobie Śniałowskiego zagadkowe morderstwo, o którym gazety podały w kilka dni potem krótkie wzmianki, nie obudziło zainteresowania. Nie zwrócono uwagi i na zamieszczony w konserwatywnem piśmie piękny i poważny artykuł, w którym anonimowy autor — hrabia Tobiasz — z oburzeniem piętnował zabójcę i gorąco stawał w obronie nieposzlakowanej opinii zmarłego. Społeczeństwo przyzwyczaiło się już do tego rodzaju rozpraw, a ofiara zbrodni była mało znaną szerszemu ogółowi. Nie wiele tedy osób podażyło za trumną działacza na cmentarz. Oprócz rodziców i szczupłej garstki ich znajomych, mieszkających w mieście, na pogrzeb stawili się tylko Paweł i hrabia Tobiasz. Kondukt żałobny, wyjątkowo nieliczny, nieożywiony udziałem gapiów, zbierających się zawsze i wszędzie, przeciągał przez ulice sierocym orszakiem. Niejeden przechodzeń, widząc pustki za okazałym karawanem, zatrzymywał się i, uchyliwszy kapelusza, z ciekawością zapytywał, kogo też chowają, a usłyszawszy nic nie mówiące nazwisko Śniałowskiego, obojętnie szedł dalej. Inię bojowca, głośne w pierwszym okresie rewolucyjnym, przebrzmiało oddawna, o krwawej zaś działalności jego nie wiedział nikt.

Dzień był pochmurny, brzydki i przykry. Od samego rana padał naprzemian z deszczem mokry śnieg olbrzymimi płatami, ulice rozblóciły się, z dachów lały się strugi wody. Sentymentalne spostrzeżenie, które uczyniła jedna z pań, że i niebo rozplakało się z żalu nad życiem, tak niemiłosiernie przerwaniem,

zgadzało się najzupełniej z rzeczywistością, ale właśnie dlatego wszyscy, z wyjątkiem najbliższych, niecierpliwie wyglądali końca ceremonii oraz powrotu do ciepłych i suchych mieszkań. I pogrzeb odbywał się w przyspieszonym tempie. Gdy skręcono w boczną ulicę, wszyscy usiedli do powozów. Szybko potoczyły się wielkie hafaśliwe koła karawanu... Paweł, którego wzruszała zwykle każda śmierć, tym razem co chwila spoglądał na zegarek. Okoliczności złożyły się tak, że tegoż dnia po południu wypadało mu jechać do Naborowa, a zamierzał spędzić jeszcze kilka godzin u narzeczonej. Obliczał więc z niepokojem czas, a dla zabicia czasu próbował rozmawiać z hrabią Tomaszem, z którym jechał w karecie. Napomknął coś o ślubie, o swoich kłopotach wiejskich z przygotowaniem domu, o inauguracyjnym zebraniu bractwa „opoka,” które miało odbyć się przed wieczorem w pałacu Mirskich, ale słowa jego rozbiły się, jak o mur, o kamienne milczenie towarzysza. Milczeli potem już obaj. Hrabia Tobiasz z podniesionym kołnierzem palta, z kapeluszem nasuniętym na czoło, wpatrzony nieruchomem spojrzeniem w szybę, po której spływały krople deszczu, wyglądał tragicznie prawie i trwał w posępnej zadumie, myśli Pawła krążyły dokoła szczęścia, które posiadał, i były, jak zwykle w szczęściu, samolubne, płytkie, pospolite. Zajmowały go: sprawa zawiadomień ślubnych i portyer, które nie nadeszły jeszcze z Londynu, treść depezy, otrzymanej wczoraj z Naborowa, jakiś żart księżniczki, którego nie potrafił zgłębić, niesłowność rzemieślników, obrzydliwy i głupi anonim, w którym uprzedzano go, że księżniczka nie otrzyma nigdy ani grosza po swoim wuju, hr. Tobiaszu. Ani razu ani tam w kościele, ani podczas eksportacji nie zajrzała mu w oczy groza tej śmierci, takiej przedwczesnej i okrutnej, i nie odezwały się w sercu wspomnienia dawnej ze Śniałowskim przyjaźni. „Niechaj umarli grzebią swoich umarłych“ — przed nim rozpostarło się życie, radosne i długie... Pomyślność otoczyła Pawła nieprzystępną ścianą i odgrodziła go od reszty ludzkości. Niedola wydawała się Pawłowi przykrym a niewłaściwym wyjątkiem i spoglądał na nią z wyżyn własnego dobrobytu lekceważąco. Przelotny odruch lietości, która drgnęła w głębi, gdy rozszlochała się matka staruszka i ojciec o typie wybitnie ziemiańskim brał na barki trumnę synarewolucjonisty, stłumiła wnet troska o portyery, które nie nadeszły jeszcze z Londynu. Błady obraz tego, który niegdyś ofiarował mu swoją przyjaźń, który usiłował prowadzić go ku szczytom bohaterstwa, zasłoniło drgające życiem, kuszące widzenie narzeczonej... Myśli krążyły samolubnie dokoła szczęścia...

— Pan dobrze znał zmarłego? — niespodzianie odezwał się hrabia Tobiasz.

— Tak, trochę, w dawnych czasach...

— Zdaje mi się, że panów łączyła przyjaźń...

— Widywaliśmy się niegdyś często... Śniałowski odwiedzał mnie, wtajemniczał w swoje projekty, nawracał, spierał się... Pamiętam, rozmawialiśmy nieraz do rana... Dawne to już czasy... Potem poróżniliśmy się... Śniałowskiemu brakowało zawsze równowagi... a zdolny był... — zawyrokował Paweł.

— Co pan nazywa brakiem równowagi?

— Ludzie nieobliczalni schodzą zwykle ze świata, nie zdziaławszy nic — tłumaczył dalej Paweł, nie odpowiadając bezpośrednio na złośliwe zapewne pytanie — bo stoją poza życiem, budują gmachy powietrzne i nie liczą się zupełnie z warunkami rzeczywistości, na którą złożyła się praca szeregu stuleci... Trzeba wejść w środek życia... Zgasła oto młoda i obiecująca jednostka... Szkoda! Tyle jest wszędzie roboty!... Gdyby zmarły zabrał się był do zwykłych obowiązków!...

Hrabia Tobiasz patrzył w szybę karety i, zdawało się, nie słuchał wymownych dowodzeń swego sąsiada, ale w pewnej chwili przerwał mu:

— Uważam, że pan posiada jakąś uniwersalną receptę na użyteczność — rzekł zjadliwie, zniecierpliwiony tupetem Pawła.

Ten zaś wykładał mu znowu chętnie i dobrodusznie:

— Recepty nie mam i nie dokonałem żadnego odkrycia, ale nauczony jestem doświadczeniem. Chciałem być niegdyś, jak Śniałowski, reformatorem, zbawcą, hetmanem — i zmarnowałem tyle lat. Dziś pogodziłem się z rolą człowieka przeciętnego i rozpoczynam przeciętne życie. Mam zaś nadzieję, że zostanie po mnie jakiś ślad... Praca ziemiańska, praca narodowa na kresach, rodzina... Mon verre est petit...

— Tak — mruknął hrabia Tobiasz i pograżył się w swojej posępnej zadumie. Dumał nad tajemnicą zaświatowych bytów, myślał o zmarłym, który wczoraj jeszcze przeczył i bluźnił, a dziś poznał już wszystko, posiadał całą wiedzę, myślał z żalem, że urwało się tak tragicznie młode życie, że stała się krzywda... Złorzeczył zabójcy, nikczemnym czasom, znieprawionej partyi. Wspominał spotkania i rozmowy ze Śniałowskim i zdawało mu się teraz po niewczasie, że niedocenił, że zraził i odtrącił z pogardliwą pychą tego, który garnał się i szukał pomocy... „Pan z wyżyn swojej doskonałości“ — brzmiały mu słowa nieboszczyka... I trapiły go wyrzuty, że nie potrafił dać serca, że był, jak zwy-

kle, oschły i wyniosły, że nie otoczył opieką, że nie ratował. Hrabia Tobiasz zapomniał zupełnie o swoim towarzyszu... Ale Pawłowi ciążyło milczenie.

— Wyjeżdżam dziś o 3-ej po południu, a chciałbym jeszcze do panny Marylki... O której skończy się pogrzeb? jak pan przypuszcza?... boję się, że będzie zapóźno... — spowiadał się ze swoich trosk.

— Nie wiem.

— Jechać muszę, tymczasem tu tyle niedokończonych spraw... Sądzę, że nigdzie na świecie rzemieślnicy nie są tak niesłowni... Obstałowałem, pilnuję, nagłę...

Hrabia Tobiasz puszczał mimo uszu te skargi, potem, jak gdyby pragnął powrócić do poprzedniej rozmowy, rzekł:

— Pan wyznaje zasadę pogodzenia się z rzeczywistością i potępia zmarłego za to, że był burzycielem... Nie wszystkie środki są dobre... Zapewne... A nie przyszło też panu na myśl, że rzeczywistość może być nikczemną... Gdyby wszyscy zawsze zgadzali się ze złem...

— Twierdziłem, panie — tonem trochę mentorskim odpowiedział Paweł — że przedewszystkiem trzeba wejść w sam środek życia i tam — nie zaś na podniebnych szczytach — pracować dla życia. Marzyciele chcieliby stworzyć w jednym dniu Królestwo niebieskie, ludzkość zaś posuwa się naprzód powoli. Bohaterskie programy nie prowadzą do niczego, bo społeczeństwo w rzadkich tylko okresach zdobywa się na bohaterstwo. Wydaje mi się, że wystarczy złożyć do powszechnej skarbnicy postępu swój grosz użyteczności. Złe istnieje, lecz jest i dobro... Niechby rozkwitały u nas przemysł, rolnictwo, handel, nauka i sztuki, niechby się rozszerzały higiena, zdrowotność i oświata, niech trwa, rozwijając się, naród — a przetrwa.

— Niech każda Numa znajdzie swego Pompiliusza — wstał hrabia Tobiasz.

— I to także — zgodził się niezrażony szyderstwem Paweł — człowiek pragnie szczęścia w krótkim życiu, zakwita niekiedy szczęście na ziemi...

Rozmowa urwała się, bo zatrzymano się już przed cmentarzem. Karawaniarze ponieśli trumnę. Orszak posuwał się zabłoczoną aleją wśród drzew, z krótych topniejący śnieg spływał smutnymi, jak łzy, kroplami. Ciepły wiatr szumiał w огоłoconych gałęziach, poruszał wiszącymi na krzyżach blaszanymi wieńcami, które chwiały się i zgrzytały. Potem urzędowym sygnałem odezwał się żałosny dzwon kaplicy, jak gdyby zwoływał wszystkich,

którzy spali pod ziemią snem wiecznym, do apelu i zwiastował im, że przybył tu ktoś nowy. A było ciasno w tej rozległej krainie umarłych, i zdawało się, że wśród natłoczonych mogił dla nikogo niema już miejsca. Jak w mieście, ciągnęły się tu nieskończone ulice, zaułki, place, dzielnice... Zwartym tłumem sterczały krzyże i grobowce, niezliczonymi szeregami biegły w dal ustawione na olbrzymiej przestrzeni pomniki i kamiennym ściskiem, monotonią pomysłów, nudną jeduostajnością ogrodzeń nużyły wzrok, który, szukając wytchnienia, zwracał się do smutnych na tle pochmurnego nieba nagich drzew, wypatrywał zwarzonych, butwiejących pod śniegiem kwiatów... Było to państwo śmierci... I gdy tam, za bramą cmentarną, wśród zgiełku dnia, trumna umykała bojaźliwie i pośpiesznie z przed oczu i ludzkich, nie chcąc żywym zakłócać radości, tu, w królestwie śmierci, żyjący szli trwoźliwie, bojąc się, rzekłbyś, o swój los niepewny, przerażeni ogromem tego pola poległych, zaskoczeni myślą, że tylu ich jest... tych zmarłych, że i dla nich kiedyś wybije godzina, że trzeba będzie spocząć w ziemi... Nad otwartą mogiłą zaśpiewano „Anioł Pański“ na ostatnie pożegnanie temu, który miał pozostać tu na zawsze. Rodzice ukłękli i, pochyliwszy głowy, spoglądali w grób bezradnie, z tępą obojętnością ludzi, których znieczuliła boleść... Rozległo się czyjeś szlochanie... A gdy sypały się, łopocąc głucho, na wieko trumny grudki ziemi, gdzieś w pobliżu gwiznęła nagle przeciągle, wyzywająco, wesoło lokomotywa mknącego w świat pociągu. Zdawało się, że zabrzmiała naraz radosna i podniecająca do czynu pobudka, że rzucono żywym rozkaz powrotu do życia, że życie zaśmiało się zwycięsko nad śmiercią...

Paweł wymknął się z cmentarza pierwszy. Szybka dwukonna dorożka wiozła rozweselonego do miasta, do pałacu Mirskich. Pogrzeb skończył się wcześniej, niż spodziewał się. Miał jeszcze godzinę czasu. Zwawo wbiegł po schodach, nie odczuwając dziś lęku, którym nękały go zwykle ogromne, posępne, zapełnione ponuremi wspomnieniami pokoje. Śpiesząc, nie wsłuchał się w smętne cykanie zegara, który szemrał, że przemija wszystko, nie zwrócił uwagi na surową, niechętną ludzkemu weselu, twarz umartwionego pustelnika z obrazu... Księżniczka była w bibliotece, ponieważ w salonie ustawiano krzesła i przykryte popielatym suknem stoły przed oznaczonym na dzisiejsze popołudnie posiedzeniem „bractwa Opoka.“ Panna Marylka wstała, żeby powitać narzeczonego, który zatrzymał się przed nią, patrzył w jej oczy pokornie, uległe a zarazem poufale i natrętnie, czekał uśmiechu... Odwróciła wzrok i przez ognienie zwalczała chęć, która

zrywała się w niej zazwyczaj w pierwszej chwili, chęć, żeby uciec, ukryć się pod ziemią, wezwać kogoś na pomoc... Zarumieniła się, zawstydzona tem pragnieniem, bojąc się, że on pozna jej myśli, i uprzejmie podała narzeczonemu rękę. Usiedli. Księżniczka zabrała się do roboty i jęła z zajęciem rozpytywać o pogrzeb. Paweł odpowiadał lakonicznie, z widoczną niechęcią, niezadowolony z tematu.

— Nie mówmy o śmierci, o zmarłych, o niedolach—rzekł—mówmy o szczęściu, o naszej przyszłości...

I rozmiłowanemi oczami dopowiadał to, czego nie mogły oddać słowa.

Księżniczka pochyliła się nad jedwabiami, którymi wyszywała, i zamilkła. Nie mogąc wezwać nikogo, żeby stanął między nią a nim, usiłowała obojętną rozmową odgrodzić się od narzeczonego i jego kochania, ale on burzył wciąż tę sztuczną ścianę.

— Jak pan się zmienił! — szepnęła po chwili.

— Pani twierdzi, że stałem się innym—zdziwił się Paweł.—Zmieniły się moje poglądy, ale ja jestem ten sam, co wówczas... pamięta pani, w ogrodzie, w ów historyczny wieczór, gdym wyjeżdżał...

I znowu oczy jego szukały jej oczu, żeby wyznać, wielbić, pieścić...

Pamiętała i wiedziała, do czego on zmierza, ale wolała udać, że nie rozumie, a zwłaszcza wolała nie wspominać tamtych czasów. Były to dnie, w których, słuchając tajemnych pożądań serca, marzyła o niezmiernem na całą wieczność kochaniu i szczęściu, o jasnych w słońcu szlakach przyszłości, o cudach życia, które rysowało się w jej wyobraźni jako płomienny rycerz, w których budowała tęczowe gmachy, w których śniła i czekała, iż zatętnią złote podkowy rycerskiego rumaka, że porwie i uniesie ją w dal i blaski ognisty rycerz... Cóż zostało z tych rojeń? Kazano jej zburzyć drogi gmach marzeń, wyrzec się tęsknot serca... Może tak lepiej?... Księżniczka stłumiła westchnienie...

— A jednak pan zmienił się!... — powtórzyła cicho.

— W czem, pani?... Niech pani powie?... W czem i od kiedy? Może od wczoraj?...—wesoło dopytywał się Paweł, przypuszczając, że ona dokucza mu przekornie, że żartuje.

— Pan zmienił się — odparła poważnie. — Dziś pan wyszł i potępia... a jeszcze przed rokiem... pan działał i szedł z tymi, którzy cierpią dla sprawy... Tu w tym pokoju mówił pan słowa gorące, które zapisywałam w pamięci... Przychodził pan pełen zapału... — tłómaczyła niejasno, onieśmieloną rolą mentorki.

Paweł był rozczarowany. Spodziewał się, że rozmowa weźmie obrót, bardziej odpowiedni chwili, jego usposobieniu i uczuciom.

— Pani z tej strony?! Nie przypuszczałem, że takie właśnie zarzuty... Poglądy, proszę pani, ulegają przeobrażeniom, ludzie dojrzewają... Dziś wydaje mi się, że pracują dla dobra nie tylko ci, którzy burzą, zapalają pożary, rzucają hasła bojowe, którzy sami giną i od narodu wymagają walki na śmierć i życie, nadludzkich poświęceń... Czyliż koniecznie trzeba być bohaterem? Są obowiązki powszednie, jest praca, drobna, cicha, codzienna, i kto wie, może więcej przysparza krajowi pożytku przeciętna wytwórczość społeczeństwa niż bohaterkie wysiłki jednostek — obojętnie mówił Paweł, pragnąc przejść do porządku nad tą sprawą.

— Zapewne. Wojsko składa się z kilku dowódców i tysięcy żołnierzy... Trzeba wszakże, żeby w sercu wszystkich, i w sercu najbardziej skromnego szeregowca żyło gorące umiłowanie... — Księżniczka zawałała się. — A zdaje mi się, że dawniej umiłowanie było większe... — skończyła szeptem.

Paweł myślał chwilę, może dotknięty wymówką.

— Nie wiem, być może — rzekł potem. — Pani przekona się kiedyś w Naborowie... W owych latach, gdym ciskał garściami słowa gorące, dokonałem tak mało... Chcę to odrobić powszednim trudem, pełnieniem obowiązków...

Urwał i, zmieniając ton, cicho, znacząco, poufnie dodał:

— Ale przedtem trochę szczęścia, którego nie zaznałem nigdy... Każdy człowiek na ziemi pragnie radości i każdy ma jakieś wesele... jedno jest życie... należy się nam trochę szczęścia, księżniczko!...

Panna Marylka pilnie zawlekała igłę, lecz wciąż chybiała, bo drżały jej palce. Nie odpowiedziała nic, zdjęta bojaźnią, której doświadczała zwykle, gdy on zaczynał mówić o swoich uczuciach. Pracowała nad tem, żeby obcowaniu z narzeczoną nadać pozór serdecznej przyjaźni, żeby stosunek był łatwy, prosty i zwyczajny, niby między dobrymi znajomymi, żeby puścić w niepamięć tanto doniosłe słowo, — on zaś przekraczał nieustannie zakreślone granice, przypominał jej prawa swoje, żądał od niej tego, czego nie mogła mu dać... I zgrzyty zdarzały się często. Wysoki ideał, ku któremu pragnęła wznieść się razem z narzeczoną, on ściągnął na ziemię, podporządkował miłości — i stanął przez to między ideałem a nią. I dlatego wydawało się księżniczce, że ten narzeczoną zasłonił przed nią cały świat, zagarnął ją na wyłączną własność, chciał odebrać jej wszystko: duszę,

uczucia i myśli, że ona jest we władzy jego do końca dni... Ogarniała ją trwoga. Nie bała się Pawła, który był dobry, łagodny, uległy, ale miłości jego, która wyrastała przed nią, jako tajemnicza, nieznana, despotyczna, obca i groźna potęga. Przychodziło jej na myśl, że zaciągnęła zobowiązania, których nie potrafi spłacić, że w postępowaniu jej kryje się obłudza, że przyrzekając, popełniła niesumienność, że Pawłowi dzieje się krzywda i że należy może wyznać całą prawdę. Przychodziło na myśl, że nie podoła, że wzięła nad siły swoje, że spadnie na nią za to kara... A potem podnosił się w księżniczce żal, budziły się buntownicze uczucia. Widząc szczęście Pawła, porównywała swoją dolę i z tęsknotą pytała, dlaczego ona nie spotkała swego kochania? czemu nie spełniły się sny... „Może tak lepiej, może tak trzeba!“ — powtarzała ze smutkiem, patrząc w wesoły ogień kominka, w migotliwy uśmiech płomieni. I tłumiła westchnienie... A oczy Pawła, kochające, posłuszne, natrętne, badały ją, pieściły, pytały...

Trwało milczenie.

— Pan nie zapisał się dotychczas do „Opoki“? — zaczęła rozmowę.

— Nie, pani.

— Ale pan to uczyni.

— Także nie.

— Panie, taki piękny cel!—zawołała z oburzeniem, ale opanowała natychmiast wybuch uniesienia i spokojnie spytała.

— Dlaczego?

— Zaraz to pani wytłumaczę. Życzę hrabiemu Tobiaszowi powodzenia w jego zamiarach, ale nie przewiduję pomyślnego wyniku i nie widzę... Będzie to głos wołającego na puszczy i przebrzmi bez echa. Alboż można ludzi przerobić na duchy bezcielesne, a z narodu stworzyć wojsko anielskie? Społeczeństwo nie podaży do „Opoki,“ bo za wysoki to szczyt i zupełnie odcięty od życia...

— Myślałam zawsze, że im wyższy ideał...—zauważyła księżniczka.

— Tak, ale gdy niema do niego dróg, gdy między ideałem a przeciętnem życiem jest przepaść... O bogactwie kraju stanowi nie ilość milionów, zamkniętych w kasie kilku magnatów, ani tem bardziej mnogość pokładów złota, ukrytych głęboko pod ziemią, lecz powszechna zamożność, dobrobyt wszystkich jego mieszkańców... Spierałem się dziś z hrabią Tobiaszem... Nie odrzu-

cam bynajmniej wzniosłych ogólnych celów... Są, jaśniej i jaśniej będą zawsze nad światem...

— A zatem, proszę pana — przerwała panna Marylka.

— Chcę tylko powiedzieć — z zapalem dowodził Paweł — że oprócz wiecznych i ogólnych istnieją cele osobiste, zastosowane do czasu naszego krótkiego życia na ziemi... Pomieramy, pani, zanim doczekamy się niepodległości, udoskonalenia dusz, sprawiedliwego ustroju. Więc założyć beczynnienie ręce i złożyć!? albo ze szczytu podniebnego ideału skoczyć w przepaść!? Nie pani! Trzeba żyć, z życia czerpać radość i zadowolenie, a zarazem codzienną pracą powiększać sumę dobra, które kiedyś, kiedyś, w dalekiej przyszłości ma zwyciężyć złe potęgi... Niech każdy w swem kółku... Niech rozkwitają przemysł, handel, cnoty, oświata — powtarzał słowa, które mówił zrana hrabiemu Tobiaszowi.

Księżniczka słuchała go z zajęciem. On zaś postanowił do dna wypowiedzieć myśli swoje, wyłożyć zapatrywania, żeby odeprzeć raz na zawsze zarzut, którym dotknęła go, zarzut, że zmienił się i obniżył się.

— Zastanawiałem się któregoś dnia nad sobą i nad tymi, których spotykałem tu ostatnimi laty, z którymi przyjaźniłem się... Tylu z nich zginęło! tyle zmarnowanych sił... Nie chlubię się... Zdziałałem dotychczas mało, ale długa jeszcze droga... To, na czem kończy się każda prawie powieść, że Numa wychodzi za Pompiliusza, bywa zwykle dopiero początkiem życia... Numa i Pompiliusz i w największym szczęściu nie powinni zapominać o obowiązkach swoich, o służbie...

Zegar w sąsiednim pokoju wydzwonił godzinę, przypominając Pawłowi, że pora już iść.

— Muszę odjeżdżać — rzekł wstając — wrócę nieprędko, a może i nie wrócę! wykoleją się przecież pociągi! — zażartował — czekam tedy i spodziewam się jakiegoś dobrego słowa, którebym przechował, zachował, zabrał z sobą jak klejnot.

Ujął jej rękę i spoglądał w oczy, prosząc.

— Czekać będę powrotu pana — szepnęła zapłoniona.

— Księżniczko! to za mało! z tem nie odejdę... Proszę o słowo, jak o kwiat...

— Niech pan wraca prędko i pomyślnie...

Czekał jeszcze, trzymając ją za rękę, prosząc spojrzeniem. A widząc, że zacięły się jej milczące wargi, że napróżno spodziewa się, jął rękę jej okrywać pocałunkami. Potem pochylił się ku niej, musnął ustami włosów, chciał przygarnąć.

Księżniczka usunęła mu się.

— Pan spóźni się na pociąg!

— A gdyby nawet!... Spóźnię się i pojedę jutro... Niech tylko pani będzie inna...

I postąpił ku niej, ona zaś cofała się ku drzwiom.

— Pan spóźni się na pociąg!

— Czy zawiniłem w cenzkolwiek?—spytał nagle ze smutkiem.

— Dlaczego?

— Że pani... że paui tak...

— Nie, panie...

Stał ze zwieszoną głową, naraz zaniepokojony, zdjęty trwożnym przecuciem. A dla odegnania niedobrej myśli, powiedział:

— Będziemy szczęśliwi, pani... Prawda pani? będziemy szczęśliwi!... Niech pani powtórzy za mną!

Była chwila ciszy.

— Będziemy szczęśliwi! — rzekła jak echo.

I znowu całował jej ręce, dziękując. I wyszedł pełen szczęścia, które grało mu w sercu, jak hymn, jak hymn weselny na cześć ukochanej, na cześć życia, na cześć upragnionej przyszłości... W salonie z politowaniem spojrzął na szeregi pustych krzesel, jak gdyby chciał powiedzieć ludziom, których jeszcze nie było, którzy mieli tu przyjść, że niepotrzebnie trują się i troszczą o wiele, że powinni brać z niego przykład, gdyż on posiadał prawdę, znalazł klucz, rozwiązał wszelkie zagadnienia. Zresztą, upojony radością, nie wygłaszałby zapewne długich nauk. Mówiłby może: „Dobrze mi jest i dobrze jest żyć na świecie...“ I odgłos szybkich jego kroków mówił to samo przeszłości, która dumiała w posępnych pokojach pałacu... A w cichych komnatach rozległo się jakoby westchnienie...

Księżniczka słuchała w zamyśleniu. Z oddali uśmiechnęły się do niej dawne marzenia, i porównywała je z dolą swoją. Gdzie owo szczęście, o którym zapewniała narzeczonego?—pytała patrząc w swawolne oblicze płomieni... Była bliska płaczu. Rozżalonem wołaniem odezwała się tęsknota serca, zdawało się już zwyciężona i zapewniana, budziła stłumione pragnienia, zalewała duszę nurtem smutku. Księżniczka usiłowała zmódcz tęsknotę. Tłómaczyła sobie, że Paweł jest dobry i szlachetny, że przejdzie to życie, że nie dla szczęścia... że praca wspólna... że obowiązki... że inne są cele... że matka jej także... że nie spełniają się nigdy na ziemi sny... Ale zrywały się wciąż skargi, zrywał się bunt, i szlochało znękane serce... „Może tak lepiej, może tak trzeba!...“ — szeptała księżniczka, a łzy płynęły po twarzy, i z niepokojem spoglądała w drzwi, bojąc się, że ktoś nadejdzie i zo-

baczy te łzy, zapewne niewłaściwe i grzeszne u narzeczonej, i nie mogła zwalczyć żalości...

Przyszedł jej z pomocą mały Jacek, ulubiony braciszek, który zjawił się nagle w bibliotece, rozswawolony, gadatliwy, wesoły. Widząc, że siostra nie zwraca na niego uwagi, chłopak targał ją za złoty łańcuch od zegarka, brał za ręce, czepiał się sukni, zadawał pytania, gwarzył... Potem, znudzony jej obojętnością, bawił się jedwabiem i poplątał nici, biegał od okna do kominka i od kominka do okna, próbował palcem dotknąć ognia, gramolił się na krzesło, żeby otworzyć szafę z książkami, wreszcie spadł i rozpląkał się... A wówczas panna Marylka wzięła go na kolana, tuliła i pocieszała. Całując mokre od łez policzki, uciszając żalosne łkanie, pieszcząc drogą główkę, opowiadała bajkę, którą sama lubiła w dzieciństwie, która wplotła się w marzenia młodości, bajkę o rycerzu w ognistej zbroi na białym o złotych podkowach rumaku z zaczarowaną, czarodziejską różą w ręku.

„W księżycowe noce — mówiła cicho i tajemniczo, przejmując się treścią opowiadania — pędzi ten rycerz od zamku do zamku... Zbudzeni tętentem cwału, słuchają ludzie, dokąd mknie i gdzie się zatrzyma... A on pędzi... I świeci zbroja jego, jaśnieje koń...”

Bajka nie była zastosowana do wieku braciszka, ale on słuchał jej pilnie i patrzył uważnie w siostrę swemi bystremi oczami i uśmiechał się, może z niedowierzaniem...

— A po co ta „róża“? — pytał.

— Ten, komu rycerz odda różę, będzie szczęśliwy i zbawi ojczyznę...

— Tobie lycerz dał różę?

— Mnie nie... Nie widziałam tego rycerza...

— Skąd wiesz o lycerzu?

— Wiem...

Gwarzyli. Panna Marylka gładziła drogą główkę, i cicha radość tej pieśczoły dała jej zapomnienie o smutku tęskniącego serca, rozproszyła żalobną zadunę... W pewnej chwili nad ciemną i nieznaną przyszłością zajaśniała księżniczce nieśmiała, jak pierwsze w pochurną noc świtanie, nadzieja, że ona kiedyś, kiedyś może weźmie na kolana własne i drogie maleństwo... Stłumiła wstydliwie szept nadziei, ale na progu duszy stanęła otucha, uśmiechnęła się radosna pociecha i uczynił się w duszy spokój...

— To ty nie masz róży?! a ja będę miał?!

— Ty może będziesz miał.

— Mów, co ja będę robił, jak wyrosnę duży...

Snuła dla niego opowieść o świetnych czynach, o wielkiem szczęściu.

Hrabia Tobiasz zastał ich zajętych rozmową. Spojrzał z roztargnieniem w ich uśmiechnięte twarze i natychmiast wyszedł, mimo wesołych okrzyków Jacka, który witał wuja i gwałtem chciał go zatrzymać w pokoju. Hrabia Tobiasz był podniecony i niespokojny w tym doniesłym dla niego dniu. Chodził niecierpliwie po salonach, oglądał stoły, przykryte popielatym sukniem, krucyfiks, szeregi krzeseł, czasami przestawiał coś, czasami wyjmował z kieszeni jakieś notatki i odczytywał je. Zbliżała się godzina, wymieniona w zaproszeniach. Ale cicho było w domu—nikt nie szedł po schodach. Hrabia Tobiasz nie tracił jeszcze nadziei i czekał. Nie spodziewał się, żeby stawiło się wielu, sądził wszakże, że znajdzie się garstka przychylnych, która rozpocznie trud, że dziś położon będzie kamień węgielny... Tymczasem nie było nikogo... „Przysłowiowa nieakuratność... lekko-myślność i niedbałość... lekceważenie sprawy... serca, odurzone zgiełkiem dnia“ — myślał hrabia Tobiasz i ponuro patrzył na zegar, którego wskazówki posuwały się szybko i minęły oddawna godzinę, wymienioną w zaproszeniach... Wreszcie zjawił się pierwszy gość, młody ksiądz z przedmieścia.

— Brzydki czas dzisiaj! — rzekł, ocierając mokrą twarz.

— Tak.

— Nikogo jeszcze niema... Bałem się, że przyjdę za późno.

— Nikogo niema — była posępna odpowiedź.

— A pan z pogrzebu?!... Wczoraj jeszcze o tej porze był u mnie z pożegnaniem...

Przez chwilę wspominali Śniałowskiego, którego żalowali, potem przechadzali się w milczeniu, obaj z natury małomówni.

Płyęły minuty i kwadranse, upłynęła godzina. Nikt nie przychodził, i szeregi pustych krzeseł urągały, zdawało się, tym dwu, oczekującym napróżno... Zmrok zaczął zapadać... Hrabia Tobiasz zrozumiał, że śmiesznem było czekać dłużej i spodziewać się. Wzbierały w nim gorzkie myśli. Przed miesiącem rozesłał był zaproszenia, usiłował zbudzić odrętwiałe dusze, trafić do serc, odurzonych zgiełkiem dnia. „Odzywam się do was wśród nocy zła i niedoli—pisat—wołam, oby nie głosem wołającego na puszczy, wzywam was bracia, wzywam mężów wielkiego tęsknienia, gorącego miłowania... Pora jest podjąć święty trud ducha, duchy odrodzić i mocą czystych znazać grzech wieku...“ I oto nie zna-

laź się nikt, któryby usłuchał słowa! Urządzano wiece i posiedzenia, staczano walki przedwyborcze, wrzała po gazetach nieustająca polemika, codzień rodziły się nowe partye i codzień nowe powstawały programy, tylko do trudu, który był ponad wszystkie programy i partye, nie stanął nikt... Gorycz wzbierała w sercu hrabiego Tobiasza.

— Namawialiście mnie, żebym rozpoczął — gorzko odezwał się do jedyne gościa swego — i widzicie!...

— Nie pojmuję i wierzyć mi się nie chce—nawnie oburzał się ksiądz—sądziłem, że właśnie jest czas, że słowa pańskie przemówią do dusz, pewny byłem...

— Tak...

I znowu przechadzali się w milczeniu po mrocznej sali, która, zapchana krzesłami, wydawała się tem bardziej pusta i pępna. Gniewne i zjadliwe słowa cisnęły się na usta hrabiemu Tobiaszowi — a brakło słuchaczy. Ksiądz był wiernym sprzymierzeńcem... W pewnej chwili hrabia Tobiasz uświadomił sobie, że nie tyle bolała go gnuśna obojętność społeczeństwa dla sprawy, ile nękała ta porażka, upokarzająca wobec domowników i całego miasta, że przedewszystkiem cierpi w nim zadraśnięta dotkliwie miłość własna. Wstydział się tych uczuć i, pragnąc ich pozbyć się albo stłumić, usiłował wznieść się ponad doczesną przykrość tego zawodu, ponad ułomność własną i lichotę natury człowieczej. Ale przeszkadzał mu ksiądz, który postanowił pokrzepić go i pocieszyć, a dotykał wciąż jątrzącej się rany, który mówił z prostotą, szczerze, szlachetnie i przyjaźnie, lecz nawnie, jako człowiek świątobliwy, pogrążony w medytacji, nie znający życia ani ludzi. Hrabia Tobiasz nie odpowiadał nic, uprzejmie potakiwał, milcząco zgadzał się ze wszystkim, żeby nie przedłużać jałowej i przykrej rozmowy.

— Niech pan się nie zraża! — zaklinał go ksiądz przy pożegnaniu. — Dziś jest dzień innych, ale wybije jeszcze nasza godzina... Nie przyszli teraz, zbiorą się kiedyś tem liczniej... *Beati immaculati in via...*

Hrabia Tobiasz został sam. Krążył po ciemnym salonie i, wspominając urywki mowy swojej, przygotowanej na posiedzenie, złorzeczył tym, których zwoływał napróżno, których czekał, którzy nie przyszli. Miał powiedzieć tym, których nie było na sali, że na zatracenie idzie naród, że miłość złotego cielca i bałwochwalstwo materji trądem toczy życie współczesne, że trzeba ducha wyzwolić, że pora jest „ze snu powstawać, odrzucić uczynki ciemności i oblec się w zbroję światłości,“ że tylko czyści,

wiarą mocni, miłością Boga pałający... Przekonany był o prawdziwości wiary swojej. Przekonany był, że teraz, gdy chybiła rewolucya, zawiodły rachuby rozumu, runęły wszelkie nadzieje i nędzną śmiercią umarły teorye, zrodzone z pychy pogardzających prawdą wieczną, że przejrzą wreszcie zaślepieni, że głusi usłuchają głosu jego... Chciał rozpałić zimne serca, ocucić śpiące dusze, wskrzesić święte uczucia, zagłuszone zgiełkiem czasów. Spodziewał się, że staną tu dziś wybrani, że zawiąże się bractwo, powstanie gmina wyznawców na wzór tych, które kwitły w pierwszych wiekach, że rozpocznie się trud odrodzenia duchowego, że „na wszystką ziemię wyjdzie głos ich i na krańce okręgu ziemi słowa ich,“ że naród „co wzgórz jest umiłuje i współ powstanie z Chrystusem...”

Ale gdzież bracia i towarzysze, gdzie męże wielkiego tęsknienia, gorącego kochania?

Burza gniewu zrywała się w sercu hrabiego Tobiasza.

„Niech się stacza do przepaści naród lekkomyślny, nierozumny, krnąbrny, niech giną zaślepieni, którzy mają oczy, a nie widzą, którzy słyszeć nie chcą wołania, rozlegającego się z wyżyn — myślał gniewnie — niech giną gnuśni, nikczemni, znieprawieni, nieuleczalni...”

Złorzeczył. A w pewnej chwili czujna, przyzwyczajona do pracy wewnętrznej dusza ostrzegła go, że bardziej zgubną i grzeszną niż lekkomyślność, chłód i błędy społeczeństwa była rozwielmożniona w nim samym pycha, były poszepty rozjątrzonej miłości własnej, był jad złości, żądza sławy i władzy...

Hrabia Tobiasz korzył się i usiłował wzniesie się ponad znokomość tej zniewagi, usiłował zapomnieć, darować... I postanowił, jak zwykle po każdym zawodzie, wyrzec się raz na zawsze pracy społecznej, schronić się w jakieś zacisze, gdzieby nie nawiedzały go pokusy, nie groziły upadki, gdzieby umilkła pycha, gdzieby w spokoju mógł dumać o rzeczach wiecznych. Próbował przecież wiele razy — a nie powiodło mu się. Był sam wśród obcego mu społeczeństwa, obcy wszystkim, nikomu niepotrzebny. Nikt go nie rozumiał, ani on tych czasów. Potępiał naukę, która obaliła rządy Boga, uwielbiła rozum, potęgę człowieka i materję, potępiał sztukę, która hołdowała pięknu zmysłowemu, porzuciła służbę wysokim ideałom, z mistrzyni życia stała się najemnicą, uległa żądzom, potępiał szkołę i prasę, wychowanie i dążenia polityczne, obłudną dobroczynność i letnią, mdłą, ekliwą religijność, tak nieskończenie odległą od czynnej wiary pierwszych wieków, potępiał całą epokę współczesną, wszystkie jej prądy, cele, umi-

lowania... Był sam... Radość podnosiła się w nim na myśl, że zjeździe wreszcie z oczu ludziom, że ukryje się w dalekiem ustroju, że w ciszy i w spokoju spędzi resztę dni... Uczynił z siebie ofiarę, rozstał się ze szczęściem obcowania z Bogiem i duszą własną, pożegnał samolubną pracę w błogosławionej samotni, chciał spełnić obowiązek—a społeczeństwo odplaciło mu lekceważeniem... Teraz chyba już wolno mu odejść... Z odrazą, z nienawiścią, z pogardą hrabia Tobiasz postanawiał odwrócić się raz na zawsze od narodu, od bliźnich, od życia...

Ale znowu czujna dusza ostrzegła go, że grzeszy brakiem miłości, że unosi go pycha. Dumał, staczając z sobą walkę. Trudne mijały godziny... Krążył po pokoju, stawał w oknie i spoglądał w mroczny park, w niewyraźne oblicza drzew, które ciemniały tajemniczo na tle usłanych śniegiem trawników, był w kaplicy u stóp ołtarza, z tęsknoty zwracał spojrzenie ku Chrystusowi, którego twarz, w bładem oświeceniu mdłej lampki, zdawała się nieskończenie smutna i umęczona, modlił się, powtarzając słowa psalmu... „...ustała dusza moja, pragnąc zbawienia Twego... ustały oczy moje, czekając obietnicy Twojej... przylgnęła do ziemi dusza moja: ożyw mnie według słowa Twego... miłosierdzia Twego pełna jest ziemia: naucz mnie sprawiedliwości Twoich... Zbłądziłem jako owca, która zginęła... szukaj mnie...“

Trudne mijały godziny.

— Czyliż winnem jest tylko społeczeństwo? może w tobie leży wina? — snuły się bolesne myśli. — Martwe rzucałeś ziarna. Wyniosła pycha nie nauczy, oschłe serce nie pociąga, pogarda odtrąca. Chciałeś być mistrzem, chciałeś, żeby szli za tobą pokornie... A miłujeszzę naprawdę bliźnich i ojczyznę?... Kto nienawidzi brata swego, w ciemnościach jest i w ciemnościach chodzi...

Skrucha ogarniała duszę.

Hrabia Tobiasz wyszedł na miasto. Jak gdyby dla umartwienia wybrał najbardziej ożywioną ulicę, której nienawidził, którą unikał, której zgiełk niecierpliwził go. Dziś chodził wolno, pilnie patrząc ludziom w twarze. Wzbudzał w sobie pokorę i nazywał w myśli braćmi tych wszystkich, śpieszących, roztargnionych, zajętych marnemi sprawami grzesznego życia przechodniów, od których odwracał się zazwyczaj ze wzgardą... Taką wyznaczył sobie pokutę i karę. I zdało mu się, że taje chłodna powłoka nieprzychylnego serca, że ustępuje pycha i wytryska w głębiach zdroj miłości, że nowe jakieś ukazuje mu się światło... Przyglądał się badawczo życiu ulicy. Nie potępiał i nie złorzeczył... Wzrok zatrzymywał się z litością, przyjaźnię, ze współ-

czuciem na dzieciach, na wyrostkach ze szkoły i z warsztatu, na znużonych wyrobnikach, na jakimś wynędziałym posłańcu, który bez powodzenia sprzedawał numery wieczornej gazety, na kobietach... Żałował tych ludzi, a gdy byli młodzi, życzył im wesela, pomyślnej doli... I cicha radość przejmowała hrabiego Tobiasza, płynęły proste i dobre myśli...

— Gdzież są — powtarzał, korząc się—zasługi moje, magnata z pałacu, który przez pół życia zgłębiał z upodobaniem księgi, pracował samolubnie nad udoskonaleniem własnem w dostatku i spokoju i od czasu do czasu rzucał jak jałmużnę w tłum garść urągliwych nauk... Gdzież zasługi, czyny, poświęcenia?! Alboż nie więcej trudzą się rzesze tych zmęczonych jarzmem żywota, znękanych, cierpliwych, wytrwałych?... Alboż nie spełniają te rzesze bezwiednie istotnego zadania? Ileż cichych ofiar, ile umiłowania!...

Korzył się w poczuciu małości swojej.

— Nie usłuchał nikt wołania mego—dumał, podnosząc wzrok ku wysokim, dalekim na świątyni krzyżom.—Nie przyszli... Odpłacili mi lekceważeniem... Innych jest dzień dzisiaj... I nie wybije może nigdy moja godzina. Innych jest dzień... inne cele, inne ideały... Błądzą zapewne i błędne głoszą nauki współcześni. Ale nowe wyrosną pokolenia, przekonają się, przejrzą... Znajdzie się wówczas nauczyciel, mędrszy, lepszy, wyższy, aniżeli ten, którym pogardzono dziś... Trwać będzie naród i przetrwa ojczyzna. I Pan, który zesłał krzyż i męczeństwo, przemówi kiedyś Sam...

Hrabia Tobiasz wracał powoli do domu. Patrzył ludziom w twarze przyjaźnie, z dobrocią, ze współczuciem... Byli mu braćmi. I nie przemijała radość serca, przebywał w duszy pokój.

Nazajutrz pisma ogłosiły o olbrzymim, uczynionym przez niewiedomego ofiarodawcę zapisie na szkoły, ochronki, szpitale i kościoły, na cele naukowe i artystyczne, o znacznej sumie, złożonej prócz tego na rzecz ofiar rewolucji, więźniów i ich rodzin.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

KONIEC.

SIELANKI KARPIŃSKIEGO.

Stydium historyczno-literackie.

Obecny stan badań nad twórczością Karpińskiego wykazuje znaczne braki. Mamy wprawdzie cały szereg artykułów i rozpraw, poświęconych „śpiewakowi Justyny,” począwszy od Brodzińskiego i Kornilowicza, atoli prawie wszystkie cechuje jedna zasadnicza wada, oto głównym ich tematem nie dzieła, ale żywot poety. Zwłaszcza drukowany w r. 1844 „Pamiętnik“ budzi powszechne zaciekawienie i staje się na długie lata obfitem źródłem życiorysów, wspomnień, charakterystyk. Nawet przy rozpatrywaniu twórczości używa się „Pamiętnika,” jako głównego komentarza. Zupełnie niesłusznie. Byłby on cennym, gdyby nam pozwolił przynajmniej ustalić chronologię wcześniejszych utworów. Niestety, im dłużej obcuje się z „Pamiętnikiem,” tem bardziej maleje zaufanie do niego. Mylne daty zauważono już nieraz ¹⁾.

¹⁾ Ponieważ także przy wzmiankach, odnoszących się do Sielanek, musiałem kilkakrotnie położyć znak zapytania, lub wprost uznać je za błędne, wypada na tem miejscu poświęcić kilka słów kwestyi wiarygodności własnych wspomnień poety. Pierwszą wzmiankę o pisaniu pamiętnika napotykamy w korespondencyi Karpińskiego w r. 1805, a na ostatniej stronicy tejże czytamy: „Piszę ja ten rękopism w r. 1822, zaś 81 życia mego i będąc tak już na siłach słabym, żęgnam się...” Ostatnie lata jego życia nie były wcale pogodne. Sam wyznaje, że od lat 20 doświadcza czarnej melancholii, a biograf jego i świadek ostatnich chwil, ks. Kornilowicz, przytacza znaczną ilość faktów, dowodzących, że siły umysłowe starca moono były nadwerężone. Pierwiastki, które z natury tkwiły w jego organizacyi duchowej, jak melancholia, pesymizm, niechęć do świata, spotęgowane samotnością, zawodami i niespełnionemi pragnieniami, przybrały w okresie starości rozmiary chorobliwe. Co

Twórczość literacką Karpińskiego zbywano i zbywa się po dziś dzień omówieniem treści, charakterystyką ogólną, a co gorsza, sądami, zabarwionymi nieraz sympatją lub uprzedzeniem. Od pełnej uwielbienia oceny Mickiewicza aż do potępiającego wyroku prof. Tarnowskiego—cała skala różnorodnych opinij. Nawet spokojne i ogółem trafne charakterystyki Chmielowskiego i Pilata nie opierają się na gruncie zupełnie pewnym. Karpiński jest dzisiaj w pewnej mierze zagadką większą niż przed stu laty, gdyż wówczas rozumiano go, a dziś nietylko zrozumieć ani odczuć go nie potrafimy, ale nie możemy wyjaśnić takich rzeczy, jak geneza utworów, stosunek do literatur obcych, stopień oryginalności. Brak studyów analitycznych; stąd płyną sądy niepewne i rozbieżne. Jeszcze Mickiewicz utrzymywał, że „Karpiński nie zapatruje się na żaden wzór, nie przybiera żadnego systemu“;¹⁾ jeden z późniejszych biografów stwierdza, że „trudno wykazać wpływy, którym ulegał; łatwiej mu wynaleźć potomstwo literackie niż przodków“²⁾, a w książce, będącej „ostatnim wyrazem nauki,“ czytamy: „Pytanie, w jakim stosunku sielanki Karpińskiego pozostają względem wzorów sielankopisarstwa obcego, nie daje się dotąd ściśle rozstrzygnąć.“³⁾ A przecież w ramach umysłowości polskiej z końca XVIII i początku XIX wieku jest Karpiński postacią tak ciekawą i znaczącą, że bez wyjaśnienia wspomnianych kwestyj historjki literatury obejść się nie może, przeciwnie zaś pomyślny wynik dociekań w tym kierunku rzucić może

gorsza, „pamięć miał tak słabą, iż po kilka razy potrzeba mu było jedną rzecz powtarzać, aby onę w umyśle zatrzymał; dzieła nawet swoje kiedy czytał, tedy o nich takie dawał zdanie: Zdaje mi się teraz, jakbym nie ja one pisał.“ Jaką wartość może mieć dla nas pamiętnik, pisany w takich warunkach? Ujemne strony charakteru daleko jaskrawiej się rysują, niż było w rzeczywistości; daty biograficzne nie są pewne. Długi szereg lat niejedno zatarał w pamięci, z niejednego starł właściwą barwę. Zdarzenia oddzielone przestrzenią półwieczną, widziane przez pryzmat wędnącego żywota, inne nieco budzą refleksye, niż współcześnie. Główną zaś wadą jest, że tak powiem, utrata poczucia perspektywy w czasie: wypadki późniejsze cofa nieraz wstecz i naodwrot, zwykle pod wpływem przypadkowego kojarzenia się wyobrażeń. Posługując się przeto tą autobiografią, jako jedynem niemal źródłem do poznania życia poety aż do r. 1780, nie damy pierwszeństwa zawartym w „Pamiętniku“ zeznaniom przed wnioskami, jakie wysnuć można skądinąd.

¹⁾ Wykłady o lit. słow., L. 20 z 19 kwietnia 1842.

²⁾ Górski, l. c. 358.

³⁾ Pilat, „Hist. lit. polsk.“ IV, 1, 228.

kilka pożądaných promieni światła na ową epokę. Dotyczy to zwłaszcza Sielanek, jako najbardziej popularnego zbiorku i fundamentu sławy naszego pisarza.

I.

Pierwszy zbiorek poezyj drukował Karpiński we Lwowie, z początkiem r. 1780. Jest to dość szczupła książeczka o skromnym tytule: „Zabawki wierszem i przykłady obyczajne.“ Dedykacja pod adresem ks. Adama Czartoryskiego. Prócz znacznej liczby drobnych przeważnie wierszy i prozą pisanych „przykładów“ widnieje na pierwszym miejscu dwadzieścia niewielkich poematów, poprzedzonych tytułem: „Sielanki.“ One to będą przedmiotem niniejszej pracy.

Nie ulega wątpliwości, że sielanki należą do najwcześniejszych utworów poety i że wiążą się dość ściśle z pewnymi wypadkami z jego lat młodzieńczych. Wiadomość taką czerpiemy ze wspomnianego pamiętnika. Znajdziemy tam nawet kilka ciekawych szczegółów, odnoszących się do miłości w życiu poety i biorącej z niej źródło twórczości. Wypadkiem, który młodemu Franciszkowi, uczniowi natenczas szkół jezuickich w Stanisławowie, miał włożyć pióro do ręki, była miłość. Jest to pierwszy wybuch żywiołu, zajmującego naczelne miejsce w jego organizacji duchowej. W późniejszych latach życia miał pełną świadomość tego, gdy pisał:

Prawda, że czasem miłość dokuczy,
Nie śpi, nie jada, troszczy się, mruczy;
Ale i wtenczas, kiedy ją kląłem,
Czułem, że była moim żywiołem. ¹⁾

Przez żywot poety przesuwają się trzy postacie niewieście, wpływające wyraźnie na losy jego: Maryanna Brüssłówna, Maryanna Ponińska i Franciszka Kozielbrodzka. Trzecia miłość nie wchodzi w zakres tego studjum; nie można jej odszukać w sielankach; co gorsza, nie możemy nawet oznaczyć, na które lata przypada, ani na podstawie „Pamiętnika,“ ani obfitej korespondencji poety ²⁾. Pomijamy także przelotną lwowską znajomość,

¹⁾ Pieśni, II. „Trzeba się kochać.“ Wyd. Turowskiego, str. 325.

²⁾ Górski, „Karp. w latach 1771—1780,“ „Pam. lit,“ 1904, 550.

panią Tamburini. Za to dwie pierwsze wpływają wyraźnie na twórczość początkową.

Zauważyć tu należy, że Karpiński-kochanek doznał ze strony krytyki tego samego losu, co Karpiński-poeta. Ograniczę się tu do przytoczenia dwóch sądów, pochodzących z nowszych czasów. Gdy Górski powtarza za Przyborowskim, że „udawał skromnisią, a był beiecznym, lubieżnym rozpustnikiem“ ¹⁾, prof. Pilat sądzi, że miłość Karpińskiego miała charakter idealny, nawet platoniczny ²⁾. Nie mogę podzielić ani jednego, ani drugiego zapatrywania. Karpiński, jako człowiek, jest osobnikiem dość pospolicym; nie szukać u niego skrajności, ani nadzwyczajności. I uczucie jego do kobiety jest zupełnie zwyczajne, a to, co nas w niem nieco razi, uważać należy za wynik drakońskiego wychowania domowego i równie surowej dyscypliny jezuickiej w szkole stanisławowskiej i lwowskiej. Chmielowski określa miłość poety, jako „umysłowo-duchową, z przewagą jednak zmysłowości“ ³⁾.

Miłość do Brösslówny, jako pierwsza, była głębsza od innych i miała w sobie wiele uroku i poezyi. Należy ją uważać za oddźwięk pokrewnych natur—wszak Niemkom przypisują sentymentalizm — i jakby zapowiedź późniejszego zwrotu do literatury niemieckiej przy poszukiwaniu wzorów. Koniec jej atoli był całkiem prozaiczny. Do walki bowiem ze wspomnianym żywiołem wystąpił czynnik inny, równie ważną odgrywający rolę w życiu poety: wzgląd na dobra materyalne. Nie należy zapominać, że Karpiński był synem ubożego szlachetki, a więc pochodził z warstwy, w której walka o byt dość bywa silną, aby na drugi plan usuwać uczucia. Zapatrywania wszczepione w domu rodzicielskim dają początek toczącej się przez całe życie walce uczucia z rozsądkiem. Fatalne losy wmieszały się w nią i nie dozwoliły poecie osiągnąć szczęścia, które mu się należało; szedł przez życie samotny i umarł samotnie. Tragedya życia jednak wpłynęła na twórczość i zapewniła mu sławę.

Chcąc zasięgnąć bliższych wiadomości o pierwszych krokach Karpińskiego na polu poezyi związanych z pierwszą miłością, udajemy się przedewszystkiem do „Pamiętnika“ i znajdujemy tam dwie wzmianki. Wymieniwszy zalety panny Maryanny, tak pisze: „Ona to jest moja Justyna, do której tę najpierwszą z moich

1) „Biblioteka Warszawska,“ 1891, IV, 34.

2) L. c., 216 i in.

3) „Hist. literat.,“ II, 214.

sielanek „Tęskność na wiosnę. Do Justyny“ napisałem, i którą pod tem imieniem tyle razy potem wspominałem.“¹⁾ Z tych słów wynikałoby, że w Sielankach i innych poezjach wszystkie wzmianki o Justynie odnoszą się do Brösslówny. Na innym miejscu czytamy jednak coś wręcz przeciwnego. Poeta ubóstwia już dość długo swoją „drugą Justynę,“ wrócił z podróży do Wiednia i tak pisze o swoich zajęciach literackich: „Ja tymczasem w różnych przygodach różnymi wierszami bawiłem się; pominąwszy sielankę „Tęskność na wiosnę do Justyny,“ którą w szkołach jeszcze będąc napisałem do pierwszej mojej Justyny Brösslówny i ze dwie, prócz tej, do tejże napisane, wszystkie inne sielanki, pod tytułem Justyny napisane, już do drugiej Justyny, Maryanny Ponińskiej należą.“²⁾ Z przytoczonego ustępu wynika przeto, że nie „tyle razy“ wspominał poeta pierwszą Justynę w sielankach wydanych, ale około trzy razy. Jeżeli zaś zauważymy, że między wierszami z lat późniejszych jest tylko jeden, który się odnosi do Brösslówny³⁾, okaże się, że pierwsza wzmianka, wyjęta z „Pamiętnika,“ nie jest zgodna z prawdą, a zdanie: „którą pod tem imieniem tyle razy potem wspominałem“ powinno brzmieć: „które to imię tyle razy potem wspominałem.“ Atoli i na to, co zawiera druga wzmianka, zgodzić się niepodobna. Autor twierdzi, że z ogłoszonych drukiem sielanek około trzy odnoszą się do czasów szkolnych. Już samo wyrażenie „ze dwie“ świadczy, że nie mógł sięgnąć pamięcią tak daleko wstecz i że w umyśle jego przechowały się tylko mgliste wspomnienia, że pisał ongiś jakieś wiersze do „pierwszej Justyny.“ W dalszym ciągu tej pracy będę miał sposobność wykazać, że z pomiędzy wszystkich sielanek tylko jedna może się odnosić do czasów stanisławowskich; jest nią wspomniana „Tęskność na wiosnę.“ Nie wyłącza to wcale możliwości, że Karpiński pisał więcej wierszy za czasów pierwszej miłości, drukiem atoli nigdy ich nie ogłosił. Te dwie czynności z biegiem lat pomieszały się w jego pamięci i zlały razem; stąd pochodzą owe niejasne, a nawet niezgodne z prawdą wzmianki w „Pamiętniku.“

Pozostaje więc „Tęskność“; ale i tutaj nasuwa się cały szereg wątpliwości co do stanisławowskiego pochodzenia tego wiersza.

¹⁾ „Pamiętnik,“ str. 1129. Cytuję zawsze podług zbiorowego wydania K. J. Turowskiego: „Dzieła Fr. Karpińskiego.“ W Krakowie, 1862.

²⁾ Tamże, str. 1161.

³⁾ „Wspomnienie dawnej miłości.“

Przedewszystkiem w samym tekście brak wszelkich danych. Nie nakazuje przypuszczać, że przedmiotem tęsknoty jest panna Maryanna; możnaby nawet kobietę, jako przedmiot uczucia, wyłączyć. Dalej nie wiemy, jak należy rozumieć elegijny charakter wiersza, co oznacza narzekanie, że mu „światło nie świeci,” kwiatek ani pszenica nie wschodzi, a zwłaszcza ostatnie słowa:

Jużem dość ziemię łzami urosił;
Wróć mi urodzaj kochlany!

Jeżeli to się odnosi do oddanej mu całym sercem Brösslówny, mogło być napisane tylko po zerwaniu. Pochodzenie imienia Justyny także chętnieby odniósł do późniejszych czasów. Nadto, jeżeli pisał wiersze miłosne w Stanisławowie, to chyba nie z zamiarem drukowania. Kiedy wydawał pierwszy zbiorzek poezyj, liczył lat blisko 40; pierwsza miłość przypada w przybliżeniu na lata życia: 15, 16, 17. Czyż można przypuścić, żeby tak długo przechowywał ten jeden może wiersz z lat chłopięcych i drukował go w czasie, gdy już przez cały szereg lat zajmował się seryo literaturą i poznał wzory zagraniczne? Przeciw tym wątpliwościom staje sam Karpiński ze swem dwukrotnem, wyraźnem twierdzeniem w „Pamiętniku.“ Z tem musimy się liczyć, choć radziłybyśmy rzekome szczątki twórczości stanisławowskiej między bajki włożyć.

Pierwsze natchnienia poetyckie miała wzniecić pierwsza miłość. Samo uczucie jednak twórczości nie wyjaśnia, poznać przeto wypada drugi ważny czynnik w życiu młodzieńczem: szkołę.

Pamiętnikarze XVIII wieku narzekają gorzko na upadek szkół jezuickich, w których „bito, a nie uczono.“¹⁾ I mają słuszość. Zakłady, o których mowa, nietylko nie stały na tej wysokości, co szkolnictwo zachodnio-europejskie, ale nawet w obrębie swego przestarzałego planu nie wypełniały nakreślonego zadania. Do głosów byłych wychowanków jezuickich możnaby dołączyć dla uzupełnienia obrazu świadectwa równie kompetentne a bardzo charakterystyczne. Są to dokumenty urzędowe, listy generałów, prowincyałów i wizytatorów Zakonu, biadających już od połowy XVII wieku nad smutnym stanem kolegiów i ślących upomnienia podwładnym prefektom. Załęski przytacza list O. Lasockiego, prowincyala Małopolski, a więc tej dzielnicy, do której należało

¹⁾ Górski, „Bibl. Warsz.“ 1891, II, 382—89.

Pokucie. Pismo pochodzi z r. 1766. Prowincyał zwraca uwagę prefektów na niebezpieczeństwo grożące szkołom Zakonu, oczywiście ze strony Pijarów, i na „ogólne skargi na małe staranie o nauki w tej prowincyi,” wytyka brak gorliwości w nauczaniu i uczeniu się i zaniedbywanie tego wszystkiego, „czego obecny wiek w użytecznem wychowaniu młodzieży od nas żąda.“¹⁾ Również ganią przełożeni przez cały szereg lat rozpowszechniony w szkołach panegiryzm, wybujałość stylu, napuszystość, brak treści. Ale upomnienia idą widocznie na marne. Przechowały się bowiem niektóre panegiryki jezuitów stanisławowskich z czasów szkolnych Karpińskiego, a ten, co je czytał, zadaje sobie pytanie, czego się mógł młody Franciszek od tych mistrzów nauczyć.²⁾

Prócz gramatyki łacińskiej i lektury autorów starożytnych uprawiano w kolegiach dość szeroko ćwiczenia retoryczne i poetyckie, mając na celu wyrobienie w uczniach pewnej samodzielności. Między innymi przepisywała Ratio studiorum układanie elegii i sielanek;³⁾ być więc może, iż już na ławie szkolnej poczuł Karpiński skłonność ku tym dwom rodzajom, jako odpowiadającym jego usposobieniu. Żywioł elegijny wypełnia przeważną część jego sielanek; trudniej jednakże byłoby wytłómaczyć na tle tej nauki powstanie wiersza do Justyny, jeżeli mamy go odnieść do owych czasów. Takich wierszy podówczas nie pisano, a prócz jednego zwrotu, będącego prawdopodobnie echem lektury Wergilego,⁴⁾ niema tam reminiscencyj ani poetów starożytnych, ani polskich. Chrzanowski widzi podobieństwo w pomysle do „Bohymni“ Szymona Zimorowicza,⁵⁾ jednak podobieństwo to, dalekie i zapewne przypadkowe, nie daje nam podstawy do dalszych wniosków. Należy zatem szukać innych wzorów.

Wobec braku oryginalnej liryki erotycznej w literaturze, uciekano się już od połowy XVII wieku do obfitej w tym rodzaju poezyi ludowej małoskiej. W seksternach rejentowiczów i podsędków znajduje się mnóstwo wierszy miłosnych, naśladowanych, a nawet przepisywanych z ruskich pieśni ludowych. Przytoczona uwaga prof. Brücknera,⁶⁾ wybornego znawcy naszej literatury rękopiśmiennej, naprowadza nas na domysł, że i Tęskność

¹⁾ Załęski, „Jezuici w Polsce,” V, 1044. ²⁾ Górski, j. w. ³⁾ Załęski, I, 114. Danysz: „Kanon lektury...” Muzeum 1902. ⁴⁾ Ecl. VI, 11; X, 8. ⁵⁾ Literatura, str. 515. ⁶⁾ „Geschichte d. poln. Lit.,” str. 251. „Dzieje literatury polskiej,” I, 895.

osnuta jest na podobnych motywach, pochodzących ze stron rodzinnych poety, że jest echem dumek, kołomyjek, nuconych nad jego kołyską. Ta drobna, ciemna szlachta, do której rodzina Karpińskich należała — matka nawet pisać nie umiała — pozostając w ciągłej styczności z ludem okolicznym, ulegała pod wielu względami jego wpływowi, a w dworku dzierżawcy Hołoskowa nucono te same pieśni, które rozbrzmiewały w chłopskich chatach. W latach dojrzałych wspominać będzie Karpiński z rozrzewnieniem o tych stronach,

Gdzie lata pędził dziecinne,
Zabawy miewał niewinne;
Gdzie wesołą od poranka
Śpiewała pieśń Pokucianka... 1)

Wrażliwy umysł młodego Franciszka odczuł oryginalność motywów i tęskną melodyę pieśni gminnej, a gdy pod wpływem pierwszej miłości uczuł potrzebę tworzenia, szedł mimowoli za tym wzorem, nie znajdując nic podobnego w lekturze. Nawet w latach późniejszych, gdy panująca moda literacka wrzęgnie go do swego rydwanu, ozwie się niekiedy, zwłaszcza w rytmice, echo pieśni słyszanej w szczęśliwych chwilach dzieciństwa.

Treścią pieśni wiosennej są uczucia, jakie się budzą w piersi ludzkiej w tej porze roku, jest kontrastowe zestawienie objawów budzącej się do życia przyrody z własnymi pragnieniami poety; odpowiada ona zatem w zupełności tokowi myśli w pieśniach ludowych. Wacław Zaleski, zastanawiając się nad treścią i układem kołomyjek, stwierdza te same cechy, które widzimy w Tęskności. Przedewszystkiem zwięzłość w budowie; dwa lub cztery wiersze, „w pierwszym zwykle jakiś obraz z otaczającej natury, w drugim uczucie, pomysł, który się właśnie wyrazić chciało.“ Zastanawia go także „głębokość pomysłu i uczucia, jakaś niewypowiedziana tęsknota, co im właśnie tę niepojętą moc nad sercem ludzkim i powab nadaje.“ 2)

Pomiędzy sielankami jest pierwsza pieśń do Justyny zjawiskiem odosobnionem, a z powodu swej piękności cieszy się po dziś dzień uznaniem. Słusznie przypuszcza Górski, 3) że ją to za-

1) W wierszu „do A. D. z okoliczności przybycia jego z Warszawy na Ruś w Galicyi.“ „Pisma,“ str. 472.

2) „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego.“ We Lwowie, 1833, stronica XL i nast.

3) „Bibliot. Warsz.,“ 1891, IV, 37.

pewne miał na myśli Mickiewicz, gdy stawiał niektóre wiersze Karpińskiego obok najpiękniejszych pieśni Goethego; Chrzanowski utrzymuje, że jest to jedna z najpiękniejszych pieśni w całej miłosnej liryce staropolskiej ¹⁾, a jeszcze w r. 1874 napotkać można po czasopismach czeskich jej tłumaczenia ²⁾. Wartości nie straci nigdy, bo nie powstała pod wpływem mody literackiej, ale początek bierze w odwiecznym źródle prawdziwej poezji. Świadczy także o wrodzonym instynkcie poetycznym autora, który atoli później z powodu niesprzyjających warunków nie mógł należycie swego talentu rozwinąć.

Opuszczając skutkiem nieszczęśliwych przejść gród Rewery, unosił Karpiński w duszy niezatarty nigdy obraz kochanki pierwszych dni i rzewne wspomnienia lat szkolnych. Ale prócz tego unosił coś więcej. Kochance, szkole i pieśni gminnej zawdzięczał rozbudzenie się zdolności poetyckich i uświadamianie powołania literackiego. W czasach saskich, w chwilach powszechnego upadku umysłowego i apatii zadatek to był tem cenniejszy.

Kiedy jednak świat porwie go w swoje objęcia i nie pozwoli przez szereg lat znaleźć odpowiedniego zawodu, marnować będzie tę iskrę bożą, nie pamiętając o tem, że kto nie idzie naprzód, ten się cofa. I trzeba będzie znów czekać na dzień, w którym na drodze jego życia stanie kobieta-kochanka i mentorka, aby w nim powtórnie rozbudzić miłość, wzbogacić umysł i dać impuls do pracy literackiej.

II.

Portret fizyczny i duchowy drugiej kochanki Karpińskiego łatwiej i wyraźniej da się nakreślić dzięki notatkom w „Pamiętniku“ i zgodnym z niemi rysom, jakie zebrać możemy z poezyj, do niej pisanych ³⁾. Na twarzy „nie wiele przyjemnej“ żarzyły się ogniem czarujące oczy; wzrost hoży, ciało najbielsze, ręka najpiękniejsza — to strona zewnętrzna. Zalety duchowe: edukacja wyższa, wiadomość rzeczy niepospolita z czytania książek, stąd skłonność do dysputowania; kobieta cnotliwa i stateczna, była

¹⁾ „Literatura niepodległej Polski“, 515.

²⁾ Bibliografia Estreichera, w. XLX, t. VI, 348.

³⁾ „Pamiętnik“, str. 1137; sielanki: 1, 6, 14, 16 i wiersze: „Na imieniny swojej Pani“ i „Na dzień urodzin Maryanny Ponińskiej.“ Pisma, str. 328 i nast.

przykładem czasem nadaremny mężowi swojemu nienaruszonej wiary małżeńskiej, a sąsiadom grzeczności; serce jej odznaczało się litością, głośną w okolicy całej; smutnego pocieszyła, a biednego odziała.

Jak widzimy, typ to inny, niż pierwsza kochanka: na pierwszy plan wysuwają się zalety umysłu. W takiej to kobiecie „przyszło się rozkochać“ Karpińskiemu, gdy po nieudalnym szukaniu odpowiedniego zawodu w stolicy czerwonoruskiej w r. 1764 wrócił w strony rodzinne. Dziwny ten stosunek występującego w roli guwernera eksteologa i ekspalestranta do pani starościny ostrowieckiej, przetrwa długie lata i odbije się głośnym echem w „Sielankach.“ Próbujemy go wyjaśnić i bliżej określić.

Ze szkół wyniósł Karpiński mało wiadomości, zwłaszcza takich, któreby mu się mogły w świecie przydać. Znajomość łaciny i starożytnych autorów z dodatkiem znacznej dozy ambicji, a nawet zarozumiałości, oto wszystko. Już we Lwowie miał sposobność przekonać się, co ta wiedza warta i nauczył się cenić kobiety, imponujące wyższem wykształceniem. Gdy wszedł w gościnne progi dworu w Zahajpolu, znalazł się wobec pani Ponińskiej w tem położeniu, co Tadeusz wobec Telimeny przy pierwszej wieczerzy. Kobieta odcytana, sawantka, tem łatwiej zawojowała naturę bierną, szukającą oparcia, łatwo ulegającą wpływom. Nauka nie ograniczyła się zapewne na początkach języka francuskiego i formach towarzyskich, ale sięgała znacznie głębiej, zwłaszcza, że towarzyszył jej czynnik potężny, miłość, jak się zdaje, wzajemna. Nie należy się temu dziwić. Karpiński miał lat dwadzieścia kilka i „krew żywą,“ a wdziękom kobiecym ulegał łatwo, pani Ponińska zaś, choć o lat 14 starsza od niego, w tym była wieku, w którym kobieta bardzo silnie jeszcze odziaływa na mężczyzn, zwłaszcza przy bliższem i ciągłym obcowaniu. Stosunek ten zawierał już sam przez się wiele pierwiastku dramatycznego, ale dzięki rozsądkowi i taktowi kobiecemu nie posunął się za daleko. „Małe koncesye—pisze Bełcikowski—zdaje się, czasem otrzymywał; robiono je, wybierając z dwojga złego mniejsze, jako nagrodę i zachętę do utrzymania na dobrej drodze.“¹⁾ Mogli powiedzieć o sobie:

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmiejcie.

Natomiast nie widzę powodu do gorszenia się tym stosunkiem i pojmowania roli pani Ponińskiej, jako dwuznacznej. Po-

¹⁾ Ze studyów, 363.

dobnie jak Karpiński nie był gorszym pod względem obyczajów od swoich rówieśników, ale raczej lepszym, tak i ona stała o całe niebo wyżej od ówczesnej modnej żony, a to, co ze stanowiska ścisłej moralności możnaby zakwestyonować, zrównoważyła dodatnim, uszlachetniającym wpływem. W tym najciemniejszym u poety okresie życia bez jutra, bez stałego zajęcia, nie zaspokajającego potrzeb duchowych, zdala od ognisk cywilizacyjnych, pani Ponińska jest gwiazdą prawdziwą i jedyną. Ona podtrzymywała go na pewnej wyżynie i udzielała szkoły życia, tak bardzo wówczas potrzebnej; uratowała go od pogrążenia się w bagnie tradycyji saskich. To też nie możemy się dziwić, że w starości tak wdzięcznie imię drugiej Justyny wspominał. Na rok 1770—1771 przypada pobyt w Wiedniu. Czy ta pierwsza i ostatnia w życiu poety podróż zagraniczna miała pewien związek z miłością, czy zapomnienie było głównym jej celem, czy dalsze kształcenie się zdala od walki, toczącej się w kraju, możemy tylko przypuszczać.

Gdy schorowany i zniechęcony do świata i ludzi stanął znów na ziemi ojczystej, czekała go niespodzianka. Pan starosta świeżo pożegnał się z tym światem; druga Justyna była wolną. Kilka lat tedy przepędza znów bezczynnie u jej boku w Milatyczach pod Lwowem.¹⁾ Teraz dopiero rozegrał się w ich miłości ostatni, wielki i pełen dramatycznych wstrząśnień akt, którego owocem i świadectwem szereg sielanek.

Obraz wzajemnego stosunku obojga osób w tym nowym okresie na podstawie niedość jasnych notat w „Pamiętniku“ tak się przedstawia: „Do Lwowa przyjechawszy — pisze poeta — zastałem już wdową wojewodzicową poznańską i więcej już sobie obiecując z tą już wolną najcnotliwszą kobietą, może ją jeszcze surowszą znalazłem.“²⁾ Z tych słów wynikałoby, że w pierwszej chwili nie myślał o małżeństwie. Czytajmy dalej. Wspomniawszy o tem, że go grzecznie przyjęła i lubiła jego towarzystwo, tak pisze: „Bała się ona *w początkach* małżeństwa ze mną, będąc starszą ode mnie 14 latami, bojąc się nadewszystko, jak była zawistną, ażebym się w drugich nie kochał, ale i ja sam *potem*, wolać często z młodszemi miewać rozrywki, powiększyłem bojaźń jej.“³⁾ To znaczy, że już na samym wstępie oświadczył się o jej

¹⁾ Od końca 1771 do połowy 1775 r. Górski, „Pam. Lit.“ 1904, 542—545.

²⁾ „Pamiętnik“, 1160. ³⁾ Tamże.

rękę, ale nie został przyjęty; jako powód rekuzy podano znaczną różnicę wieku. Bardzo charakterystyczny jest koniec przytoczonego zdania. Wynika zeń, że zrazu po przyjeździe był jej wierny, „potem“ jednak, chociaż nie przestał starać się o nią, już jej nie kochał, jak dawniej, gdyż wolał szukać rozrywek z młodszymi. Widocznie zatem nie samo uczucie kierowało jego zamiarami. Z pierwszą kochanką rozstał się — jak wynika z zeznań — stosunkowo dość łatwo, choć miał w niej młodość, piękność, wzajemność i gotowość do poświęcenia się najcięższym trudom życia; pani Ponińska natomiast nie miała żadnej z powyższych zalet, nie żywiła dlań w owym czasie innego uczucia, prócz przyjaźni, a mimo to Karpiński w wierszach do niej pisanych błaga wciąż o wzajemność, myśli o związkach nawet wtedy, gdy już i jego uczucie zaczęło wygasać. Wyjaśnienie tego dziwnego zachowania się nie będzie trudne, jeżeli sobie uprzytomnimy, że gdy Brössłówna dawała mu tylko serce, to druga kochanka posiadała inne ważne zalety, odpowiadające jego długoletnim pragnieniom i aspiracyom: imponowała wyższością umysłu i w razie zrealizowania planów zapewniała biednemu tułaczowi byt dostatni i stanowisko społeczne. Pragnienia serca, umysłu i wzgląd na dobra materyalne miały być od razu zaspokojone. Los uśmiechał mu się, to też „jak najgoręcej chciał połączyć się z nią ślubami małżeńskimi.“ Natrafiwszy jednak na opór, musiał zrezygnować z swych żądań, a dla pokrycia porażki dodaje, że się obawiał „humoru“ kochanki, który miał tę złą stronę, że „lubiła dysputować ustawicznie“ (!) ¹⁾. Pani Ponińska miała liczne i ważne powody, żeby pójść za głosem górującego w niej przez całe życie rozsądku i propozycye stanowczo odrzucić a dziesięcioletnią wierność wielbiciela wynagrodziła w sposób, świadczący o znajomości przyczyn, które mu rozłąkę utrudniały. Teraz rozpocznie Karpiński nowy okres życia, okres pracy, a po długoletniej znajomości pozostanie mu pewna gorycz i poczucie doznanego zawodu. Gdy pierwszej Justynie starzec słać będzie zdala pozdrowienie i dopytywać się o nią, o pani Ponińskiej ani słówkiem nie wspomni w listach ²⁾, za to w jednym z późniejszych wierszy, rozmyślając o latach ubiegłych, westchnie:

...jak pełna obludy
Miłość, przed którym kolano uginał,
Jak marniem tracił westchnienia i trudy...³⁾

¹⁾ Pam., 1169. ²⁾ Górski, Pam. lit., 1904, 545. ³⁾ „Na Wolkruz.“ Pisma, 394.

Z kolei nasuwają się pytania, które sielanki powstały na tle tego stosunku, do jakich chwil odnieść je należy i jak się uczucia poety w nich odzwierciadlają. Pytań tych krytyka dotychczas nie rozwiązała. Opierając się na niedość dokładnych wzmiankach w „Pamiętniku,“ jedni odnoszą je do poszczególnych okresów tej miłości, drudzy nie uwzględniają granicy; niekiedy widzimy sprzeczność u jednego i tego samego biografą.¹⁾ Otóż tutaj z całą stanowczością mogę się oświadczyć za drugim okresem stosunku, a nawet i ten przeciąg czasu znacznie ograniczyć; za pierwszym natomiast nic nie przemawia. Mam na myśli te sielanki, w których uczucie podmiotowe wyraźnie się przebija. Jest ich pięć.²⁾

Nie należy zapominać, że była pewna różnica co do pojęć w zakresie obyczajowości pomiędzy Warszawą a dworem szlacheckim na dalekiej prowincyi. Tam uchodziły podobne stosunki jako modne, tu były czemś gorszącym, zwłaszcza w oczach tej sfery, z której pochodził Karpiński. Pani Ponińska była kobietą rozumną i „cnotliwą,“ młody Franciszek zaś, wychowany w domu i w szkole w zasadach surowej moralności, musiał się bez wątpienia ukrywać ze swem uczuciem. Już kochać się w mężatce i matce było zdrożnością, a cóż dopiero przelewać swe uczucia w rymy i żądać wzajemności. Co ważniejsza, nie mógł mieć wówczas poeta tej nadziei, która tak silnie tętni w erotykach do Justyny. Zresztą i w „Pamiętniku“ nic o nich nie wspomina, pisząc o tym okresie życia, a notatka, którą wyżej przytoczyłem, przypada na czas po powrocie z Wiednia. Wtedy położenie obojga zupełnie się zmieniło. Mógł więc pisać o swej „dawnej stateczności,“ narzekać na kochankę, że „przez tak długi przeciąg“ jego „wiernej zasługi“ jest „nieużyta“ i żałować „tych lat, co się przepędziło“ (siel. 5). Mógł pod koniec stosunku powiedzieć, że drzewa jeszcze „małe były,“ lub że je sadził wtenczas, gdy „się rozkochał w Justynie“ (siel. 14).

Wogóle pięć wspomnianych sielanek pozwala nam nietylko wnioskować o czasie powstania, ale nawet złożyć dość dokładny, a wierny, bo współczesny, obraz przejść miłosnych poety, jego pragnień i stosunku do kochanki.

Mieści się tu cała skala uczuć, począwszy od łagodnej radości, aż do myśli o samobójstwie. Najbardziej boli go niewdzięcz-

¹⁾ Np. Górski, „Bibl. Warsz.,“ 1891, IV, 59 i „Pam. lit.,“ 1904, 544.

²⁾ „Do Justyny, o wdzięczności“ (1), „Do Justyny, o stateczności“ (5), „Do skowronka“ (7), „Do Justyny“ (14), „O Justynie“ (16).

ność kochanki i jej upór, graniczący z okrucieństwem. Choć tyle lat przepędził przy niej i zawsze był wiernym, ona rani jego serce zboleła swą oziębłością, głucha jest na jego łzy, głucha na ogień, co go trawi. A powinna się poczuwać do wdzięczności, bo nawet u zwierząt, roślin i w martwej przyrodzie to uczucie napotykamy. Rzeka oddaje swe wody morzu, bo z niego je otrzymała, drzewo za to, że ciągnie soki z ziemi, odwdzięcza się w ten sposób, że jej spuszcza z wierzchołka swoje nasienie, z którego potem wyrasta mnóstwo drzewek, a człowiekowi, co je zasadził, dostarcza owoców. Pies, którego poeta komuś darował, nie chce przyjmować pokarmów w cudzym domu, wreszcie urywa się z łańcucha, schudzony powraca do dawnego pana i rękę mu liże. Zazdrości skowronkowi, który śpiewa swej wiernej samicy i raduje się, gdy przy niej siądzie. Tem bardziej boli go zakamieniałość Justyny, że wobec innych osób okazuje się zawsze litościwą. Nie może on spać ani jeść, czuje się chorym; przyjaciel radzi mu lekarza, ale jemu żadne leki nie pomogą, bo Justyna jest jego zdrowiem. Gdy mu się ukaże, rozjaśnia się w jego duszy, a gdy się uśmiechnie, radość przejmuje jego serce. Mimo okazywanej wzgardy on ją zawsze kocha i odtrąca inne kobiety, ofiarowujące mu miłość; woli ją niż najserdeczniejszego przyjaciela i tak długo wytrwa przy niej, aż się doczeka odmiany. Najwierniejszym może obrazem cierpień kochanka i scen, jakie się w dworku p. Ponińskiej rozgrywały, jest sielanka 14. Gdy ją czytamy, mimowoli przychodzą na myśl słowa pierwszego biografa: „Nieraz, jak mi to za życia powiadał, do tyła był przejęty rzeczą przez się pisaną, że gdy mu przychodziło tkliwe zwłaszcza wyrażać uczucia, łzy mu skrapiwały pióro.“¹⁾ Bardzo dobrze charakteryzuje ich wzajemny stosunek zwrotka ostatnia tego wiersza:

Kiedyś tak w uporze trwała,
 Otóż ja cię odstępuję...
 Ach! tyś łaskawie spojrzała:
 Nie wierz mi, ja to żartuję!

Stan rzeczy jest w sielankach tak wiernie przedstawiony, że nie brak nawet wzmianki o chorobie, trapiącej go w Wiedniu i po powrocie i o radzeniu się lekarzy.

Uderza w nich to, że poeta, starając się dosadnemi barwami odmalować swą miłość, używa wszelkich sposobów, aby wytló-

¹⁾ Kornilowicz, str. 70.

maczyć Justynie, że powinna mu być wzajemną tytułem wdzięczności. Sądzę przeto, że wspomniane wiersze nie były niosącymi ulgę wylewami zboląłego serca, ale miały przedewszystkiem na celu uporną kobietę nakłonić do związku wymownem i jaskrawem odmalowaniem swych cierpień. Jeżeli zaś obraz powyższy uzupełnimy wzmiankami z „Pamiętnika,“ odniesiemy pięć pomienionych sielanek do pierwszych chwil po powrocie z Wiednia, kiedy to „najgoręcej chciał połączyć się z nią ślubami małżeńskimi.“

Możemy powyższe zapatrywania, opierające się na rozbiórce treści, poprzeć dowodami innymi, usuwającymi stanowczo resztę wątpliwości.

III.

Sama miłość nie wystarczała do obudzenia twórczości u pisarza tego rodzaju, co Karpiński. Jeżeli do r. 1771 zaledwie kilka wierszy napisał, winną temu była martwota umysłowa owych czasów, brak przykładów i wzorów, brak bodźca zewnętrznego. W kilka lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta stan rzeczy zmienił się zupełnie i gdy Karpiński z Wiednia powrócił, powitał go na ziemi ojczystej brzask odradzającej się poezji. Była to—obok wdowieństwa pani Ponińskiej—druga, jeszcze donioślejsza niespodzianka.

Rok 1770 jaśnieje jak gwiazda pierwszorzędnej wielkości na kartach literatury polskiej XVIII wieku. Po dramacie przychodzi kolej odrodzenia na inne rodzaje poezji. Wprawdzie główne postacie nie ukazują się jeszcze na widowni, za to spotykamy wydawnictwa, będące niejako zapowiedzią nowego kierunku. Praca rozpoczyna się od nawązania przerwanej nici, łączącej odległe pokolenia pod względem umysłowym i literackim. Rzecz w odniesieniu do naszego tematu ciekawa, że w szeregu druków owych lat główny kontyngent stanowią sielanki. Największem wydawnictwem były „Sielanki polskie z różnych autorów zebrane, teraz przedrukowane przez Ad. Naruszewicza.“ Dedykowane ks. A. Czartoryskiemu. Zbiór ten zaczął wychodzić już w r. 1769 i obejmował dawniejszych sielankopisarzy polskich, jak Szymonowicza, Zimorowiczów, Gawińskiego, z nowszych Minasowicza, a nawet tłumaczenia starożytnych autorów, jak Vergilego i Biona. Wydawnictwo było na czasie, skoro już w r. 1778 doczekało się trzeciego wydania; nie odpowiadało zapewne w zupełności

ówczesnemu smakowi, ale za to przypominało, że niegdyś w Polsce uprawiano z pomyslnym skutkiem ten rodzaj poezji, publiczność nauczyła pożądać podobnej lektury, a literatów pobudziło do wstąpienia na tę drogę. Większą może jeszcze doniosłość miało inne wydawnictwo, czasopismo literackie, założone w tym celu, aby, odpowiadając potrzebom literatów i czytającej publiczności, ujęło sporadyczne usiłowania w prąd stale płynący. *Zabawy przyjemne i pożyteczne* miały dawać obraz kierunków literackich zachodnio-europejskich, przeszczepionych na grunt polski. Nie zabraknie tam oczywiście modnej podówczas na Zachodzie sielanki; w pierwszych rocznikach „Zabaw“ będzie ona nawet dominowała. Już w I tomiku, obejmującym pierwszą połowę r. 1770 znajdziemy sześć sielanek, głównie pióra Naruszewicza. ¹⁾ On to bowiem stanął na czele pracowników i obficie zasilał pismo swymi wierszami. „Utwory te, pisane w panującym guście klasyczno-francuskim, przewyższały czystością języka, łatwością wierszowania, bogactwem i różnaitością formy wszystko, co od czasu upadku poezji pojawiło się z pod pióra polskich autorów i zrobiły wielkie wrażenie. Okrzyczano Naruszewicza pierwszym, najznakomitszym poetą, a sława jego rozniosła się po całym kraju.“ ²⁾ Dodajmy: „Zabawy“ znalazły się wkrótce w domu pani Ponińskiej i w rękach zajmującego się literaturą Karpińskiego i nietylko zajęły go, jak wielu innych, ale wprost zadecydowały o jego powołaniu. Posłuchajmy, co o tem sam pisze w pierwszym tomiku, wydanym w r. 1780.

Wiersz p. t. „Do Naruszewicza B. K. S. przy oddaniu wierszy Na sumienie“ nie jest zwyczajną dedykacją. Jest to raczej szczerą spowiedź pisarza, występującego po raz pierwszy przed publicznością i zdającego sobie doskonale sprawę z własnych ułomności i z różnicy, jaka go dzieli od mistrza.

Wystawiwszy zasługi Naruszewicza, „następcy“ Kochanowskiego, tak pisze:

Przypatrując się twojemu rymowi
I mnie się pisać zachciało:
Oddaję memu nauczycielowi
Wiersze, na jakie mię stało.
Szczęśliwyś, czyli śpiewasz gaj zielony... ³⁾

¹⁾ „Mirtyl“, „Dafne“, „Wiosna“, „Ismena i Koryl“, „Pacierz staruszka“, „Czteryćści roku: piosnki wieśniacze.“

²⁾ Pilat: „Lit. pols.," IV, str. 91. ³⁾ „Pisma," str. 352.

Przytoczone słowa są dla nas niezmiernie ważne, posiadają one w porównaniu z „Pamiętnikiem“ wartość dokumentu współczesnego. Wynika z nich nie tylko, że Karpiński uważa się za ucznia ks. biskupa, ale, co ważniejsze, że dopiero pod wpływem jego poezji zaczął tworzyć seryo, t. zn. z zamiarem ogłoszenia swych pódów drukiem i że sam dopiero od tego czasu datował swą twórczość. To, co powstało przedtem, miało charakter dyletancki i wynikało poniekąd z inicjatywy, wyniesionej ze szkół jezuickich, w części zaś z wrodzonego pociągu do pióra. Jest to nowy powód skłaniający nas do wielkiej ostrożności w odnośzeniu niektórych utworów do czasów przed r. 1771.

Nasuwa się jednak pytanie, czy przytoczone wyznanie należy brać dosłownie, czy może raczej uważać za komplement pod adresem wpływowego męża. Otóż jakkolwiek nie możemy wyłączyć chęci pozyskania względów Naruszewicza, nie mamy również najmniejszej podstawy powątpiewać o prawdomówności Karpińskiego. Przeciwnie, ta szczerość, czasem nieco naiwna, która bije z całego wiersza, podyktowała mu także powyższe słowa. Dowód czerpiemy wprost z owych pięciu pieśni do Justyny, porównywając je z niektórymi sielankami Naruszewicza.

Jest rzeczą znamionną, że gdy inni współcześni poeci doznawali podniecia do pisania ze strony dworu lub otoczenia, Karpińskiego pobudza do twórczości nieszczęśliwa miłość, a lektura współdziała, dostarczając tu i owdzie wzorów dla formy, zostawiając pewne ślady w wyrażeniach, porównaniach i obrazach. Z pomiędzy książek drukowanych w owych latach największe wrażenie sprawiły na Karpińskim „Zabawy,“ a z pośród utworów tam umieszczonych sielanki Naruszewicza.¹⁾ Stąd wypłynęły niektóre mimowolne reminiscencye. Jeden tylko motyw ogólny wzięty prawdopodobnie z sielanki „Pacierz staruszka,“ drukowanej w wymienionem czasopiśmie w r. 1770.²⁾ Na początku skreślony następujący obraz: staruszek wstaje o wschodzie słońca i podziwia budzącą się do życia przyrodę i ptactwo, mianowicie jaskółkę i skowronka:

Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje
Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.

¹⁾ Pierwszy zbiór oryginalnych utworów Naruszewicza wyszedł dopiero w r. 1778.

²⁾ T. I, cz. 2, str. 177.

W 7 sielance Karpińskiego „Do skowronka“ jest podobny obraz. Poeta, który „spać nie może,“ widzi wlatującego skowronka i zapytuje go, dlaczego tak wcześniej się zbudził. Następne strofy wypełnia opis ptaka wzbijającego się w górę i przyspiewującego „swej kochance.“ Otóż taki obraz ptaka, wyrażającego radość lub boleść w swych pieniach, powtarza się kilkakrotnie w sielankach Naruszewicza, przerobionych z Gessnera. I tak w sielance „Oczekiwanie pasterza na towarzyszków,“ drukowanej w „Zabawach“ z początkiem roku 1771, pasterz oczekujący towarzyszków opiewa piękność miejsca, w którym pasie trzody. Ptactwo tak opisuje:

Garliczka jęczy, kukawka kuka,
Słowik swej biednej zabywa *doli*;
Każdy wyraża ptak, czego szuka,
Z czego się cieszy, lub co go *boli*.

A Karpińskiego skowronek:

Jakże się w górę coraz wyżej wznosi,
Zostawiwszy swą samicę wśród *roli*,
Niby ją łaje, niby o coś prosi,
Niby się smuci i niby *swywoli*.

Jak widzimy, podobne obrazy i podobny rym.

Jeszcze wyraźniejszą reminiscencją z Pacierza staruszka napotkamy w sielance 14 „Do Justyny.“ Pierwsze dwie zwrotki tego wiersza brzmią:

Drzewa, wyście małe były,
Gdym się zakochał w Justynie;
Dzisiajście się rozkrzewiły,
Gałąz wasza chłodem słyńcie.
Insze mi już *owoc dały*,
Com je w drobnem ziaruku *sadził*...

W sielance Naruszewicza staruszek cieszy się, że swoje potomstwo starannie i zdrowo wychował i porównywa je do zasadzonych własną dłonią drzew:

Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
Jako oto te gruszki, oto te orzechy,
Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
Okolo chatki mojej we dwa rzędy *sadził*.
Teraz, gdy roztoczyły szerokie ramiony,
Mam w nich w jesieni owoc, mam w lecie *zastlony*.

Kilka wierszy wstecz mamy podobne porównanie: starzec pielęgnuje troskliwie drzewa jak dzieci, w nadziei, że dadzą mu kiedyś owoc i cień. Co ciekawsze, w przytoczonej sielance Karpińskiego znajdziemy znów te same rymujące się wyrazy końcowe, co w sielance Naruszewicza „Narcyz.“¹⁾ Karpiński:

Ona mnie dotąd nie *kocha*,
Choć jej wzgardy znoszę skromnie;
Trzyma mnie, że jest nie *płocha*...

Naruszewicz:

Przypatrzyć się sobie lepiej, boć to miłość *płocha*;
Kiedy kto czego nie zna z gruntu, w tem się *kocha*.

Podobieństwo myśli i wyrazów znajdzie się także między 16 sielanką Karpińskiego, której główną myślą radość w sercu poety i w otaczającej go przyrodzie za ukazaniem się Justyny, a Naruszewicza „Oczekiwaniem“ na towarzyszków, gdzie pasterz śpiewa, jakie zmiany sprowadza w przyrodzie wschodzące słońce.

Karpiński:

Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty,
Rozzielenił się las mój gałęzisty;
Oczyma swemi wszystko czaruje:
Sprowadza burzę, albo wstrzymuje.

Naruszewicz:

Wszystko na jego przyhycie się śmieje:
Ptak się weseli, ziółko zielenieje...

A nieco dalej czytamy:

Samego ciebie brak, ukochany
Dafni, o lasów naszych ozdobo!
Ciebie gdy niemasz, i kwiat różany
Grubą się dla mnie zaćmił żalobą.

A więc Dafnis ma tę władzę, co Justyna: gdy się zjawi, wszystko dokoła się weseli, gdy go brak, nietylko duszę pasterza ogarnia smutek, ale i przyroda okrywa się żalobą, jakby mgłą. To współczucie przyrody oddane jest także w sielance p. t. „Narcyz.“ Narcyz, przemieniony w kwiat, opowiada dzieje swej nieszczęśliwej miłości.

¹⁾ „Zabawy przyjem. i poz.“ t. IV, cz. 2, 1771.

Na mą klęskę żaloszne Najady pobladły,
 Smutne kwiaty z nadobnej barwiczki opadły,
 Gaj pożółkniał, co się wprzód wesoło *zielenił*,
 Strumień, łzami nabrzmiały, srodze się zapienił.

Tak więc trzy sielanki Karpińskiego noszą na sobie wyraźne ślady wpływu podobnych utworów Naruszewicza w pomysłach ogólnych, obrazach, wyrażeniach i rymach. Podobieństwo jest tego rodzaju, że świadczy o oddziaływaniu lektury świeżem, wywołującym silne wrażenie. To potwierdza również przypuszczenie, że wiersze, o których mowa (siel. 7, 14, 16), powstały pod wpływem miłości osobistej i rozczytywania się w „Zabawach“ tuż po powrocie do kraju, t. j. przy końcu r. 1771 lub w następnym.

Prócz trzech powyższych odnoszę do tego czasu jeszcze dwie inne sielanki, a to 1 „Do Justyny o wdzięczności“ i 5 „Do Justyny o stateczności.“ Skłania mnie do tego nietylko drgająca we wszystkich pięciu wierszach ta sama struna uczucia bez wzajemności i cierpień, niszczących ducha i ciało, nietylko analogia w tytułach, ale głównie pewne podobieństwa w zakresie stylu. I tak, sielanka 1 odznacza się bardzo blizkiem pokrewieństwem myśli, słów i formy z sielanką 14, pisaną pod wpływem Naruszewicza. W obu podane drzewo, jako przykład wdzięczności dla kochanki. O swych „zasługach“ wspomina poeta w sielance 1 i 5, o „uporze“ Justyny, o jej „litości,“ o swem „sercu zboletem“ w sielance 1 i 14. Przytaczam zresztą dla porównania dwie ostatnie zwrotki obu wierszy.

Sielanka 14:

Skłonność twoja do *litości*
 Głośna w okolicy całej;
 Samej nie znając *miłości*
 Ranisz mnie, choćem *zboleła*.
Kiedyś tak w uporze trwała...

Sielanka 1:

Może me zasługi małe
 Nie warte twojej wdzięczności;
 Ale to serce *zbolełe*
 Warte całe twej *litości*.
Kiedyś cię kto spyta...

Prócz podobnych w obu zwrotkach myśli uderza posługiwanie się tą samą formą rytmiczną, tymi samymi rymami i użycie tych samych wyrazów na początku i na końcu kilku wierszy.

Także sielanka 5 zawiera obraz położenia zgodny z Pamiętnikiem i z sielankami innymi, pochodzącymi z tych czasów.

Jeżeli przeprowadzona analiza pozwala nam dość dokładnie oznaczyć czas powstania pięciu erotyków, a nawet miejsce, to z układu całego zbioru żadnych wniosków snuć nie można. Jeżeli oznaczymy 21 sielanek liczbami porządkowymi, to na wiersze pisane do pierwszej i drugiej Justyny przypadają cyfry 1, 3, 5, 7, 14, 16. Otóż poeta nie ugrupował ich w całość, ale poprzeplatał napisanymi później sielankami. Zaliczył i wcielił do tego zbioru wynurzenia własnych uczuć, ponieważ miłość stanowi jeden z głównych elementów sielanki od najdawniejszych czasów. Chcąc zaś nadać niektórym współczesną cechę sielankową, przyozdobił je Koryłami, Akostami, Filonem i Dorydą, a siebie samego nazwał raz Korydonem.

Tak drogie dla poety imię Justyny spotykamy jeszcze w trzech innych sielankach, napisanych później; nie kryje się pod niem atoli bynajmniej pani Ponińska. To imię staje się zwolna konwencyonalną nazwą sielankową i bywa używane na równi z Klorydą i Palmirą. I tak w siel. 6 *Do motyla* i w 20 *Na posągi rolnictwa i poetyki* występuje Justyna jako zwykła sielankowa kochanka, której poeta pragnie schwytać motyla, lub złożyć wraz z nią ofiarę na ołtarzu bogów. Niczem jest to jednak wobec roli, jaką jej powierzył w siel. 17 *Dzieci u matki*. Występuje ona tam jako sędziwa matrona, otoczona dziećmi i wnukami, modląca się za ich zdrowie i ciesząca się ich szczęściem. Zobojętnienie dla kobiety, tak bardzo niegdyś kochanej, wyczytać można także z późniejszych sielanek; wraz z uczuciem ulatuje i obraz dawnej kochanki, pozostaje tylko sama jej nazwa.

W rozwoju talentu i działalności pisarskiej Karpińskiego zajmują sielanki pisane do Justyny miejsce wybitne. Własne przejścia podyktowały mu te pieśni, to też stopień zależności od wzorów jest stosunkowo nieznaczny, w późniejszych sielankach dopiero daje się porwać panującemu prądowi literackiemu. Pełne prawdy uczucie, wydobyte z piersi poety, udzielało się drugim, to też nie należy się dziwić, że współcześni wyróżniali tych kilka wierszy z pomiędzy wszystkich innych utworów, wydanych w roku 1780, że król Stanisław August powitał go po raz pierwszy jako „kochanka Justyny,” że zwano go „śpiewakiem Justyny.” Istotnie, takie pieśni były podówczas zjawiskiem wyjątkowym. Któż miał je pisać? Jedni z poetów stanisławowskich byli sceptykami w miłości, drudzy, nosząc suknię duchowną, zostawiali za

kulisami swoje uczucia.¹⁾ Inaczej Karpiński. Żył on dotychczas tylko dalekiem echem tego, co się działo w Warszawie, a jego uczucie miało—mimo odcienia zmysłowości—pewną cechę świeżą, pewną niewinność. Zawdzięczał to drugiej kochance, która, opiekując się nim przez 10 lat z górą, nie dozwoliła przejąć się cynizmem ani zepsuciem, lecz zachowała go takim, jakim był w owych latach, gdy się kochał w Brösslównie. Jakim był w rzeczywistości, takim widzimy go w sześciu najwcześniejszych sielankach. Nie potrafił on tam wyrazić swego uczucia w formie wytwornej ani wzniosłej, ale też właśnie dlatego podobał się współczesnym, że tak pisał, jak czuł i myślał.

Rozważane na tle ówczesnego prądu sielankowego w Europie, a w szczególności w Polsce, są one świadectwem, że poeta pozostawał pod jego wpływem; a chociaż temat, około którego się obracają, nadał im barwę odmienną, to jednak już wtedy musiał Karpiński powziąć zamiar poświęcenia swego pióra temu tak ulubionemu podówczas rodzajowi, uprawianemu przez mistrza Naruszewicza i przygodnych pisarzy, grupujących się dokoła niego w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych.“ Ślady wpływu sielank, przerobionych z Gessnera, o tyle są ciekawe, że stanowią dalszą odnogę skombinowanego oddziaływania pewnego prądu zachodnio-europejskiego na naszą literaturę.²⁾ Ulegając wpływowi panującego sentymentalizmu i zwrotu do natury, pisze idylle Gessner, wkrótce tłómaczą go na język francuski; z tego przekładu korzysta Naruszewicz; jego wiersze docierają do dworów szlacheckich na odległej prowincyi i pozostawiają ślady na erotycznych wynurzeniach kochanka.

IV.

Kiedy Karpiński trawił czas u boku swych Justyn, szedł już przez Europę silny powiew nowego prądu umysłowego, który miał wkrótce wywołać doniosłe przewroty nie tylko w literaturach, ale w życiu i losach społeczeństw. Ukrywane i tłumione za panowania klasycyzmu i racjonalizmu uczucie zaczęło się upominać o swoje prawa. Datę narodzin nowego kierunku zwykliśmy upatrywać w r. 1761, w którym „Nowa Heloiza“ opuściła prasę i po-

¹⁾ Belcikowski: „Ze studyów,“ 361.

²⁾ Pilat: „Literatura,“ IV, str. 104.

budziła serca czytających do silniejszego bicia. Ta radosna nowina nie była jednak pierwszą. Już na kilka dziesiątków lat przedtem budziła inna książka podobne, choć o wiele słabsze dreszcze. Rodem była z Anglii, podobnie jak wszystkie niemal nowości w dziedzinie myśli ludzkiej wieku oświeconego. W latach 1726—30 ukazały się „Pory roku” i zyskały wkrótce niebywałe powodzenie nie tylko w ojczyźnie Thompsona, ale w wyższym jeszcze stopniu na kontynencie. Dzięki swym niepospolitym pięknościom tłómaczone na inne języki, stały się wkrótce dostępne wszystkim oświeconym narodom. Krytyka widzi w nich uczucia, rozpierające pierś późniejszego Rousseau'a, nawet w podobną przybrane formę. Poeta odwraca twarz od współczesnej sobie nędzy i zepsucia a kreśli w prostocie życia leżące szczęście pierwszych wieków ludzkości; wskazuje uczucia proste, rodzinne, miłość idealną a głęboką, jako źródło prawdziwego zadowolenia; z pietyzmem i entuzjazmem zwraca się do przyrody, maluje ją w mistrzowskich opisach, uczy podziwiać w niej potęgę Boga.¹⁾ A więc już poemat szkockiego pisarza zawiera dwa nowe pierwiastki: zwrot do przyrody i uczucie, rozbudzone jej widokiem w sercu ludzkim.

W środkowej Europie, w Szwajcaryi, prąd ów wytrysnie po latach nowem, daleko potężniejszym źródłem. Dwaj rodacy, Gessner i Rousseau, choć tak różni talentem, rodzajem i siłą uczucia, zyskują w początkach drugiej połowy XVIII wieku europejski rozgłos i wpływ.

Po kilku drobnych próbkach („Daphnis,” 1754) wydaje Salomon Gessner w r. 1756 dwadzieścia trzy sielanki.²⁾ W Niemczech podobają się powszechnie. W dwa lata później wychodzi „Śmierć Abela,” rodzaj poematu heroicznego, osnutego na tle biblijnem, a traktowanego na sposób sentymentalno-sielankowy.³⁾ Jest to jeden z najcharakterystyczniejszych pomników uczuciowości XVIII wieku. Zaraz w następnym roku przełożony na język francuski przez Hubera zyskuje niezmiernie powodzenie we Francyi, zwłaszcza wśród kobiet i toruje drogę do sławy światowej wcześniejszym utworom tegoż pisarza. Sielanki ukazują się po raz pierwszy w szacie francuskiej w r. 1762.⁴⁾ Krytyka francuska zajęła

¹⁾ H. Taine: „Histoire de la littérature anglaise,” t. IV, str. 224. Hettner: „Geschichte der engl. Litteratur,” 5 Aufl. str. 483.

²⁾ Tytuł brzmiał: „Idyllen vom Verfasser des Daphnis.”

³⁾ W tłóm. franc.: „La mort d'Abel,” 1759.

⁴⁾ „Idylles et poèmes champêtres traduit par M. Huber.”

wobec nich stanowisko bardzo przychylnie. *Journal des Savants* z r. 1760 przyznał „Śmierci Abła“ epokowe znaczenie w literaturze powszechnej; *Correspondance littéraire* widzi u Gessnera zalety, których brak każdemu Niemcowi: le goût, la souplesse, la grâce. Autor zyskuje przyjaźń Turgota, Diderota, J. J. Rousseau'a, a księżna Choiseul stara się ściągnąć go do Paryża.¹⁾ Powodzenie skłania go do wydania nowego zbiorku sielanek.²⁾ Zagranicą staje się najpopularniejszym z poetów niemieckich; powstaje szereg naśladowców. „Die idyllische Tendenz—píše Goethe w Wahrheit und Dichtung—verbreitete sich unendlich. Das Charakterlose der Gessnerschen Poesie bei grosser Anmut und kindlicher Herzlichkeit machte jeden glauben, dass er etwas ähnliches vermöge.“

Jakże mamy określić stanowisko tego pisarza w ówczesnej literaturze europejskiej i wytłómaczyć rozgłos pism, których dziś bez przymusu czytać nie podobna. Chodzi tu oczywiście nie o ocenę, ale o zrozumienie pewnego objawu. Wymaga to przeniesienia się w odległe czasy i patrzenia oczyma ludzi z połowy XVIII wieku. Takie tylko stanowisko, o ile to możliwe, ściśle przestrzegane, może nas ustrzedz—mam tu na myśli także naszych pisarzy—od sądów niesprawiedliwych lub naiwnych.³⁾ Istotę sielanek Gessnera możnaby określić w ten sposób: Uniesiony budzącym się prądem uczuciowości, szukającej źródła zachwytów i prawdziwego zadowolenia w przyrodzie, czerpiąc ogólne wzory z literatury współczesnej i z pojętej na swój sposób sielanki starożytnej, odmalował Gessner idealne obrazki pierwotnego życia szczęśliwego, odpowiadające jego własnemu pojmowaniu szczęścia. „Antikes Mass, stille Einfalt, sanfte Empfindung“—to główne zasady jego teorii literackiej, wyłożonej we wstępie do sielanek. W stosunku do przyrody idzie on o krok dalej od Thompsona. Gdy u tego przeważa opis, Gessner szuka już w przyrodzie „sanftes Entzücken.“ Nie brak u niego także, zgodnie z duchem czasu, pewnego sensu moralnego: natura uszczęśliwia i uszlachetnia człowieka, czyni go cnotliwym. Aby stworzyć ideał szczęścia, należało tak przyrodzie, jak i pasterzom odjąć wszelkie rysy rażące, surowe. To ściągnęło na Gessnera u późniejszych zarzut lubowa-

¹⁾ Wölflin: „Salomon Gessner.“ Frauenfeld, 1880. Str. 38 i n. Süpfle: „Deutsches Kultureinfluss in Frankreich.“ I, 185 i n.

²⁾ „Neue Idyllen von S. G.“ Zürich, 1772. Tłóm. franc. 1773.

³⁾ Historycy literatury niemieckiej wydają o Gessnerze podobnie rozbieżne sądy, jak nasi o Karpińskim.

nia się w nienaturalności. Tak nie było. „Nicht auf dem Negativen, auf der Scheidung von Natur und Kultur, beruht Gessners Ruhm, sondern auf dem Positiven, auf der Ausgestaltung des Ideals eines naturgemässen Lebens.“¹⁾ Współcześni widzieli w nim wzór naturalności (naturell), „naturalnym“ nazwie go także nasz Karpiński. Przyczyna? „Für seine Zeitgenossen bedeutete G. einen so grossen Fortschritt, dass er einfach als Natur erschien.“²⁾ Wzruszamy dziś ramionami na jego pojmowanie świata starożytnego i Teokryta, którego uczniem się mieni, współcześnie zaś znakomity znawca starożytności, Winckelmann, zachwycał się sielankami i nazwał Gessnera swym „delfickim przyjacielem.“ Każdy wiek patrzy przez inne szkła.³⁾

Aby zrozumieć ogromne powodzenie rzeczy, dziś dla nas niesmacznych, należy—zdaniem mojem—uwzględnić jeszcze jedną stronę ówczesnego życia, to, co stanowiło myśl przewodnią pewnej warstwy, co było duszą rococo. Otóż cała twórczość ówczesna w dziedzinie sztuki usuwa zręcznie ze swego zakresu poważną stronę życia, a jako dewizę przyjmuje zabawę, użycie. Nie chce słyszeć o grozie, śmierci, cierpieniach, o potężnych namiętnościach, jakby żywot ludzki był komedią. Sztuka i literatura idą w parze z tonem, panującym w salonach; romans sentymentalny, pełne przesady opisy przygód, oto zwykła lektura. Rococo wprowadza sztukę we wszystkie dziedziny życia, nawet wstrętne uszlachetnia, bo złudzenie piękniejsza życie, czyni je ponętniejszem.

Otóż i Gessner, dziecko wieku oświeconego, dawał to, czego pragnęli współcześni, urzeczywistnił ich ideał; każdy mógł się przenieść z łatwością w ten świat pełen idealnego, choć naiwnego szczęścia i dowoli go używać.⁴⁾ To też trafnie określamy go przydomkiem: *Klassiker der Rococo*.

¹⁾ Wölflin. Str. 82.

²⁾ Tamże. Str. 69.

³⁾ *Goethe* tak tłumaczy powstanie sielanek: „Mit dem empfindlichsten Auge für die Schönheiten der Natur, dass heisst für schöne Massen, Formen und Farben hat er reizende Gegenden durchwandelt, in seiner Einbildungskraft verschönert und so standen paradisische Landschaften vor seiner Seele. Ohne Figuren ist eine Landschaft tot; er schuf sich also Gestalten aus seiner schmachtenden Empfindung und erhöhten Phantasie, staffierte seine Gemälde damit und so wurden seine Idyllen. Und in diesem Geiste lese man sie und man wird über seine Meisterschaft erstauen.“ (*Goethes Werke*, ed. Goedeke XXVII, 72).

⁴⁾ Por. Wölflin, str. 71.

V.

Zrzuciwszy pęta miłości i uzyskawszy byt niezawisły i swobodę, znajduje wreszcie Karpiński dość czasu i sposobności, aby usiąść spokojnie nad książką, zgłębić i przetrwać wybitniejsze płody literatury zagranicznej. Za pług chwytą z konieczności, jako właściwe powołanie uważa zawód literacki; ten mu ma również byt zapewnić.¹⁾ Aby mózdz tworzyć, musi poznać wzory. Po latach będzie się żalił na swój „nałóg uporczywy“:

Nad książkami straciłem i zdrowie, i oczy;
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytęcznym na mnie nakładem ściągnąłem.

Znaczne dochody z dzierżaw umożliwiają zakupienie dzieł, samotność sprzyja lekturze, ruch umysłowy i literacki w Warszawie i na dworach dodają bodźca, budzą nadzieje, otwierają widoki; to też z całą pewnością przyjmuję, że dopiero od rozstania się z p. Ponińską, to znaczy mniej więcej od r. 1775, zaczyna Karpiński na podstawie obfitej lektury zastanawiać się nad istotą i cechami współczesnej poezji. Dość wiernym obrazem i owocem tych studyów jest wydana w r. 1782 rozprawa „O wymowie w prozie albo wierszu.“ Jest on komentarzem do twórczości poety daleko cenniejszym, niż „Pamiętnik“ do życia. Z zapatrywań, tutaj wypowiedzianych, zajmą nas te, które rzucają pewne światło na powstanie znacznej części „Sielanek.“

Karpiński nie pochwała ślepego naśladownictwa, jako szkodliwego dla ojczystej literatury i nie przynoszącego zaszczytu ani autorom, ani narodowi. Poznaje się obce wzory na to, żeby albo „smak sobie naprawić, albo myśl ocieżyła ocucić.“ Nie należy jednak uważać ich za nieprześcignione, ale, poznavszy swe siły, próbować ich w tym samym kierunku, aby „postąpić do równej, albo wyższej doskonałości.“

W utworach podoba mu się najbardziej to, co jest „proste i każdemu do wyrozumienia łatwe a tylko serca i imaginacye nasze poruszające.“ Tę prostotę porównywa do słowika, pięknie śpiewającego „w wiejskiej odzieży“ i wyżej stawia nad „wszelkie dowcipu samego czyny.“ Poeta, podobnie jak malarz, powinien

¹⁾ Powrót z Warszawy na wieś.

dbać o plastykę, przedstawiać rzecz „naturalnie,” t. j. naśladować „piękną z siebie naturę.” Oglądanie i rozważanie otwartej księgi przyrody może nawet w razie potrzeby „imaginację naszą rozgrzać.” Te piękności dostępne są tylko temu, co ma „serce czułe”; kto go z natury nie posiada i wyrobić sobie z czasem nie potrafi, przed tym „wrota słodkiej wymowy na zawsze są zamknięte”¹⁾.

Przytoczone zapatrywania świadczą, że Karpiński jest dzieckiem swego wieku, jednym z tych, co w przyrodzie i w sercu własnem dopatrywali się źródeł prawdziwego piękna i prawdy. Wrodzone usposobienie i nowy tryb życia nie pozostały też bez wpływu. Tak więc w wolnych od zajęć gospodarskich chwilach „rozważał z pilnością” dzieła „nowych pisarzów,” aby, poznawszy w nich prawdziwą piękność, mózż potem „równą tej drugą utworzyć.” Odnosi się to przedewszystkiem do pisarza, o którym wyżej mówiliśmy, Gessnera, bo wszakże u niego napotykamy te cechy, które, zdaniem Karpińskiego, stanowią istotę poezyi: i serce czułe, i prostotę, i szukanie piękna w przyrodzie i pierwiastek malarski („Malender Dichter”). Gdzie i jak go poznał? Wyobrażam sobie tak: w Wiedniu zapoznał się po raz pierwszy z europejskimi prądami umysłowymi, a prócz gruntownej znajomości języka francuskiego, wyniósł stamtąd bezwątpienia pewne wiadomości o najnowszych płodach literackich.²⁾ Między niemi musiały się znajdować także utwory Gessnera, jako jednego z najpopularniejszych pisarzy. Krótki pobyt w Wiedniu, choroba i atrakcyje wielkiego miasta stanęły na przeszkodzie dokładniejszemu przestudyowaniu nowości europejskich. Wraca do kraju. Pierwszą książką, jaka mu wpadła w rękę, „Zabawy.” W nich dość liczne przeróbki z Gessnera, z podaniem źródła. Wrażenie silne; jego ślady na wierszach do Justyny. Karpiński postanawia pójść w ślady mistrza, ale pobyt przy Justynie nie sprzyja studjom i pracy literackiej. Dopiero na dzierzawach bierze do rąk Gessnera, czyta go pilnie i zastanawia się nad określonymi w rozprawie o poezyi zaletami. Sądzę, że wrażenie, jakie wywarły na nim „Sielanki” i „Śmierć Abla,” nie musiało być mniejsze od tego, jakiego doznawano we Francyi i Niemczech. Chwyta pióro, czy nie uda mu się stworzyć czegoś podobnego i tak powstaje dalsza grupa siełanek.

1) „Pisma,” wyd. Turowskiego, str. 756—767, 780,

2) „Pamiętnik,” str. 1146 i n.

W rozprawie „O wymowie“ radzi czytać z uczniami „dla wzięcia pięknych wzorów“ szereg pisarzy starożytnych i nowszych.¹⁾ Pomiędzy pięcioma pisarzami „wieków chrześcijańskich,“ których uważa za wzorowych, czytamy nazwiska Thompsona i Gessnera. Pierwszego nazywa „przyjemnym w Czterech roku porach.“ Znał go więc, podobnie jak Gessner.²⁾ Gessnera również uważa za pisarza pierwszorzędnego. Pisze o nim: „Naturalny G. w „Śmierci Abla“ i Sielankach swoich.“ Czytał przeto dwa najwybitniejsze utwory szwajcarskiego poety. Czy w oryginale? Takie przypuszczenie nasuwałby pobyt w Wiedniu i fakt, że na Gessnerze uczono się powszechnie początków języka niemieckiego,³⁾ z drugiej strony atoli brak wszelkich wskazówek w „Pamiętniku.“ Zdaje się, że niemieckich książek Karpiński wcale w Wiedniu nie czytał, ani nie uczył się systematycznie języka niemieckiego,⁴⁾ wszak w kraju nie był przydatny; „Pamiętnik“ wspomina tylko o języku francuskim i takichże książkach. Pozostają więc przekłady. Czy polskie? Z pomiędzy dzieł Gessnera tylko „Śmierć Abla“ była u nas współcześnie tłómaczona.⁵⁾ Estreicher notuje wprawdzie „Zbiór pism przedniejszych“ niemieckiego poety, atoli bez roku, miejsca druku i tłómacza. Wierszowany przekład „Sielanek“ wyszedł dość późno, bo dopiero w r. 1800.⁶⁾ Musiał przeto korzystać z tłómaczenia francuskiego, podobnie jak Naruszewicz. Chwali przecież Francuzów za to, że przyswajają skwapliwie obce utwory swemu piśmiennictwu i podaje ich jako wzór.⁷⁾ Przekładów francuskich Gessnera było kilka; najwcześniejszy i najbardziej rozpowszechniony przekład Hubera. Z niego to korzystał nasz poeta, jak się okaże poniżej z zestawienia tekstu polskiego z pierwowzorem niemieckim i tłómaczeniem francuskim.

¹⁾ „Pisma,“ str. 761.

²⁾ Wölflin, str. 80.

³⁾ Gerwinus: „Geschichte d. deut. Dichtung.“ Tom IV, str. 184.

⁴⁾ Kornilowicz, str. 59.

⁵⁾ Gessner: „Śmierć Abla, z niemieckiego na polski przetłómaczona język przez Jana Salomona La Carriere.“ Lwów, 1774.

⁶⁾ „Sielanki Gessnera z niemieckiego oryginału na wiersz polski przerobione przez tłómacza książki: Wiersz o człowieku.“ W Krakowie, 1800. (Tłómacz: Ks. Jan K. Chodani).

⁷⁾ „O wymowie,“ „Pisma,“ str. 758.

VI.

Ślady wpływu gessnerowskich sielanek na podobne utwory Karpińskiego są wyraźne i dadzą się odkryć w ośmiu sielankach w mniejszym lub większym stopniu. Znajdziemy zapożyczonych parę pomysłów ogólnych i szereg reminiscencyj w obrazach, wyrażeniach, zdaniach. Z góry muszę uprzedzić, że poeta zapożycza u szwajcarskiego idyllisty przeważnie konwencyjonalne rysy sielankowe, używając ich jakby materiału do budowy. Dwie zwłaszcza sielanki, porównane z wzorem obcym, będą dla nas bardzo cennym komentarzem do twórczości poety serca. Świadczą one nie tylko o tem, do jakiego stopnia przejął się tą lekturą, ale także o metodzie, według której pewne pomysły literackie wykonywał.

Pierwsza z nich nosi napis: „Do motyla.“ Pomysł ogólny wzięty z Gessnera. Na dowód zestawiam argumentum tego wiersza i 17 sielanki niemieckiego poety p. t. „Mylon.“

Karpiński: Poeta goni za pięknym motylem, chcąc go schwycić i zanieść swej Justynie. Ona go przyjmie z radością i „porobi mu klatki.“ Tymczasem motyl ulatuje, a poecie robi się przykro, bo z niczem przyjdzie do Justyny.

Gessner: Mylon schwycił pięknego ptaka. Chowa go pod kapelusz leżący na ziemi i biegnie po gałązki, aby sporządzić klatkę. Gdy klatka będzie gotowa, zanieśie go w podarunku swojej Chloi, a w zamian otrzyma od niej pocałunek. Wiatr atoli przewraca po chwili kapelusz, a wraz z ptakiem ulatują także spodziewane pocałunki.

Podobna jest także treść idylli „Dafne—Mycon.“ Opowiada tam Mycon, jak raz zrobił klatkę, wpuścił do niej schwytanego konika polnego i ofiarował, jako podarunek, Dafnie. Ona go wyjęła z klatki, chcąc się nim pobawić, lecz konik wyrwał się i zostawił nóżkę w jej palcach.

Prócz tego znajdujemy w zbiorze sielanek niemieckiego poety dwie takie, które równie wyraźnem echem odbiły się na „Motylu.“ Podobieństwo nie dotyczy tu już ogólnego pomysłu, ale szczegółów. W sielance p. t. „En attendant Daphné a la promenade“ (w oryginale: „Die Gegend im Grase“) ¹⁾ dziewczica, uciekła-

¹⁾ Tekst francuski przytaczam podług: „Collection complete des oeuvres de M. Gessner traduit de l'allemand par M. Huber. Neuchatel, 1776,“ tom 2; tekst niemiecki podług: „Die sämtlichen Werke von S. Gessner. Wien, 1789,“ tom 3.

szy od gwaru świata, zachwycą się wśród kwiecistej łąki pięknosciami przyrody. Z kolei unosi się nad owadami:

„Quel autre insecte passe en bourdonnant, couvert *d'une armure noire* et porté *sur les ailes d'un rouge éclatant*? Il se pose sur la campanelle voisine, peut-être est-ce près de *sa compagne*.“¹⁾ ...Là bas, sur cette fleur élevée de trefle, se pose un petit *papillon*; il déploie *ses ailes bigarrées*; de petites taches *de pourpre* sont répandues sur leur fond d'argent et sur leurs bords une li-sière d'or se marie avec les nuances d'un beau *verd*. Le voila pompeusement assis; une petite aigrette de plumos argentées pare *sa tête mignonne*. *Beau papillon*, incline la fleur...“

Karpiński tak rozpoczyna swój wiersz:

O jakież *skrzydełka* jego!
Barwa błękitna z różowem,
Na głowie coś zielonego
A sam w *pancerzu* stalowym.
Motylu, piękny motylu,
Ja ciebie złapać dziś muszę...

A gdy go schwyta:

Żeby ci tęskno nie było,
Ja szukać *drugiego* będę,
Jeśli wam w parze tak miło,
Jak ja z Justyną gdy *sięde*.

Z zestawionych ustępów wynika, że nietylko opis motyla zgadza się w niektórych szczegółach u obu autorów, ale także charakterystyczne porównanie kochanków z parami owadów.

Również zapożyczył się Karpiński u niemieckiego poety, kreśląc scenę, jak Justyna będzie się cieszyła przyniesionym jej motylem:

Do mojej miłej Justyny
Poniosę cię z skwapliwością;
Mój ty motylu jedyny,
Z jakąż cię przyjmie *radością*.
Ona ci porobi klatki,
Majem cię wkoło osłoni,
Każe zbierać różne kwiatki,
Jeść będziesz z białej jej dłoni.

¹⁾ W oryginale: „Izt rauschet ein Würmchen, schwarz beharnischt auf glänzend rothen Flügeln vorbei...“ (str. 130).

Szczegółowo opisana jest podobna scena w sielance Gessnera p. t. „Daphnis.“ Wymieniony w tytule pasterz opowiada o zaletach swej Filidy i postanawia jej zanieść schwytaną sikorę i wieniec.

„Cette mésange que *je pris* hier chantera dans la cabane de ma Philis. Je la lui *porterai* aujourd'hui avec la guirlande. Chante alors, aimable oiseau; amuse-la de ton agréable ramage. Elle t'adressera la parole avec un *sourire gracieux*, elle te *donnera à manger dans sa belle main*. Oh, avec quel empressement *elle te prodiguera* ses soins en songeant, que tu viens de moi!“ ¹⁾

Prócz powyższej, jest jeszcze jedna sielanka Karpińskiego, na której wyraźnie widać ślady wpływu Gessnera. Jest to ów głośny wiersz, najpopularniejszy nie tylko z pomiędzy wszystkich sielanek, ale wogóle z pomiędzy wszystkich utworów Karpińskiego treści świeckiej, jedyny, który przy pomocy dorobionej muzyki sto lat z górą utrzymywał się w pewnych sferach, słowem, jest to sielanka p. t. „Laura i Filon.“ ²⁾

Co do układu i ogólnego pomysłu, stosunek do Gessnera tak się przedstawia. Sielankę Karpińskiego podzielić można na dwie części: pierwszą stanowi monolog Laury i zjawienie się Filona, drugą scena pieśzcot, ujęta w formę dyalogu. Pomysł do pierwszej części wzięty dość wyraźnie z idylli p. t. „Mirtile et Thyrsis,“ ³⁾ do drugiej z idylli „Damon et Philis.“ ⁴⁾

W pierwszej z wymienionych sielanek niemieckiego poety sceneryę stanowi noc księżycowa i bór. Chloe oczekuje Dafnisa nad brzegiem rzeki, przez którą wypadła mu droga, a chcąc skrócić przykre chwile oczekiwania, wynurza swą gorącą miłość, tęsknotę, niepokój. Zdaje się jej, że słyszy plusk wiosł, że jej ukochany się zbliża, a gdy się okazuje, że to było złudzenie, pada zemdlona. Budzi się wnet i po różnych, dość fantastycznych przygodach, spotyka kochanka. Ich radość nie ma granic.

Podobieństwo widoczne. Księżyc, gaj, oczekiwanie wśród wynurzania uczuć i myśli, a wreszcie zawód — oto punkty styczne, pomijając na razie drobne reminiscencye.

Wzorem drugiej części jest idylla, mająca również formę dyalogu. Imiona, wypisane w tytule, Damon i Filis, należą do młodej, niewinnej pary pasterskiej. Kochankowie oświadczają

¹⁾ Str. 15 i nast.

²⁾ W wydaniu z r. 1780 bez tytułu.

³⁾ Str. 57. ⁴⁾ Str. 34.

sobie miłość, ściskają się, a wreszcie, za przykładem gołębi, całują. Tu i tam przedmiotem rozmowy jest ich wzajemne uczucie i słodycz pieszczot, drzenie rozkoszne, przenikające piersi.

Tak wyglądają główne zarysy budowy Laury i Filona na tle wzoru obcego. Wypada nam atoli zwrócić uwagę na poszczególne cegiełki, z których się ta budowa składa, na niektóre myśli, wyrażenia, obrazy. Ujrzymy, że i tu Karpiński zapożyczał się u Gessnera, czerpiąc nietylko z dwóch wymienionych idylli, ale także z innych.

*Już miesiąc zeszedł; psy się uśpiły
I coś tam klaszcze za borem...*

mówi Laura, wybierając się na schadzkę. W sielance Gessnera p. t. „Daphné et Chloé“ Dafne tak się odzywa do towarzyszki:

*Déjà la lune s'éleve derriere ces
montagnes obscures; déjà sa douce
lumiere brille à travers les arbres,
qui en couronnent la cime.¹⁾*

Oczywiście nie jest to dziełem przypadku, że obie sielanki zaczynają się prawie od tych samych słów, służących do odmalowania krajobrazu, na którego tle występują pasterze i pasterki.

Laura przynosi z sobą maliny w koszyku i „plecionkę różową“ t. j. wieniec, który ma włożyć Filonowi na głowę. Otóż motyw wieńczenia głowy napotyka się nieraz w sielance konwencyonalnej XVIII wieku, jako przejęty z sielanek starożytnych. Bardziej nas zajmie jedna z następujących zwrotek. Stęskniona Laura mówi:

*Prowadź mię teraz, miłości śmiała,
Gdybyś mi skrzydła przypięła,
Żebym najprędzej bór przeleciała,
Potem Filona ścisnęła.*

Piękny i malowniczy obraz miłości, przypinającej skrzydła stęsknionej kochance, znajdziemy w znanej nam już sielance „Mirtille et Thyrsis.“ Chloé mówi: „Où es tu à présent, cher amant? L'amour n'a-t-il pas prêté des ailes à tes pieds?“²⁾ Traverses-tu

¹⁾ Str. 154. W pierwowzorze: „Sich, schon steigt der Mond...“; nadto brak w tem miejscu wzmianki o „borze“, którą znajdujemy w przekładzie Hubera.

²⁾ W oryginalne: „Beflügelt Ungeduld nicht deine Füße?“ str. 66. Por. sielanka „La jalousie,“ str. 248.

à présent *le bois* pour gagner le rivage?... Ah, ...avec quelle ardeur je le *presserai dans mes bras!*"¹⁾

Nie mogąc się doczekać kochanka, Laura postanawia sprawić mu miłą niespodziankę.

Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę;
Jutro paś będzie trzodę przy borze,
Znajdzie — jakże go ucieszę.

Wieszanie wieńców jest ulubioną czynnością sentymentalnych pasterzy i pasterek. Czynią to samo i pasterze Gessnera.²⁾

Porywczą kochanka Filona niecierpliwi się coraz bardziej, wreszcie unosi się gniewem i na znak zerwania z pasterzem tłucze o drzewo koszyk i rwie wieniec.

Porywczosć Laury i jej przypuszczenia nie były jednak uzasadnione. Filon bowiem przyszedł w czas na umówione miejsce, ale chcąc jej „tajemnice wybadać“ i podsłuchać „co o nim będzie mówiła,“ ukrył się w pobliskiej „chróscinie.“ Dopiero gdy Laura postanowiła zerwać z nim na zawsze, wybiegł stamtąd „spłakany“ i zaczął się przed nią usprawiedliwiać. Podsłuchiwanie się wzajemne pasterzy i pasterek i ukazywanie się nagle z krzaków jest ulubionym konwencyonalnym motywem, powtarzającym się u Gessnera dość często, jako urozmaicenie dość nudnych zresztą scen.³⁾ Karpiński używa tego motywu także w siel. 8 i 15.

Między parą kochanków zawiązuje się teraz żywa rozmowa, wśród której Filon ofiarowuje Laurze „kij“ wystrugany i pięknie ozdobiony. Jest to również szczegół konwencyonalny, powtarzający się już u najdawniejszych sielankopisarzy. Następująca scena pieśczot przypomina też w niektórych miejscach Gessnera. Laura np. tak mówi do kochanka:

*Położ twą rękę, gdzie mi pierś spada;
Czy słyszysz to serca bicie?
Za uderzeniem każdym ci gada,
Że cię tak kocha, jak życie.*

W sielance p. t. „Lycas“ wspomina pasterz pierwszą swą schadzki z Chloą i opisuje jej miejsce.

¹⁾ Str. 60.

²⁾ Np. w sielance „Lycas et Milon“ str. 25 i „Chloe“ str. 66.

³⁾ W sielankach: „Lycas et Mylon,“ str. 26; „Daphnis et Chloe,“ 54; „Chloe,“ 65; „Daphne,“ „Chloe,“ 157; „La jalousie,“ 245 i in.

„Tu étois ici, tu soupirois, tandis que mes bras tremblans s'entrelaçoient autour de toi; tandis, que mes paroles mal assurées, mon *coeur palpitant* et mes yeux en pleurs t'apprennent mon amour.“ ¹⁾

Tu i tam bicie serca mówi o miłości. Dalej zaś przemawia Filon do kochanki słowami podobnemi, jak u Gessnera Damon do swej Dafny:

...Daj mi ust...

Ściśnij twójego, Lauro, Filona.

Embrasse-moi, Daphne, embrasse moi. ²⁾

Nakoniec jeszcze jeden szczegół. Rozbiór „Laury i Filona“ zaczęliśmy od księżycy i skończymy na nim. Księżyc jest u Gessnera sprzymierzeńcem kochanków, powolny często ich życzeniom. Nosi jednak imię Dyany, gdyż Gessner wprowadza jeszcze bóstwa starożytnego świata. Otóż w omawianej już poprzednio idylli „Mirtile et Thyrsis“ Chloe, oczekując kochanka, zwraca się do księżycy: „...Lune, ou Diane, répands sur son passage ta douce clarté.“ Także Laura, rozstając się z Filonem, zwraca się do księżycy, tylko odmienną wyraża prośbę. „Nie świeć księżycu,“ woła, jeżeli kiedy Filon zechce tak noc przepędzić z Dorydą.

Jest i w innych sielankach Karpińskiego sporo reminiscencyj z lektury Gessnera, zwłaszcza w szczegółach. Stereotypową konwencyonalną sielanką jest „Korydon.“ Treść podobna do gessnerowskiego „Milona.“ Tu i tam pasterz wynurza swe uczucia, tęsknotę za ukochaną; w stosownej chwili pasterka ukazuje się z za krzaka i oświadcza mu wzajemność. W ten sam sposób traktowana sielanka 15. Dafne żali się na przyrodę i otoczenie w okolicy, do której przybyła. Wtedy Korydon

który za drzewem schowany

Wszystko to słyszał, wzruszył się tem znaczenie,

Bo kochał Dafnę i chciał być kochany...

Oprócz zwyczajnego motywu ukrywania się za drzewem, ostatni wiersz przypomina nieco pewne zdanie z „La jalousie.“ Zaraz z początku dowiadujemy się, że zazdrości doznał pasterz Alexis, albowiem:

Il aimoit Daphné: il en étoit aimé. ³⁾

¹⁾ Str. 39. ²⁾ Str. 32. ³⁾ Str. 246.

Korydon nie ma pewności, czy Dafne jest mu wzajemną, używa przeto całej wymowy, aby ją przekonać, że w tej okolicy „wszystko wierności cechą naznaczone.“ Wreszcie zwraca się do drzew:

*Spokojne drzewa, was za świadków miałem,
Jak często Dafnę tutaj wspominałem;
Wyście jej imię przez wasz odgłos miły
Cale do uszu moich przynosiły.*

Pasterze gessnerowscy również powołują się na świadków: drzewa, źródła, księżyc. I tak, w idylli „Lycas“ pasterz opowiadający o początkach swej miłości, woła:

„*Bois paisibles, fontaines solitaires, soyer-en témoins: mille fois vous avez entendu les plaintes de mon amour...*“¹⁾

W innej idylli znów zakochany pasterz śpiewa:

„*O toi, lune pâle et tranquille, sois témoin de mes soupirs!
Et vous, bocages paisibles, combien de fois n'avez-vous pas soupiré
après moi le nom de Daphne!*“²⁾

Karpińskiego sielanka kończy się na tem, że Korydon po licznych perswazyach „zemdłał od żałości,“ a więc nastrojona na ton o wiele bardziej sentymentalny, niż poprzednie.

Inaczej nieco kończy się „Rozstanie się Medona,“ choć pomysł ogólny podobny do poprzedniego. Treścią narzekania pasterza na niewdzięczność i oziębłość kochanki, przeplatane konwencjonalnymi szczegółami, jak sypanie kwiatów, rycie napisów na drzewach. Niektóre motywy z Gessnera znajdziemy także w sielance 2 „Pożegnanie Lindory,“³⁾ i „Korydon smutny.“ Są to elegie, opracowane w ramki sielankowe. W drugiej z nich pasterz woła:

*Przyjdźcie pasterki z okolicy całej,
Na grób jej kwiaty będziecie rzucały.*

podobnie jak u Gessnera wnuki poety: „*Que ses derniers neveux
répandent des fleurs sur sa tombe...*“⁴⁾

¹⁾ Str. 50. Por. 2 sielankę Karpińskiego.

²⁾ Str. 157. W oryginale: „wie oft habt ihr: Daphne, Daphne, mir nachgeseufzt.“

³⁾ Por. „Idas, Micon,“ str. 11 i „Le vocu,“ 175. Refrenu używa tu Karpiński, podobnie jak Gessner, w idylli: „Der zerbrochene Krug“ („La cruche cassée“), mającej również charakter elegijny.

⁴⁾ „A Daphné,“ str. 3.

Pomijam inne, drobniejsze reminiscencye, natomiast zauważę, że sielanka 17 „Dzieci u matki,“ która, zdaniem krytyki, najwięcej zawiera szczegółów swojskich, jest prawdopodobnie w pokrewieństwie z 4-tą idyllą Gessnera „Daphnis.“ W obu tło stanowi zima. Dzieci, przybywszy do matki, śpiewają:

Zwarzyła zima piękne nasze ziola,
Cośmy z nich wili wielofarbne pleci;
Otaczając cię z radością dokoła,
Oto masz matko wieniec z twoich dzieci.

A Dafnis tak mówi do zimy: „O hiver!... Tu as dépouillé nos arbres de feuilles, tu as moissonné les fleurs de nos prairies: mais je saurai encore composer une guirlande pour ma Philis.“¹⁾

Przytoczone podobieństwa, zachodzące pomiędzy sielankami Karpińskiego a idyllami szwajcarskiego pisarza, pozwalają nam stwierdzić związek, istniejący między twórczością „poety serca“ po r. 1775 a współczesnym ogólnieuropejskim prądem sielankowym. Ślady oddziaływania lektury Gessnera odnoszą się do konwencyonalnych motywów sielankowych, sytuacyjnych lub dekoracyjnych, niekiedy stylistycznych. Mimo tej zależności, sielanka Karpińskiego przedstawia typ literacki odmienny od poprzedniego, zawiera bowiem liczne pierwiastki indywidualne i swojskie, nadające jej odrębne cechy.

VII.

Grupa sielank, powstałych pod wpływem lektury Gessnera, jest jakby osią całego zbioru i nadaje mu barwę dominującą. Wraz z poprzednio omówionemi, tworzącemi grupę erotyczno-podmiotową, jest ich 14. Pozostaje więc jeszcze 8 albo 9, jeżeli wliczymy dodany do późniejszych wydań tren na śmierć księżniczki Czartoryskiej. Treść ich i forma jest rozmaita; w różnych okolicznościach życia i pod działaniem różnych wpływów powstały. Przedewszystkiem wypadałoby zastanowić się nad pytaniem, w jakim stosunku pozostają do literatury francuskiej. Kwestyi tej bliżej nie badałem, gdyż wątpię, czy opłaciłby się mozolny trud tam, gdzie z góry wynik zapowiada się skąpy. Pełna wykwi-

¹⁾ Str. 15.

nej galanterji sielanka francuska nie znalazła z pewnością wielbiciela w człowieku, którego naturze ten właśnie rys zupełnie był obcy. Z drugiej atoli strony trudno przypuścić, żeby lektura autorów francuskich, stanowiąca główną strawę umysłową ówczesnej warstwy inteligentnej, nie pozostawiła pewnych śladów na sielankach. Wpływu tego można się dopatrzeć już wcześniej w zapożyczaniu konwencyonalnych nazw pasterzy i pasterek, nienapotykanych u Gessnera. Mamy jednak w zbiorze takie wiersze, które wydają się być przeróbką motywów zaczerpniętych z książek francuskich. Zdaje się, że Karpiński wybierał z lektury sceny o charakterze uczuciowym lub sielankowym i opracowywał je podług własnego pomysłu. Trzy zwłaszcza z pozostałych sielank noszą na sobie wyraźne cechy uczuciowości ówczesnej. Pierwsza p. t. „Pasterz do owieczki straconej“ przypomina salonową sielankę francuską. Treścią żal pasterza po stracie owieczki („Owieczko moja, duszo mojej duszy!...“). Krótka jest także sielanka 14 „Nice do niestatecznego.“ Nazwana w tytule kochanka czyni wyrzuty niestałemu Filonowi i grozi karą niebios. Charakter czysto sentymentalny ma wiersz „Po rozstaniu się z Rozyną.“

Osobną parę stanowią sielanki: „Korydon szczęśliwy, myśl z Katulla“ i „Na posągi rolnictwa i poetyki.“ Osnute na motywach klasycznych, dają osobliwy przykład pomieszania różnorodnych pierwiastków. I tak: Karpiński czyta Katulla, szczególnie podoba mu się pieśń 5, odznaczająca się jaskrawą zmysłowością. Parafrazuje ją, zmieniając Lesbię na Palmirę, a jej kochankowi dając imię Korydona. Tok myśli ten sam i dlatego podane źródło. Dziwny zbieg. Jeden z krytyków i wydawców największego rzymskiego liryka, nazwał go najwcześniejszym w dziejach ludzkości przedstawicielem romantyzmu rozdartego serca. To zapewniło nieśmiertelność jego poezji.¹⁾ Analogia między nim a Karpińskim niewątpliwa, ale tylko w kolejach życia; natury to zresztą zupełnie odmienne. Na tle podań mitycznych o złotym wieku ludzkości wyraża żal i tęsknotę za bóstwami, patrolującymi tym zajęciom, które sam uprawia, t. j. rolnictwu i poezji. Pragnie złożyć wraz z Justyną ofiarę na ich ołtarzu i wielbić z nią „szczęśliwe kochających życie.“ Osnowa tego wiersza, zamykającego poczet sielank wydanych w r. 1780, pozostaje w związku z prądami umysłowymi wieku oświeconego, mianowicie z hasłem powrotu do natury, do najprostszej formy życia. Stąd westchnie-

¹⁾ Westphall: „Catull's Gedichte,“ 2 Ausgabe, str. 110.

nia za tymi czasami, kiedy nie było wojny i innych zgubnych towarzyszek cywilizacji. Przypomnieć należy na tem miejscu sielankę „Dzieci u matki,“ która zdaje się wypłynęła z tendencji moralizującej XVIII w. Czwarte prawo dekalogu było punktem wyjścia dla poety i przebija się aż nadto wyraźnie w końcowej strofie.

Innym znów przykładem zastosowania modnej szaty sielankowej do osobistych wynurzeń jest wiersz p. t. „Na odmienione Nadprucie.“ Podobny temat znajdziemy w pieśniach: „Przypomnienie dawnej miłości“ i „List drugi do J. L. C. P. W. X. L.“¹⁾ Tym tematem jest uczucie, jakie się budzi w człowieku na widok miejsc, do których przywiązane są wspomnienia szczęśliwych chwil pierwszej młodości. Rzewna tęsknota bije z tej sielanki.

Na tem kończymy uwagi o poszczególnych sielankach, drukowanych po raz pierwszy we Lwowie, r. 1780. Nie można jednak pominąć milczeniem wiersza, umieszczonego we wszystkich późniejszych wydaniach jako sielanka 21. Napis brzmi: „Rocznica śmierci zmarłej księżniczki Teresy Czartoryskiej, generałówny ziem podolskich, w Powązkach obchodzona, dnia 15, X, 1780.“ Jako utwór literacki zajmuje „Rocznica“ w twórczości sielankowej Karpińskiego ciekawe stanowisko. Jest to owoc nowych wpływów, jakie zaczęły nań oddziaływać, gdy wystąpił na próbę w nowym charakterze poety-dworaka. Dotychczas poznawał prąd sentymentalno-sielankowy jedynie z książek; po przybyciu na dwór Czartoryskich ujrzał go w zastosowaniu do życia. Podług przepisów mody święconą rocznicę uczcił wierszem, składającym się znów z innej mieszaniny różnorodnych składników. Obowiązek nakazywał złożyć hołd pamięci zmarłej i pocieszyć rodziców. A że wtenczas, gdy brakło własnego silnego uczucia, zwykł był brać cudze pomysły i stosownie do potrzeby opracowywać, poszedł i tutaj tą samą drogą. Treny mistrza z Czarnolasu, nieprześcignione i nigdy nie starzejące się, dostarczyły wzoru.²⁾ Rodzina zmarłej w żałobnych strojach, z wieńcami rozmarynowymi w dłoniach, idzie w ogród, w miejsce najdziksz, gdzie stał domeczek zmarłej. Stanąwszy u celu, poczynają głośno zawodzić i oplakiwać stratę. „Wtem okoliczna gęstwina zaszumi“ i wśród ogólnego zamieszania zjawia się Teresa, — ale w jakim stroju! Zmarła księżniczka hołduje także panującej modzie, to też na głowę włożyła „wie-

¹⁾ „Pisma,“ str. 364, 475.

²⁾ Pilat: „Hist. lit.“ t. IV, cz. 1, str. 228.

niec różany," jak Filon lub Palmira. W przemowie, jaką ma do zgromadzonych, idzie za Urszulą z trenu 19, tylko kończy ją nieco inaczej, zgodnie z duchem czasu.

Raczej w rozmowach słodkich przystoi
 W dniu tym przytaczać dowody,
 Jak jest niewinność piękna, jak swojej
 Cnota nie traci nagrody.

Jako sielanka okolicznościowa nie jest wiersz odosobniony; podobne utwory spotykamy często u pisarzy ówczesnych, a zwłaszcza na kartach „Zabaw przyjemnych i pożytecznych;“ natomiast w zbiorze sielanek naszego poety zajmuje stanowisko wyjątkowe.

VIII.

Rzućmy jeszcze raz okiem na cały okres życia poety od lat chłopięcych aż do pierwszego wystąpienia na widowni literackiej. Na tej długiej przestrzeni, obejmującej lat 20 z górą, widzimy porzucane bądź pojedynczo, bądź grupami wiersze, objęte później wspólną nazwą „Sielanek.“ Z pomiędzy wszystkich utworów w nich najsilniej odbiły się koleje życia piewcy, one są jakby ilustracją rozmaitych przeżyć i oddziaływań, tem cenniejszą, że współczesną, bezpośrednią. Przedewszystkiem uderza nas jeden rys znamieny, przewijający się przez smutne losy życia: przeświadczenie o powołaniu literackiem, nie opuszczające poety nawet wśród najmniej sprzyjających warunków. „Piękna ziemia i słodkie obyczaje ludu natchnęły go poezją“ ¹⁾, że użyjemy słów Brodzińskiego, pierwsza miłość i szkoła uświadomiły i rozwinęły ten element, znajomość długoletnia z kobietą o wyższym poziomie umysłowym, podróż do Wiednia i obfita lektura otworzyły mu nowy świat, dały sposobność zetknięcia się z współczesnymi prądami umysłowymi zachodniej Europy, wkraczającymi już stopniowo do Polski. Z początku trafia odrazu w ton, odpowiadający rodzajowi swego talentu; po długiej przerwie odzywa się znowu, aby wyrazić w formie poetyckiej swoje bóle i pragnienia, ulegając już tu i owdzie wpływowi najświeższej lektury; w następnych latach będzie tworzył już pod przeważnym wpływem wzorów

¹⁾ „Dzieła,“ Poznań, 1873, V, 102.

literackich; nakoniec z pierwszej wycieczki na dwory przywiezie wiersz, dający świadectwo, jak zszedł zupełnie z pierwotnie obranej drogi i wystąpił na polu zupełnie sobie obcem. Tak się przedstawia ewolucya twórczości sielankowej; linia jej, jak widzimy, nietylko nie wznosi się, jakby należało oczekiwać, lecz przeciwnie statecznie opada, tak pod względem stopnia oryginalności, jak szczerości i prawdziwości uczucia. Tęskność na wiosnę i wiersz na rocznicę śmierci, to dwa przeciwne bieguny, to objaw bardzo smutny. Miał Karpiński swoją tragedję życia, ale była także tragedya jego twórczości. Wynikała ona z tego rozdźwięku, jaki istniał między rodzajem jego talentu a wymaganiami i zapatrywaniami współczesnemi. Żył nie w swoim czasie. Postawmy obok siebie dwa wspomniane wiersze,—co za przepaść! Wrodzone usposobienie kazało mu śpiewać tak, jak śpiewał tęsknotę do pierwszej Justyny; moda współczesna założyła veto i kazała stąpać na swych koturnach; z poety czyniła wierszokletę. Prócz tych były jednakże inne jeszcze przyczyny, tamujące swobodny rozwój przyrodzonych zdolności. W cytowanej tyle razy rozprawie „O wymowie“ uderza nas przykro jeden szczegół: kilkakrotna wzmianka o „ociężałości wyobraźni,“ na którą podaje różne środki zaradcze. Ta obojętna pozornie uwaga okaże się bolesnem wyznaniem, jeżeli ją zestawimy ze słowami, wypowiedzianemi parę lat wcześniej. Ofiarowując wiersz „Na sunienie“ Adamowi Naruszewiczowi, dołączył doń Karpiński dedykację, z której już raz korzystałem, nazwawszy ją cennym dokumentem współczesnym. To samo określenie wypada powtórzyć na tem miejscu. Złożywszy hołd swemu mistrzowi, zazdrości mu łatwości wierszowania i prostodusznie spowiada się dalej:

A mnie mój ciężar trzyma na nizinie,
Próżno się w górę podnoszę...

.....
Ciężko mi ścigać myśli rozbiegnięne
I w jarzmo wiersza je wprawiać...

Jak szczerza i prawdziwa skarga; jak trafne przeciwstawienie się Naruszewiczowi! Aby całą rozpaczliwą prawdę tych słów zrozumieć, należałoby włożyć w usta Karpińskiemu zdania, których nadaremnie szukano w „Pamiętniku“:

„Nigdy bardziej nie przekonałem się, że samotność i zupełne od świata i towarzystwa usunięcie się, tępi imaginacyę, ocięża umysł i do prac literackich piszącego niezdolnym czyni. Rzadko

bardzo kontent byłem z tego, com pisał, a z dzieła mego bynajmniej.“

To spostrzeżenie współcześnie żyjącego Niemcewicza ¹⁾ można w zupełności zastosować do jego kolegi po piórze. Długoletni pobyt na wsi, samotność lub gorsze jeszcze przestawianie z ludźmi o niskim poziomie umysłowym przeszkadzały rozwinięciu się władzy, „bez której ludziom nie zda się poeta.“ Rolnik zabijał w Karpińskim poetę i ta okoliczność zapewne głównie wpłynęła na postanowienie opuszczenia cichego zakątka wiejskiego i wyjazd do Warszawy. Pragnął, ratując się od zguby, ogrzać ociężałą imaginację przy promieniach tego słońca, które w stolicy kraju tyłu szczęśliwym świeciło.

Może przy twojem słońcu, co przyjemnym
Promieniem świeci i grzeje,
Poszedłbym prościej, a tu w mroku ciemnym
Oblędne chwytam koleje.

Takie życzenie wyraził wtedy, gdy dobiegał już czterdziestego roku życia. Spełnienie życzenia nastąpiło wprawdzie, ale zbyt późno, by mogło wydać owoce.

Wobec tego oddziaływanie prądów umysłowych wieku oświeconego odbywało się drogą lektury. Jaka to była lektura, dowiadujemy się bądź z własnych zeznań poety, — bądź z przeprowadzonej powyżej analizy sielanek. W rozprawie „O wymowie“ pierwsze miejsce jako wzory zajmują pisarze starożytni greccy i rzymscy, na nich kształcił się za lat młodych; w sielankach jednak nie dostrzegamy wyraźnych reminiscencyj podobnych utworów starożytnych; ani Teokryt, ani Wergili nie byli mu wzorami, raczej oddziaływali pośrednio, przez współczesną literaturę zagraniczną. Wogóle można powiedzieć, że świeżym wpływom podlegał bez porównania w wyższym stopniu, niż dawniejszym. Jest szczególnie bardzo charakterystycznym, że na siedmiu „pisarzy wieków chrześcijańskich,“ których uważał za wzorowych, wymienia tylko jednego Francuza i to — Woltera, natomiast aż trzech Anglików (Milton, Yung, Thompson) i Niemca (Gessner). Nie należy więc przeceniać wpływu francuskiej literatury. W XVIII w., jak wiadomo, Francuzi występowali raczej w roli doskonałych popularyzatorów myśli obcych, zwłaszcza angielskich, niż jako samodzielni myśliciele. Karpiński korzystał nie tylko z tej prze-

¹⁾ „Dziennik drugiej podróży do Ameryki.“ Lwów, 1873. Str. 142.

tworzonej już produkcji, ale czerpie pełną ręką u samego źródła, coprawda za pomocą przekładów francuskich, podobnie, jak cała ówczesna Europa. Ze względu na temat rozprawy zajmuje nas głównie oddziaływanie lektury Thompsona i Gessnera, pisarzy najbardziej spokrewnionych z naszym uczuciowością, skierowaną ku szukaniu wrażeń i piękna w przyrodzie.

Z pomiędzy polskich pisarzy współczesnych, stwierdziliśmy wyraźne oddziaływanie Naruszewicza; z dawniejszych Kochanowskiego, w poemacie pisanym po roku 1780; natomiast nie można zauważyć śladów pilnego rozczytywania się w sielankopisarzach XVI i XVII wieku. Jest to szczegół ujemny. Odradzająca się poezya XVIII wieku usiłowała oprzeć się na mistrzach dawniejszych, zwłaszcza złotego okresu, Karpiński zaś ćwiczył swą lutnię przeważnie na mistrzach obcych, odbiło się to niekorzystnie przedewszystkiem na języku. Na tem podłożu rozwija się twórczość sielankowa. Obejmuje ona w swej ewolucyi, jak wyżej powiedziano, cztery stopnie, odznaczające się taką różnorodnością pod względem doboru tematów i wykonania, iż zadajemy sobie pytanie, czy można je traktować jako całość, objąć wspólną charakterystyką. Otóż możemy i musimy tak postąpić, rozważając rzecz nietylko ze stanowiska ówczesnych pojęć literackich, ale nawet z punktu widzenia samego autora, który wiersze, nieraz tak nieprzystające do siebie, połączył w całość i objął wspólną nazwą. Fakt ten zastanawia nas tembardziej, że u współczesnych sielankopisarzy czegoś podobnego nie napotykamy. Wprost przeciwnie np. przedstawiają się podobne utwory Gessnera. Są one zupełnie jednolite; mówiąc słowami Mickiewicza, „poeta umiał utrzymać zawsze w jednej sferze i zachować ton i kolor właściwy,¹⁾ gdy natomiast w zbiorku naszego poety obok wierszy, zawierających wynurzenia własnych najgłębszych uczuć i pragnień, znajdziemy także takie, w których mdlejący pastersze rozpaczają z powodu oziębłości pasterek lub straty owieczki; obok idealnej miłości gruba zmysłowość, obok motywów Gessnerowskich motywy z Katulla i Kochanowskiego. Choćbyśmy nawet wzięli w rachubę okoliczności, wśród których te wiersze powstały, nie zdołamy obronić poety przed zarzutem, że nie zdawał sobie sprawy z istotnych cech tego rodzaju poezyi według pojęć współczesnych, lub że pojmował je nieco inaczej, niż inni sielankopisarze XVIII w. Co prawda, pojęcie sielanki odbiegło

¹⁾ „Pamiętnik Tow. literackiego A. Mickiewicza,* t. IV, str. 179.

podówczas znacznie od pojęcia pierwotnego; nieraz wystarczało parę zewnętrznych ozdób konwencyjonalnych, żeby utwór nazwać sielanką; kierunek, panujący w życiu pewnej warstwy i w literaturze, zagarniał pod swe skrzydła inne rodzaje, nie mające z nim nieraz nic wspólnego. Powodów tego, że Karpiński zaszedł w tym kierunku dalej, niż pisarze obcy, szukać należy, zdaniem mojem, w tem, że gdy we Francyi i w Niemczech roztrząsano szeroko i dokładnie teorię poezyi — jeszcze przed wystąpieniem Gessnera, to u nas tę gałąź wiedzy traktowano tylko przygodnie i ogólnikowo. Najwięcej stosunkowo zajmowano się dramatem,¹⁾ natomiast teoria sielanki leżała odłogiem. Gdy w Niemczech już w r. 1766 Lessing zgromił sielankę Gessnerowską, zakładając stanowczy protest przeciw dotychczasowym głosom uwielbienia, to u nas jeszcze nie zaczęto jej naśladować. Wobec braku teoryi sielanki, każdy z naszych sielankopisarzy sam sobie ją musiał na poczekaniu tworzyć. Gdy u Gessnera teoria poprzedziła wykonanie dzieła, a nawet w formie wstępu została wyłożona czytelnikom idylli, u Karpińskiego było odwrotnie: powstałe w długim przeciągu czasu wiersze różnej treści, starał się podciągnąć pod wspólną nazwę modnego podówczas rodzaju. Gdy idylle Gessnera są jednolitem, konsekwentnie przeprowadzonym dziełem sztuki, u naszego pisarza musimy dopiero doszukiwać się wspólnych cech, których on sam w swym zbiorze dostrzegał.

IX.

Nie tu miejsce do zastanawiania się nad istotą tego rodzaju poezyi i nad losami, jakie w ciągu wieków przechodził, wystarczy nadmienić, że nigdy może nie pojmowano go tak swobodnie, jak w XVIII w. i nigdy się tak bardzo od realnego życia nie oddalił. Dwa elementy, jakie w sielankach napotykaemy, t. j. epicki i liryczny, nadają jej znamienne barwę, stosownie do tego, który z nich przeważa. Schiller np. zaliczał ją do poezyi sentymentalnej czyli podmiotowej i dziś przeważnie umieszczamy ją na szarym końcu liryki. Otóż i Karpiński, wrażliwy na współczesny

¹⁾ Por. Chmielowski: „Dzieje krytyki lit. w Polsce,” str. 29 i n.

kierunek uczuciowy w literaturze, pojmował w ten sposób idyllę; na pierwszym miejscu stawia uczucie i ono jest pierwszym i najsilniejszym węzłem, jest nicią złotą, przewijającą się przez cały zbiorek. Ono jest też głównym rysem, odzwierciedlającym indywidualność pisarską śpiewaka Justyny. Jak w Niemczech już w r. 1762 nazywano Gessnera „ein Dichter für jedes Herz“¹⁾, tak Polacy nadali Karpińskiemu przydomek poety serca. On sam uważał uczucie za „najmocniejszą sprężynę sztuki,“ za punkt wyjścia każdego twórcy. „Wejdz pierwej... w serce twoje, radź się go i słuchaj, a dopiero, co w niem zaczęłeś, niech głowa i dowcip twój zakończy.“ Dwie „namiętności“ najsilniej wzruszają serce ludzkie: smutek i zazdrość. „Smutek, który... wejściem w nałóg staje się melancholią, jest źródłem, z którego mocna wymowa płynie... Wszystko, co kiedy wielkiego w wymowie pokazało się, ma jakąś cechę ożywiającej robotę melancholii.“²⁾

W wieku późniejszym, spoglądając wstecz na całą swą twórczość poetycką, pisał: „Mnie los dał serce tkliwe i pióro w rękę, ażebym to pisał, co mi serce powiedziało.“³⁾

Innymi słowami rzecz określając, właściwem polem twórczości Karpińskiego była t. zw. liryka czysta. Niezawsze atoli nastroczała się okazywała do bezpośrednich wylewów uczucia; życie dość monotonne nie dostarczało potrzebnych wrażeń; tylko od czasu do czasu „serce tkliwe“ poruszyło się raźniej. Świadomość powołania nakazywała szukać wzruszeń drogą mniej naturalną, w lekturze. Stąd wynika najprostszy podział sielanek na dwie grupy. Wiersze, pisane do pierwszej i drugiej Justyny (siel. 1, 3, 5, 7, 14, 16), „Na odmienione Nadprucie,“ „Na posągi rolnictwa i poetyki,“ to grupa liryczna, podmiotowa, reszta stanowi grupę drugą. Zasadniczy ton obu przeważnie ponury. Zawody życiowe podyktowały najwcześniejsze wiersze, w późniejszych nastroj pozostał ten sam. Głównem źródłem jest niewątpliwie wrodzone usposobienie; dopełni go później tęskna nuta pieśni sielskiej i lektura. Zresztą Karpiński nie był pierwszym, który nastroił sielankę na ton elegii. Przypisywanie pasterzom czułości-kowości, wkładanie w ich usta westchnień i narzekań weszło już we zwyczaj na długo przedtem, biorąc początek w literaturze włoskiej; we francuskiej klasycznym przykładem był Fontenelle,⁴⁾ tworzący pary pasterskie, nieznające nic innego, prócz miłości,

¹⁾ Wölflin, str. 40. ²⁾ O wymowie, „Dziela,“ str. 770. ³⁾ „Dziela“ str. 950, ⁴⁾ Wölflin, o. c. str. 58.

umiejące wynurzać w formie wykwintnej najsubtelniejsze odcienia uczuć. Gessnerowi wydawało się, że poszedł inną drogą, w rzeczy samej jednak miał wiele wspólnego z poprzednikami. Ale podczas gdy u niego przeważa stanowczo koloryt jasny, pogodny, pasterzom Karpińskiego znane są prawie wyłącznie uczucia nieprzyjemne. Najczęściej opiewają żal z powodu straty kochanki (siel. 2, 4, 10, 13), albo rozpacz wskutek zawodu w miłości (8, 15, 19), utraty uwieczki (12). Czyste uczucie radości rzadko dostaje im się w udziale, ale i wtenczas zamaćone bywa uczuciem przykrem. Jedna jest tylko sielanka konwencyonalna, nastrojona na ton pogodny (17), ale temat stanowią uczucia rodzinne; natomiast radość na widok motyla zamienia się wnet w smutek (6), a rozkosz zmysłowa, odmalowana w siel. 9, nie jest pomysłem oryginalnym. Największą różnorodność i obfitość uczuć daje „Laura i Filon,“ począwszy od lekkiego niepokoju oczekiwania aż do gwałtownego wybuchu gniewu (u Laury), od niewyraźnej tęsknoty miłosnej do grubego zmysłowego pożądania (u Filona). Śmiech obok płaczu, radość przy trwodze. Są to uczucia prawdziwe, realne, ogólnoludzkie. Jeżeli odrzucimy niektóre modne dekoracye, można będzie zastosować je do wszystkich czasów. Stąd popularność w tych sferach społecznych, w których takie sytuacye, na takim tle są czemś zwyczajnem. Realizm w niektórych szczegółach każe przypuszczać, że musi tam być sporo reminiscencyj z własnych przeżyć poety, z tych czasów, kiedy to (jeżeli mamy mu wierzyć) „noce całe“ z kochankami przepędzał, kiedy „z młodemi, rozrywki miewał.“ Inaczej natomiast przedstawiają się sielanki, nastrojone na jeden tylko ton, mające za przedmiot np. żal za pasterką lub rozpacz z powodu jej niewierności. Czynią na nas wrażenie czegoś wymuszonego, nienaturalnego, czuć, że poeta nie pisze tego, co mu „serce powiedziało.“

Nieodzownem tłem sielanki jest przyroda. Jakie miejsce wyznaczył jej w swych wierszach Karpiński i jak ją maluje? Przedewszystkiem stwierdzić należy u niego rzeczywistą znajomość przyrody wskutek ustawicznego pobytu na wsi. Nie można tego powiedzieć o współczesnych poetach-dworakach; stąd wynika różnica: przyroda u Karpińskiego nie jest sztuczna, konwencyonalna, ale rzeczywista, realna. Nie brak oczywiście i w tym zakresie reminiscencyj z lektury, ale jest także wiele takich szczegółów, które świadczą, że poeta umiał własnymi oczyma czytać w księdze przyrody. W latach młodocianych pieśń gminna wskazuje mu tę drogę, później studyum dzieł tych autorów, którzy ją najpiękniej odmalowali. Wtedy uświadamia sobie znacze-

nie tego czynnika w twórczości poetyckiej i określa na kartach swej teorii „wymowy.“ Nie poszedł jednak niewolniczo za żadnym ze znanych sobie sielankopisarzy. Wystarczy porównanie z Gessnerem. U szwajcarskiego poety przyroda jest monotonna, traktowana zupełnie na sposób tła malarskiego. Nie każdy zaś widok nadaje się do obrazu; tylko niektóre mają ten przywilej. Co groźne, ponure, majestatyczne, to usunięte. I tak np., szczegół bardzo charakterystyczny: Gessner, który żył w Szwajcaryi, ani słówkiem nie wspomniał o jej największym uroku, o Alpach. I nie był wyjątkiem pod tym względem; góry nie uchodziły podówczas za przedmiot, któryby mógł sprawić wrażenie piękna. Karpiński jest daleko swobodniejszy, nie trzyma się ściśle żadnej teorii. Nie szukać u niego odrębnych malowideł przyrody—do tego było jeszcze daleko; poeta używa jej jako środka pomocniczego do odnalawania swoich lub cudzych uczuć: dowód wrodzonego talentu lirycznego.

Już pierwsze uczucie względem kobiety każe mu szukać analogii w powstającej do nowego życia przyrodzie. Zręczne powiązanie uczucia własnego z objawami zewnętrznymi stanowi cały urok tej pieśni. Gdy przyjdzie nakłaniać drugą Justynę do wdzięczności lub wzajemności, użyje, jako przykładu, rzeki, oddającej swe wody morzu, smereki, spuszczej swe nasienie ziemi żywicielce, lub drzew, dających chłód lub owoc w nagrodę temu, co je zasadził. Chory, wskutek niespełnionych pragnień, zazdrościć będzie powodzenia w miłości szczęśliwшему od siebie śpiewakowi w przyrodzie, skowronkowi. Stosownie do własnego nastroju poety, zmieniać się także będzie nastrój krajobrazu; sprawi to np. nagłe zjawienie się kochanki smutnemu lub rozpaczającemu. Tło innych sielanek bywa najrozmaitsze; łąka zielona, las, góry przepaściste z nieodzownem źródłem lub strumykiem. Pory roku i dnia bywają też różne: wiosna, lato, zima, dzień i noc — oczywiście księżycowa. Przyroda, ożywiona ptactwem i zwierzętami. Na szczególną uwagę zasługują sielanki, w których tło stanowią miejsca pobytu poety. I tak, w sielance 2 wymieniony jest Kluczów, wioska góraska, leżąca na południe od Kołomyi, w sielance 18 rzeka Prut. Czy koloryt lokalny, nad którym unosił się Mickiewicz w wykładach o literaturze słowiańskiej, przebija się także w innych sielankach? Zapewne. Choć wiele rysów i szczegółów konwencyonalnych należy odnieść, jak powyżej wykazano, do wpływu lektury, mimo to nie ulega wątpliwości, że poeta mieszał je i splatał z motywami, wziętymi z bezpośredniego otoczenia. Wogóle zaznaczyć należy, że przyroda stanowi

w sielankach element wybitny, wyjątkowo tylko pominięty (np. w siel. 13) i że jest drugim ogniwem, wiążącym te wiersze w całość.

Trzecim wreszcie łącznikiem jest cecha wybitnie współczesna, specyficzna, pozostająca w związku z pewnymi rysami obyczajowymi warstwy oświeczonej XVIII w., odzwierciedlającymi się w literaturze. Nazwiemy ją maską pasterską. Podobnie jak damy i kawalerowie XVIII w. przebierali się za pasterzy i pasterki, tak znaczna część poezji i literatury ówczesnej wogóle nie może się obejść bez konwencyonalnych imion pasterskich, zapożyczonych przeważnie ze świata starożytnego. Ulegając za pośrednictwem lektury panującemu zwyczajowi, przyjmuje Karpiński gościnnie do swych wierszy Filonów i Korydonów, Palmirę i Dorydę, ale tworzy także sam niektóre imiona; tak np. „Justyna,“ czy wyobraża kochankę rzeczywistą, czy zmyśloną, powstała bezwątpienia w czasach, kiedy poeta obeznał się już z zagraniczną literaturą. Jak ten szczegół dekoracyjny, ta stereotypowa maska była niezbędną w sielance i jak ją stosowano, uwydatnię na kilku przykładach. Najciekawszym z nich będzie wiersz przerobiony z Kattulla. Aby go móżdź wcielić do zbioru sielanek, należało mu nadać zewnętrzną cechę tychże. Stało się to przez zamianę imion pierwowzoru na Korydona i Palmirę. Nie wystarczała zatem treść pokrewna sielankom (tematem miłość, sceną murawa); należało przybrać zakochaną parę w kostyum współczesny. Także niektóre sielanki o charakterze podmiotowym, np. sielanka 5, pisana do drugiej Justyny lub „Na odmienione Nadprucie,“ obfitują w Dorydy, Akasty, Klorydy. Nawet w wielu pieśniach tę maskaradę napotykaemy już w samych tytułach, np. „Kloe nazwana Leszkciem Białym,“ „Przeciw samobójstwu Filon do Palmiry.“ Dziś nas to oczywiście razi, gdyż nie mieści się w naszych pojęciach możliwość pogodzenia z sobą dwóch tak sprzecznych elementów, jak konwencyonalny i indywidualny; oceniając jednak rzecz ze stanowiska wyobrażeń literackich XVIII w., stwierdzimy, że Karpiński ulegał powszechnie panującemu zwyczajowi.

Tyle o treści sielanek wogóle; z kolei wypada poświęcić kilka uwag ich formie.

X.

Stwierdzić należy przede wszystkim znamieny objaw, że gdy nowsi krytycy i historycy literatury kwestyę tę traktują ubocznie lub całkiem pomijają, dawniejsi, np. Mickiewicz, należycie ją uwzględniali, a to z tego powodu, że lepiej ją rozumieli i odczuwali. O ile nie możemy się pisać na sądy naszego wieszca, dotyczące treści sielanek, to bez wahania powtórzymy za nim zdania: „Co do formy zewnętrznej, poeta wziął ją ze śpiewów gminnych, naginając budowę zwrotek wedle prawideł udoskonalonej wersyfikacji. Stąd pojąć można, dlaczego poezye Karpińskiego stały się tak popularne; każdy z nich (t. j. czytelników lub słuchaczy) przypominał sceny, które zdaje się, że kędyś oglądał; nawet *rytm i śpiew* były uchu znajome, tylko nieco upięknione; sielanki więc stworzone w stylu żywiołów narodowych a ożywione wysokim talentem, stały się śpiewami narodowymi.“ W dalszym ciągu rozprawy zastanawia się Mickiewicz nad tem „jak dalece co do formy zewnętrznej Karpiński studyował śpiewy gminne i przejął się ich charakterem,“ przytacza jako dalsze przykłady „Dunę o Ludgardzie“ i pieśni pobożne, dowodzi, że nawet cudzoziemcy „czuli harmonię jego wierszy.“¹⁾ Bardzo trafnie połączył Mickiewicz kwestyę pochodzenia formy wierszy Karpińskiego z kwestyą ich popularności. Kiedy my traktujemy te poezye ze stanowiska czysto literackiego, poeta (jeśli nie będzie raziło zestawienie) lepiej rozumiał poetę i wskazał stanowisko, na jakim ma stanąć krytyk. Zdanie Mickiewicza da się także teoretycznie uzasadnić. Utwory liryczne, do których należy zaliczyć niezaprzeczenie przeważną część sielanek, różnią się tem od innych rodzajów poezyi, że budzą w nas pewien nastrój. Dzieje się to zwłaszcza przez udzielanie się zawartego w nich pierwiastka muzycznego, zgodnie z pierwotnem przeznaczeniem i nazwą liryki. Najpierw oddziałują one na nas drogą zmysłów, podobnie jak sama muzyka, budząc niedający się bliżej określić nastrój, następnie dopiero działają na umysł zawarte w nich myśli. Dotyczy to przede wszystkim t. zw. liryki czystej, która, jak powiedzieliśmy, była właściwem polem twórczości Karpińskiego.

¹⁾ „Pamiętnik literacki,“ t. IV, str. 180 i n. („Nieznana rozprawa Mickiewicza o Karpińskim.“)

Droga oddziaływania na czytelników lub słuchaczy odpowiada kolei tworzenia: uczucia lub myśli ubiera poeta w formę literacką, używając rytmu znanej sobie pieśni, stąd budowa stroficzna sielanek. Rolę muzyki w tworzeniu poetyckiem określił Karpiński w zdaniu: „Najmocniej myśl ociążała poruszać zdaje się sworna i piękna *muzyka*, której cudów w ocuceniu imaginacy nietylko dzisiaj doświadczamy, ale i u dawnych z tejże siły swojej słynęła.“¹⁾ Typowym przykładem tworzenia pod wpływem muzyki jest podana w „Pamiętniku“ geneza „Pieśni dziada sokalskiego.“ Pierwszy rozbiór Polski silnie podziałał na poetę. Rozbudzone uczucie żalu za utraconą wolnością szuka ujęcia, pragnie się wyładować. Sposobność do tego daje muzyka, muzyka typu najprostszego, ludowa, której przedstawicielem „dziad chodzący z lirą.“ „Na nutę jednej z jego żalonych pieśni“ układa Karpiński pieśń o formie najprostszej, gminnej. Tak powstaje elegia na utraconą niepodległość. Drugi moment charakterystyczny: poeta oddaje ją „do śpiewania“ temuż dziadowi; pieśń wraca tam, skąd wyszła, do ludu.²⁾ Tak samo powstała przeważna część sielanek. My dziś tego nie odczuwamy, ponieważ nie znamy pierwowzorów; Mickiewicz je znał i zdołał dosłyszeć w sielankach echa pieśni gminnej; wypowiedział i uzasadnił zapatrywanie, które już przed nim ogólnikowo wyraził Brodziński. Otóż jeżeli pod względem treści sielanki są w zależności od lektury, to forma ich pochodzi przeważnie z tego otoczenia, w jakim poeta przebywał prawie bez przerwy aż do wydania pierwszego zbioru prac literackich. Ta okoliczność nadaje im pewną cechę demokratyczną, odpowiadającą pochodzeniu, usposobieniu i przekonaniom pisarza, ona otworzyła im wstęp do tej warstwy społecznej, u której zapożyczyły szatę. Gdy Mickiewicz pisał wspomnianą rozprawę, w innej dzielnicy Wacław Zaleski wcielił do swego zbioru pieśni ludowych trzy wiersze Karpińskiego³⁾ a usprawiedliwiając się z tego w przedmowie, dodawał słuszną uwagę, że „nie byłyby przeszły do ludu, gdyby nie były zupełnie w sposobie ludu ułożone.“ Za pieśń ludową zaś uważa nietylko tę, którą się spotyka między wieśniakami, ale—podobnie jak Mickiewicz, pieśni „rozpowszechnione w niepiśmiennej części narodu,

1) Przypiski do rozprawy „O wymowie.“ „Dzieła.“ str. 780.

2) „Pamiętnik,“ „Dzieła,“ str. 1165.

3) „Tęskność na wiosnę,“ Wspomnienie dawnej miłości,“ „Laura i Filon.“ „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego.“ Lwów, 1833, str. 55, 231, 242.

a raczej u tych, którzy nie z książek pieśni biorą, ale z ustnego podania.“¹⁾ Nie należy się dziwić, że pierwiastek muzyczny odgrywa tak wybitną rolę w twórczości Karpińskiego. Muzyka jest bowiem tą sztuką, która bezpośrednio i najsilniej oddziałuje na nasze uczucia; poeta zaś posiadał organizację psychiczną, bardzo na takie oddziaływanie wrażliwą. Dodać należy, iż w tych strofach, w których spędził swą młodość i lata dojrzałe, okazyi do poddawania się tego rodzaju wpływom było aż nadto wiele. Zaznaczając nieocenioną wartość i bogactwo melodyj ludowych, Wacław z Oleska spostrzega w nich „świat cały rozwiniętych uczuć.“²⁾ Melodyjność i śpiewność nie jest oczywiście cechą wszystkich sielanek. Stopień popularności i rozpowszechnienia będzie tu miarą stopnia pokrewieństwa z melodyjami ludowymi; mniej już polegać możemy na wrażeniu, jakie sami odnosimy. Najbardziej nadają się do śpiewu sielanek, ułożone w strofach krótkich, czterowierszowych. Taka jest forma dwóch sielanek, wydrukowanych przez Wacława z Oleska („Tęskność“, „Laura i Filon“). Za pośrednictwem muzyki stała się ta druga sielanek najulubieńszą pieśnią Mickiewicza. Co ciekawsze, wielki wieszcz idzie tą samą drogą, co skromny śpiewak Justyny: zapamiętana melodia nie tylko daje formę rytmiczną niektórym utworom młodocianym, ale ozwie się jeszcze w „Alpuharze.“ Podobnie wdzięczną, lekką budową odznaczają się dwie sielanek erotyczne, mianowicie 1 („Dokąd płyniesz rzeczko mała“) i 14 („Drzewa, wyście małe były“)³⁾, ale i w innych tkwi pierwiastek muzyczny; dowodem budowa stroficzna, właściwa wszystkim sielankom z wyjątkiem jednej (15).

Są jednak inne jeszcze cechy, świadczące o silnym wpływie czynnika ludowego. Dotyczą one strony językowej. Karpiński starał się także pod tym względem nadać niejednej sielance barwę gminną. Nie wszystkie ujemne cechy formy należy kłaść na karb „niepewnego pióra, które nie panuje nad formą ani pod względem stylu, ani kształtu wiersza.“⁴⁾ A już bynajmniej nie możemy łączyć tego objawu z wcześniejszym lub późniejszym pochodzeniem poszczególnych sielanek. Nie należy bowiem zapo-

1) Tamże, str. XLVIII.

2) Tamże, str. XLI.

3) Zwracam uwagę na okoliczność, że układ rytmiczny tych dwóch wierszy jest ten sam, co pisanej współcześnie „Pieśni dziada sokalskiego.“

4) Pilat: „Hist. lit.“ IV, 1, 227.

minąć o tem, że wylewy własnych uczuć udają się poecie doskonale, w nich i rytm jest mu posłuszny i słowa gładko spływają na papier; w innych natomiast utworach, gdzie brak tego wewnętrzznego bodźca, sprawa ma się inaczej. „Ociężała imaginacya“ pracuje z wysiłkiem, a do wykonania obranego pensum trzeba używać różnych sztucznych sposobów, o których bliższe szczegóły w rozprawie „O wymowie.“ Jeżeli w wierszach podyktowanych przez „zbolełe serce“ szczerłość uczucia odzwierciedla się bezwiednie w prostocie wysłowienia, to styl i język sielanek drugiej kategorii pochodzi z innego źródła. Nie jest to prostota naturalna; wyznając widocznie zasadę, że poezya sielankowa ma mieć zabarwienie gminne, poeta dobiera wyrażen realistycznych z mowy potocznej, wbrew obowiązującemu prawidłu Boileau'a. Zwroty i wyrażenia takie, jak np. „ruchawa Chloe rozegziła się,“ „czujne sobaki,“ „bryś wysłużony,“ albo takie zdanie: „ty (psie) teraz zdechniesz z głodu, mnie z żałości wyschną te kości,“ dziwnie brzmi w ustach pasterza, który mdleje, płacze, każe pasterkom „chodźć wkoło zimnej mogiły“ kochanki i zdobić ją kwiatami. To, co poeta uważa za „naturalne,“ my nazwiemy trywiałnem, przypominającem okres barokowy naszej literatury. Co więcej, jeżeli krytyka zarzuciła Karpińskiemu brak toku szczeropolskiego w języku, zwłaszcza w prozie, galicyzmy i latynizmy, dodamy do tego jeszcze jedną naleciałość, prowincjonalizmy, odnosząc je już specyalnie do sielanek. Długoletni pobyt na wsi i chęć zabarwienia wiersza odcieniem realistycznym, może za przykładem niektórych poprzedników w tym dziale poezyi, sprowadziły dziwną mieszaninę różnorodnych pierwiastków. Inaczej wygląda sielanka Gessnera, równa i jednolita także pod względem formy. Prócz braku subtelnego poczucia artystycznego odbiła się tu także różnica, jaka zachodziła między organizacją psychiczną naszego poety, a innych współczesnych pisarzy. Karpiński był z natury weredykiem, tak w życiu jak w pismach; gdy występował w roli sztucznej, powijała mu się noga, czynił wrażenie niezgrabnego, gdyż nie umiał się dostroić do otoczenia. Za tem szły niepowodzenia w występach na dworach i w poezyi. Najślabiej wypadły te sielanki, w których przemawia tonem czulego pasterza. Ciekawy widok krzyżowania się dwóch wprost przeciwnych czynników. Wzory zagraniczne podają za przykład pasterzy, postępujących i wyrażających się w sposób świadczący o wykwińskiej kulturze, albo też w sposób prosty, ale daleki od rubasznej pospolitości; własne upodobanie rwie poetę w inną stronę. Wynikła stąd oczywiście dysharmonia; nie jest to styl roko-

kowy ale raczej barokowy. Karpiński nie zdawał sobie sprawy z tego, że w utworach literackich prostota formy ma pewne granice, że styl poetyczny musi się czemś różnić od mowy potocznej, zwłaszcza jeżeli pasterze imionami swemi okazują, że nie są rodem z Pokucia, ale członkami sztucznie wytworzonej rodziny europejskiej, międzynarodowej; nie posiadał poczucia piękna, polegającego na zlanii zgodnych z sobą pierwiastków, nie widział tej niezmiernej przepaści, jaka dzieliła konwencyonalne obyczaje pasterzy od rzeczywistego życia prostaczków; jedną ręką czerpał z lektury zagranicznej, drugą z otoczenia i lepił całość, nie bacząc, że podobny był w tem do ogrodnika, który w cieplarni pielęgnuje buraki. Dlatego też sielanki takie jak: „Rozstanie się Medona,“ „Korydon smutny,“ „Dafne i Korydon,“ „Dzieci u matki“ zajmą w szeregu swych towarzyszek miejsce ostatnie. Chybione w pomyśle, rzucają niekorzystne światło na swego twórcę.¹⁾ Wogóle styl i język sielanek, rozpatrywany ze stanowiska literackiego, to może najślabsza ich strona. Ta wada tem jaskrawiej się uwydatni, jeżeli zważymy, że w sielance konwencyonalnej treść schodzi na dalszy plan; co jej zapewnia stanowisko w literaturze, to zalety formy. Nie samo uczucie, ale słowa, w jakich je wyrażano, budziły zajęcie.

Jak odmiennie natomiast przedstawi się nam ta ujemna strona sielanek, jeżeli patrzeć będziemy na nią oczyma tych, wśród których osiągnęły największą popularność! Do Karpińskiego i niektórych innych popularnych pisarzy zastosować można paradoksalne do pewnego stopnia twierdzenie, że to, co wartość literacką utworów obniża, otwiera często wrota do sympaty i sławy wśród warstw niższych. Nie przez samo uczucie, które Karpiński do literatury XVIII wieku wprowadził, ale głównie przez formę, w jakiej je wyraził, stał się ulubieńcem dworaków i zaścianków. Uczucie własne wyśpiewał i sentymentalizm zachodnio-europejski spopularyzował w sposób dla mniej wykształconych najprzystępniejszy, bo najbardziej zbliżony do zakresu wyobrażeń i wyrażeń tej sfery.

Załatwiając kwestyę olbrzymiej popularności sielanek musimy zmienić nieco powszechnie dziś przyjęte zapatrywania i położyć na pierwszym miejscu sąd Mickiewicza. Muzykalność rytmi-

¹⁾ Cechy, o których mowa, wypływają zapewne poniekąd z ewolucyi, jaka się dokonała w traktowaniu tego rodzaju poezyi po wystąpieniu Rousseau'a. Por. Pilat: „Hist. lit.“ t. IV, cz. 1, str. 104.

ki, opierająca się na wzorach gminnych, styl i język nie literacki ale zbliżony do sposobu wyrażania się warstwy niewykształconej, a po nich dopiero uczucie, wypełniające treść, utworowało sielankom drogę do popularności. Tu i owdzie zalety formy spotęgowane są jeszcze innymi środkami. Karpiński czuł widocznie, że długie monologi pasterzy w tonie elegijnym ciężkie są i nudne, dlatego najdłuższą z swych sielanek przybrał w formę dramatyczną. Z pełnym wdziękiem i różnorodnością uczuć monologiem Laurę łączy się nader żywy i urozmaicony dyalog. Wogóle można powiedzieć, że wszystkie zalety treści i formy, na jakie stać było poetę w zakresie twórczości sielankowej, skupiają się w „Laurze i Filonie,” to jest szczyt, do którego doszedł na tem polu. Jest to najpiękniejszy w naszej literaturze sielankowej XVIII wieku przykład szczęśliwego zespolenia przeszczepionego na grunt polski kierunku zagranicznego z pierwiastkiem swojskim i własną indywidualnością pisarską Karpińskiego. Pomiedzy sielankami drugiej grupy zajmuje ona to miejsce, co „Tęskność na wiosnę“ między pieśniami erotycznymi.

XI.

W stosunku do warstwy wykształconej naszego społeczeństwa za czasów Stanisława Augusta i późniejszych staje Karpiński w szeregu tych pisarzy europejskich, którzy prąd uczuciowy przelewali w formę sielanki i w szerokich kręgach rozprzestrzeniaли między łaknącą tej strawy publiczność. Jego rola podobna jest oczywiście do tej, jaką odegrał Gessner, atoli pod innymi względami różnią się ci pisarze znacznie od siebie. Mimo wykazanej zależności, nie można nazwać żadnej sielanki naszego pisarza „ślepego naśladownictwem“ wzoru niemieckiego. Nadto, jeżeli podobne utwory Gessnera stoją wyżej, jako jednolicie pomyślane i wykonane dzieło sztuki, to pochodzące z różnych czasów sielanki Karpińskiego, aczkolwiek różnorodne, zajmują, dzięki innym zaletom, daleko wyższe miejsce w dziedzinie poezji.

Już wyżej powiedziano, że treść sielanki ówczesnej schodzi na drugi plan wobec jej formy. Dlatego też przede wszystkim wiersz i jego rytmika czynią sielankę naszego pisarza niemal zupełnie innym rodzajem; z szatą poetycką harmonizuje również nie napotykana w Gessnerze zwięzłość kompozycji, np. w wierszu „Do motyla.“ Karpiński, podobnie jak Naruszewicz, nie pisałby

sielanki prozą; prawdopodobnie nawet, nie znając niemieckiego oryginału, tłómaczenie Hubera miał na myśli, gdy powiedział, że Francuzi „piękne cudzych autorów wiersze na ojczystą prozę przekładają, nie chcąc tym sposobem słowa jednego z wielkiego mówcy utracić.“¹⁾ Także pasterze i pasterki Karpińskiego nie zawsze są pojęci w duchu gessnerowskim, nie są tak monotanni i bladzi; Laura, unosząc się gniewem, tłucze koszyk i rwie wieńiec; Gessner, stosownie do swej teoryi, obdarzył pasterzy tylko uczuciami łagodnymi i delikatnością w postępowaniu. Filon i Laura natomiast, to postacie realne. Dalej, co do strony opisowej, Gessner jest także w sielankach malarzem, podobnie, jak Thompson, — Karpiński poetą-pieśniarzem. Życie obu pisarzy odbija się również w ich utworach. Pierwszy z nich, z natury innego usposobienia, nie doznawał takich zawodów ani ciężkich przeżyć, jak śpiewak Justyny. Goście, którzy go odwiedzali w jego Arkadyi, w przesłicznym ustroniu w Sihlwald, widzieli prawdziwą sielankę; miano go za najszczęśliwszego i on sam za takiego się uważał.²⁾ Wesół, zadowolony, jakim go widzimy na współczesnych portretach. Inne natomiast było usposobienie naszego poety, innym korytem toczył się jego żywot; to też z poza sielanek wygląda uporczywie postać wiecznie „ubogiego“ i prześladowanego przez los dzierżawcy wiosek wschodnio-galicyjskich. Ani śladu gessnerowskiego optymizmu; jak sam biadał ustawicznie i narzekał na losy, tak skarżą się i utyskują jego pasterze. Bezwątpienia odbił się tu także wpływ pieśni ludowej z okolic, w których przebywał, nastrojonej zawsze na ton smętny. Nie przypadło to do smaku wytrawnemu teoretykowi poezyi, Brodzińskiemu. Podług niego „mało odpowiadają one własnościom idylli... Dlatego... prędeż nosić mogą imię sielskich elegij.“³⁾ Za przykładem autora „Wiesława“ powie Mickiewicz, że „mają charakter trenów.“ I nie mogło być inaczej. Rzewna tęsknota za czemś utraconem lub nieosiągniętem, to główny ton lutni śpiewaka Justyny.

*

*

*

1) O wymowie, „Pisma,* str. 758. 2) Wöllflin, str. 49—51. 3) „Dziela,* V, str. 104.

Te właściwości i zalety sprawiły, że w ogólnym obrazie rozwoju poezji polskiej za Stanisława Augusta Karpiński zajmuje—prawem kontrastu—stanowisko wyjątkowe, jako liryk i przedstawiciel poezji prowincjonalnej. Jego antypoda—Krasicki. Dwie zupełnie odmienne organizacye duchowe, odpychające się wskutek tego, a nie przyciągające. Poeta serca nie zajmował się autorem satyr; ten znów ani słówkiem nie wspomniał o autorze sielanek. Nie rozumieli się. A przecież obaj uzupełniali się nawzajem, obaj razem dają nam dopiero obraz dwóch głównych dróg, któremi szła poezya ówczesna, drogę rozsądku i uczucia. ¶ Miał i Karpiński swoich zwolenników i naśladowców ¹⁾ już między współczesnymi; rozgłos i wpływ jego sielanek przekroczyły nawet granice Polski, budząc zajęcie u narodów pobratymczych. Znany w Rosyi, o czem wzmianka w „Pamiętnikach,” czeski poeta Puchmajer naśladował go; niektóre sielanki tłómaczono na język niemiecki. Ze współczesnych polskich pisarzy szedł jego śladami Książnin, natura pokrewna, ale słabsza; łączyły ich stosunki osobiste; u innych natomiast nie miał, zdaje się, większego miru. Dopiero później, w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku widzimy szereg naśladowców. Są to talenty słabsze lub początkujące. Z pomiędzy licznych sądów, jakie wygłoszono o Karpińskim i jego sielankach w pierwszej połowie XIX wieku, najbardziej zastanawia nas sąd Mickiewicza. Przekracza zwykłą miarę uznanie, jakie miał dla poety serca, rola, jaką mu wyznaczył w swym rozwoju duchowym. Wspomnienia z lektury sielanek zrosły się u Adama ze wspomnieniami prawdziwej sielanki, przeżytej na ojczyznej Litwie w pierwszych latach młodości; sympatyę, polegającą także na pewnym pokrewieństwie ustroju duchowego, wzmocniło mylne przekonanie o wspólności pochodzenia — Mickiewicz uważał Karpińskiego za Litwina; atoli była u nich prócz tego pewna wspólność przekonań, zapatrywań na twórczość poetycką. Ten, co nie przywiązywał żadnej wagi do ozdób stylu, a w poezji prawdy szukał i nigdy jej dla piękności formy nie poświęcił, co uczucie uważał za źródło natchnienia, znalazł w wielu pieśniach Karpińskiego te dwa przymioty: prawdę i piękno, spoczywające w szczerych, bezpretensjonalnych wylewach własnego uczucia w formie, noszącej cechy pokrewne pie-

¹⁾ Szczegółowe rozpatrzenie wpływu „Sielanek“ na pisarzy współczesnych i późniejszych nie leży w zakresie tej pracy, dotknę przeto tylko momentów najważniejszych.

śni gminnej. Chociaż nie wszystkie zapatrywania Mickiewicza są słuszne, przecież ogółem uderzają nas trafnością i bystre m zrozumieniem rzeczy. Niektóre poznaliśmy już, z pomiędzy innych zasługuje na uwagę nazwanie Karpińskiego „Słowianinem zabłąkanym z nad Dunaju“¹⁾, upatrywanie w nim cech odrębnych, niepolskich. Sąd bardzo trafny. Karpiński nie jest typem szczepopolskim. Podobnie, jak na autorze „Pana Tadeusza“ odbiło się pochodzenie litewskie, tak u śpiewaka „Justyny“ spostrzedz możemy wyraźnie rysy i znamiona małopruskie, jako skutek wpływu otoczenia, wśród którego jego przodkowie żyli i z którym on sam tak często się stykał za młodu i w latach dojrzałych.

Jakże więc dziś ocenić go mamy, przedzieleni znaczną przestrzenią czasu, wolni od uprzedzeń lub sympatyj?

Wartość literacką sielanek określimy nie jako „małą“, ale bardzo nierówną. Obok wierszy bowiem, które i dzisiaj wartości nie utraciły, widzimy również takie, co nawet na tle poezji XVIII wieku pobłażliwej oceny nie wytrzymają. Są wreszcie i takie, które podobać się mogły współcześnie, jako zgodne z duchem czasu i odpowiadające panującemu smakowi; dziś spoglądamy na nie z pobłażliwym uśmiechem, jako na przeżytek literacki. Sam Karpiński jest, na co się od kilku lat dziesiątków każdy godzi, ptakiem małego lotu, nieraz tak małego, że zdaje się poruszać po ziemi; w swoim czasie jednak, na tem bezrybiu w dziedzinie uczucia, jest poetą średniej wprawdzie miary, ale dość wybitnym i oryginalnym, aby zwrócić na siebie uwagę czytającej publiczności i znaleźć naśladowców. Dziś przysyłają nam jego skromną postać gigantyczne sylwety arcymistrzów romantyzmu; wiek XVIII nie obfitował w wybitne talenty poetyckie i Karpiński mógł znaleźć uznanie u takich znawców literatury, jak król Stanisław August, lub Czartoryski. Dziś esteta wykrzywi usta przy czytaniu przeważnej części jego utworów; ta okoliczność jednak nie powinna być przeszkodą w oddaniu mu należnego uznania za to, co dał współczesnym. Wdzięczne zadanie ma przed sobą badacz, pragnący wyjaśnić spuściznę literacką poety serca. Jest to objaw niezmiernie ciekawy, jak prąd pewien, powstały w jednym z centrów zachodnio-europejskich, rozlewa się powoli, zatacza coraz szersze kręgi i dochodzi wreszcie tam, gdziebyśmy się go najmniej spodziewali. Uczucie, zaczynające się odzywać kolejno, słabszym lub silniejszym tonem w literaturze angielskiej,

¹⁾ Wykłady o lit. słow., I. 20.

niemieckiej, francuskiej, oddziaływa równocześnie drogą lektury francuskiej na skromnego, zdala od wielkiego świata żyjącego mieszkańca ziem ruskich; znalazłszy grunt podatny, miesza się z czynnikami indywidualnymi i pierwiastkami swojskimi i znów zjawia się w kształcie publikacji, przybrawszy modrą szatę sielankową. Teraz zaczyna się działanie odwrotne, odśrodkowe, w dwóch warstwach: górnej, wykształconej i dolnej, w znacznej części niepiśmiennej. Promieniowanie odbywa się nader silnie, ogarnia szerokie przestrzenie. Pierwotny, główny prąd drobnymi odnogami wsiąka w najniższe pokłady i wydostaje się znów na zewnątrz w postaci bezimiennej już pieśni ludowej; w warstwie literacko wykształconej sięga swym wpływem aż poza granice państwa polskiego. Śledzenie dróg, któremi takie prądy się rozchodziły, i przeobrażeń, jakim po drodze ulegały, to główne zadanie pracownika w dziedzinie historii literatury XVIII wieku.

A pisarzowi, któremu poświęciliśmy uwagę, winniśmy wdzięczność i uznanie, że stanął w szeregu tych, co po długiej przerwie na nowo nawiązali nić, łączącą nas z cywilizacją zachodnią.

WITOLD ZOSEL.

SĄSIEDZTWO HISTORYCZNE UKRAINY KOZACKIEJ.

Tatarzy.—Szlaki tatarskie.—Szlak wołoski.—Wołoszczyzna.

Usadowienie się Tatarów nad brzegami morza Czarnego, jakoteż sąsiedztwo Krynu, pociągało za sobą najgorszy wpływ na kształtowanie się życia i charakteru ludności tubylczej. Ku morzu Czarnemu leżały olbrzymie obszary ziem pustych, stepów, owe znane ze smutnej sławy Dzikie pola i stepy Budżaku; na północ od nich ku wierzchowiskom Bohu, Irpieni, średniego Dniepru, około Kijowa, ludność była wprawdzie gęściejsza, chętnie posuwała się ku Niżowi, ale sama czynność kolonizacyjna nie mogła się odbywać prawidłowo z powodu bezustannych prawie najazdów tatarskich. Na systematyczną obronę Rzplita, a tembardziej Litwa, na razie zdobyć się nie mogły, bo to przechodziło ich siły państwowe: linia obronna była zbyt szeroka, zbyt wielka, mająca drogi do najazdów otwarte, a przeszkód żadnych prawie—naturalnych. Na drodze w głąb górnego Podola i późniejszego Wołynia, a prawie aż do samej Wisły, nie było przeszkód. Jedyna tylko Sina Woda (Siniucha) z płytkimi dopływami leżała w poprzek dróg tatarskich. Ale przejście przez nią było igraszką. Pierwiastek turecki zaś otaczał szerokiem skrzydłem całą ziemię Nadolną.

W połowie XVI w. najbliższymi i najszkodliwszymi sąsiadami naszymi były ordy: Przekopska, Białogrodzka i Dobrucka.¹⁾

¹⁾ *Memuary etc.* t. I, 9 (Michalon Litwin).

W takim też porządku siedziały od Krymu i Przekopu począwszy do ujścia Dunajowego. Dalsze ku Wschodowi podziały Tatarów na różne ordy i ich siedziby nie interesują nas teraz. Orda Krymska mogła w połowie XVI w. wystawić zaledwie 30,000 żołnierzy. We 20 lat niemal później współczesny pisarz to samo o rozsiadleniu się Tatarów u granic Rzplitej pisał. „Zajmują oni—powiadał—swemi koczowiskami wszystkie stopy i równiny od Meotydy (morze Azowskie) i Pontu Euxyńskiego (morze Czarne) aż do Muncastra (Białogród, Akerman).“¹⁾ Według Beauplan'a Krymscy Tatarzy mogli wystawiać dla swoich wypraw na Polskę już do 80,000 żołnierzy, a uprowadzali nieraz ze sobą 50—60 tysięcy więźniów,²⁾ zależnie od tego, jak daleko zapędzali się w głąb Polski.

Michalon powiadał o nich, że posiadają barwę ciała smagłą, nos płaski, oczy niewielkie, głęboko osadzone, bystre, patrzą z ukosa, twarz mają płaską ale okrągłą, jak talerz; brwi i boczne części twarzy pozbawione są włosów, brody natomiast mają długie i utrzymują starannie. Wzrostu niewielkiego, przysadkowaci, ale nadzwyczajnie silni i wytrzymali na trud i niewygody.³⁾ Mały wzrost przypisuje im także Beauplan, ale przytem krótką szyję, szerokie plecy, małą głowę, twarz prawie okrągłą, oczy małe, czarne. Chwali również ich siłę i wytrwałość.⁴⁾ Od wczesnej młodości przyzwyczajają się oni do wszelkich niewygód i do swego rozbójniczego życia sposobią się twardo. Na koniu są prawie od kolebki aż do późnej starości. Konie mają w wielkiem poszanowaniu. Używają ich tylko na wyprawy wojenne, w domu nawet najwyżsi dostojnicy jeżdżą bez orszaku. Wogóle nienawidzą wszystkiego, co tylko jest przepychem i zbytkiem. Kobiety jedynie stroją się w drogie kamienie i złoto, ale jeżeli jeżdżą, to zapręgają do pojazdu — jednego lub parę wołów.⁵⁾ Wyjątek stanowią hanowie, „carowie“ krymscy, u których przepych Wschodu o miedzę graniczy z dzikością i barbarzyństwem poddanych.

Tatarzy noszą rodzaj tiuniki bez fałdów, lekkie, wygodne do konnej jazdy i walki; kołpaki białe, ostro zakończone, wysokie podnoszą niejako wzrost ich, a w czasie bitwy sprawiają duże wrażenie.⁶⁾ Robią takie kołpaki z owczej wełny, które są tanie, trwałe i łatwo się piorą.⁶⁾ Za czasów Beauplan'a, to znaczy po stu latach od pobytu wśród nich Michalon'a, nic się prawie nie zmieniło w życiu Tatarów — ani zewnątrz, ani wewnątrz: nosili takie same

¹⁾ Blaise de Vigènere (*Memuary* et., t. I, 88). ²⁾ Beauplan (*Mem.* II, 325).

³⁾ *Memuary*, t. I, 83. ⁴⁾ *Ibid.* II, 329. ⁵⁾ Michalon, I, 20. ⁶⁾ *Ibid.*, 27.

krótkie tiuniki — zwykłe koszule — takim krojem jak dziś u Rusinów w Galicyi — dość krótkie, aby nie przeszkadzały konnej jeździe, bawełniane, również bawełniane spodnie lub w zimie z sukna w pasy. U bogatszych strój wykwintniejszy nieco; ubożsi noszą kozuch barani, w czasie upałów lub słoty wywracając go wełną do góry, w czasie mrozów — wyprawą na wierzch. Uzbrojenie ich stanowi szabla i łuk z kołczanem, w którym się mieści od 18—20 strzał. Za pasem nóż, krzemień z krzesiwem i kilka metrów rzemienia do wiązania brańców. Każdy ma zegarek norymberski w kieszeni. Bogatsi tylko noszą kołczugę, ubożsi z gołą piersią idą do boju. W jeździe konnej są zręczni i odważni, ale na siodle źle siedzą, bo w krótkich strzemionach. Wogóle na swoim niezgrabnym koniu Tatarzyn wygląda jak małpa, siedząca na charcie. Jadąc na wyprawę, prowadzą za sobą zawsze konie luźne, a w czasie pogoni za nimi z największą łatwością przeskakują z jednego konia na drugiego. Jedzą byle co, główne pożywienie ich stanowi nie chleb, lecz mięso końskie, ale konia zarzynają wówczas dopiero, gdy już niema żadnej nadziei na wyzdrowienie. Zdechłym koniem nie pogardzają także, bez względu na to, na jaką chorobę zginął. Mieszają krew końską z mąką, gotują i jedzą jako przysmak. Krają także mięso końskie w paski mniej więcej calowej grubości, a możliwej długości, układają je na grzbiecie końskim, siodłają, przyciągając mocno popregi, siadają i jadą dwie trzy godziny. W tym czasie pieczeń już zwykle bywa gotowa do jedzenia. Inne części koniny gotują z solą. Tłuszczem końskim przyprawiają gotowane ziarna jęczmienia, prosa, hreczki. Bogatsi piją mleko kobyle.¹⁾

Dzikość i niewybredność ich życia, odpowiadała dzikości ich charakteru.

Wszelkie wycieczki w granice Rzplitej miały na celu nie tyle rabunek mienia — dla nich tylko owce, konie i bydło miały cenę — ile dla łowienia mieszkańców udawali się w cudze kraje. Prowadzili handel niewolnikami na wielką skalę. Dzięki bezpośredniemu stykaniu się z pobrzeżem morza, mieli zawsze na niewolników zapotrzebowanie duże i zbyt wielki. Kafa w Krymie, a nad Czarnem morzem Oczaków, Białogród, Kilia były wielkimi rynkami handlu. A największą cenę mieli niewolnicy z Polski. „Plemię moskiewskie, jako fałszywe i złośliwe — powiada Michalon — najniżej ceniono na rynkach niewolnickich.“

¹⁾ *Mémoires* (Blaise de Vigénère) t. I, 84; (Beauplan) t. II, 329 n.

Umiarkowani w czasie wojny i pochodów, zadowolają się byle czem. W krytycznej chwili Tatarzyn gasi pragnienie krwią końską: nacina żyłę szyjną, łyka parę haustów krwi — i to mu wystarcza. Ale za to z powrotem z wyprawy objadają się do niemożliwości i wysypiają się. Z takich chwil korzystali zwykle Polacy, napadali na śpiących i obżartych, odbierali więźniów i sprawiali rzeź formalną pośród nich.

Jassy tatarski bywał bardzo ciężki z powodu nadzwyczajnego barbarzyństwa tego narodu; każdy przeto wolał raczej ginąć na miejscu, niż iść w niewolę. Młodych mężczyzn kastrowano zwykle, a w najlepszym razie obcinano uszy, wrywano nozdrza, znaczone na twarzy i czole, nakładano łańcuchy i kazano w dzień pracować przy różnych robotach, w nocy zaś zamykano do więzienia. Pożywieniem służyła padlina, pełna robaków, wstrętna nawet dla psów lub najnudniejszy pokarm. Położenie kobiet było lepsze jako niewolnic. Młode szły po prostu na zaspokojenie chuci tatarskich; piękniejsze z nich uczono tańczyć, grać na arfie i bawić gości na ucztach. Najpiękniejsze, które należały do najpoważniejszych rodzin w kraju, przeznaczano na dwór hański lub sultański. Zwykłych niewolników, okutych, dziesiątkami, idących gęsiego, prowadzono na targ i sprzedawano z licytacji. Ażeby dobrze sprzedać, szczególnie niewolnice, uciekano się do najrozmaitszych sposobów, a niekiedy wprost oszustwa. Przedewszystkiem dobrze karmią, potem nacierają twarz karminem i kosmetykami, stroją w jedwabie—i sprzedają.

Starców i małe dzieci, niezdatnych do pracy, oddają w posługę i dla zabawy tatarczętom, aby ich przyzwyczaić do zapachu krwi ludzkiej. Tak samo myśliwi dają kuropatwy na rozszarpanie i pożarcie młodym sokołom, nieużywanym jeszcze do polowania, ażeby ich tem łatwiej zachęcić do tego.¹⁾

Dzikość Tatarów w czasie napadów przechodzi wszelkie pojęcie kulturalnego człowieka: broniących się nie tylko zabijali, lecz odcinano im głowy, odrąbywano pojedyncze członki ciała i rozrzucono je. Drgające jeszcze serca wrzucano do ognia, wrywano płuca i wnętrzności, a żółć zbierano na smarowidła do swoich teleg. Zwierzęcość ich posuwała się do tego stopnia, że gwałcili dziewczęta i niewiasty w obecności mężów, ojców, matek. Na oczach rodziców sprawiano obrzezanie mahometańskie. A wszyst-

¹⁾ Michalon, Blaise de Vigènere, 22, 24, 84.

ko to przy akompaniamencie krzyków i pieśni zwycięzców.¹⁾ Naród ten—mówi pisarz współczesny—nigdy nie był w stanie przyswoić sobie jakąś cywilizację, pojęcie o uczciwości, zmiękczyć trochę obyczaje i przyjąć kulturalne formy życia.

Zapoznajmy się teraz ze sposobem i charakterem prowadzenia przez nich wojny.

Na wyprawę jadą prawie bez broni—powiada Michalon—zaledwie dziesiąty lub dwudziesty posiada szablę, łuk lub kołczan, rzadko który w pancerzu. Większość miewa tylko kije²⁾ lub goleń kobyła, niektórzy przypasują tylko pochwę od szabli. Pawęży, kopij lub innej broni nie posiadają wcale. W pochodzie nie zakładają obozów, nie wożą ze sobą żadnej broni i prowiantów; każdy ma tylko w torbie trochę przypalonego prosa lub rozkruszonego suchego sera. Ale natomiast każdy miewa przy pasie kilka rzemieni dla wiązania niewolników. Koni prowadzą ze sobą po kilka i przesiadają się na nie; dlatego przebiegają z ogromną szybkością wielkie przestrzenie i przestraszają dokoła mnogością koni i śladów.

Regularnej wojny nie prowadzą nigdy, ale w czasie walki o litość nie proszą: bronią się do ostatniego oddechu paznogciami i zębami, jeżeli broni nie mają. Wobec wroga nie stają nigdy twarzą w twarz, nie walczą w porządku wojskowym, lecz ciągle atakują i odступują lub uderzają gwałtownie na nieprzyjaciela, lecz równie gwałtownie pierzchają. Nie uciekają jednak daleko, ale starają się okrążyć i osaczyć nieprzyjaciela, tak jednak zręcznie, aby zawsze było wolne miejsce dla tych, którzy szarpią go z boku. W czasie tych manewrów zachowują wszakże zupełny porządek i na tem polega cała ich taktyka wojskowa. Jeżeli spostrzegą, że przewaga jest po ich stronie, wówczas ogromnym wysiłkiem, za pomocą bystrych ruchów przechylają zwycięstwo na swoją stronę, ale w takim razie zwyciężeni niech się zawczasu przygotowują na wszelką dzikość zwycięzców.

Szegółowo i bardzo ciekawie opisał wyprawy tatarskie do Polski Beauplan—zarówno zimowe, jak i letnie.

Jeżeli han sam we własnej osobie jedzie na wyprawę, wówczas zbiera się Tatarów do 80,000; jeżeli ma pójść tylko 40—50

¹⁾ Michalon; de Vigénère; Beauplan I, 25, 82; II, 336. Mimowoli nasuwają się zbliżenia z wojen kozackich i rzezi hajdamackich.

²⁾ Może stąd *kolijami* (jako uzbrojonych w koły opalone u dołu) nazywano w drugiej połowie XVIII w. hajdamaków.

tysięcy, to na czele staje jakiś znaczniejszy murza. Zwykle wyprawa rozpoczyna się na początku stycznia, ażeby jak najmniej było przeszkód po drodze. Wówczas już wszystkie rzeki, rzeczki i błota zamarzają. Płaszczyzny śniegiem pokryte o tyle ułatwiają wyprawę, że Tatarzy nie kują koni; na zamarzłej, grudziastej ziemi jazda niekutymi końmi psuje kopyta. Bogatsi zamiast żelaznych podków dają z rogów bydłych, przyszywając je rzemieńcami, ale podkowy takie nie są trwałe. Oto z takich powodów Tatarzy obawiają się małośnieżnej zimy lub gołoledzi. Idą powoli, po kilka mil dziennie, ostrożnie, przesuając się chyłkiem bałkami, jarani, ażeby znylić strażę polskie. Zatrzymując się na noclegi, niezapalają ogni i wysyłają przodem ochotników dla złowienia języka. Przy większych wyprawach Tatarzy idą ławą, której czoło wynosi 100 jeźdźców rzędem, a jeżeli zważymy, że każdy Tatarzyn prowadzi jeszcze dwa luzaki, to w kolumnie tatarskiej znajduje się 300 koni. W ten sposób czoło wynosi 800—1000 metr., a głębokość kolumny 800—1000 rzędów koni. Jeżeli Tatarzy postępują zwartym szeregiem, to zajmują 3—4 mil długości, gdy zaś luźniej trochę, to długość sięga niekiedy 10-ciu mil. Przy 80,000 jeźdźców znajduje się około 200,000 koni. Wspaniałość tego widowiska podziwiał Beauplan, a porównywał je do olbrzymiej chmury na horyzoncie, która, zwiększając się, ogromem swoim przeraża i odbiera odwagę najodważniejszym.

Zbliżając się do granic Polski, owa chmura tatarska zapadała na wypoczynek najczęściej w Czarnym lesie. Tu cała armia dzieliła się na trzy części; dwie trzecie tworzyło główny korpus, a trzecia część rozpadała się na dwa skrzydła: prawe i lewe. W takim porządku główny korpus (kosz) wkraczał w granice państwa, postępując naprzód bez przerwy dzień i noc równocześnie ze skrzydłami, dając tylko niewielkie wypoczynki koniom. I tak idą 60—80 mil w głąb kraju, dopiero potem główny kosz nawraca nazad, ale zaczynają działać skrzydła. Każde z nich ma 8 do 10 tysięcy ludzi i dzieli się na kilkanaście oddziałów po 500—600 ludzi. Ci dopiero rozbiegają się w różne strony, napadają na wsie, obstawiają je strażą, a po nocach zapalają wielkie ogniska, któreby utrudniały ucieczkę i—zaczyna się rabunek i wybieranie jassyru, bez różnicy wieku i płci. Zabijają tylko tych, którzy się bronią. Nic nie w stanie wymknąć się przed rabunkiem: bydło, konie, owce, kozy, wszystko zganiają w jeden tabun, tylko świnie spędzają w jedno miejsce, do jakiej szopy i zapalają ją. Po dokonaniu tego, wszystkie małe oddziały wracają ze zdobyczą do kosza, a natomiast wydziela się z niego nowe skrzydło, które po-

stępuje w taki sam sposób. Zrabowawszy okolicę, powraca do kosza, z którego wydziela się inne skrzydło.¹⁾ W ten sposób główna armia jest zawsze największą, najsilniejszą, cofa się popowoli, gotowa dać odpór wojskom polskim. Ażeby uniknąć odsieczki, Tatarzy tym samym śladem nie wracają, lecz robią rodzaj łuku, tworząc nowy ślad i bałamucąc pogoń. Nieprzyjaciela rzadko atakują, chyba, że dziesięćkrotnie przewyższają go siłą, gdyż celem ich nie bywa walka, lecz rozbój i rabunek. Kiedy już zajdą daleko w Dzikie pola i czują się bezpieczni od nieprzyjaciela, oddają się błogiemu odpoczynkowi i następuje podział jeńców i zdobyczy.

Letnie wyprawy nie bywają tak liczne. Bierze w nich udział 10—20 tysięcy ludzi. Nie dochodząc granicy, dzielą się na 10—12 oddziałów mniej więcej po tysiąc ludzi. Jedna połowa wojska idzie na prawo, druga—na lewo, tak, że każdy oddział postępuje w oddaleniu od siebie mniej więcej półtora milowem. W ten sposób czoło całego wojska zajmuje kilkanaście mil. Przodem, mniej więcej w odległości mili od czoła, postępuje oddział forpocztowy, starający się pojmać języka i kierujący poniekąd całą wyprawą. Pojedyncze oddziały w pochodzie swoim zakreślają łuki tak, ażeby w pewnym czasie w oznaczonym miejscu zejść się mogły. Przy tak zorganizowanej wyprawie strażę stepowe nigdy nie mogą wiedzieć dokładnie jak wielki jest cały korpus tatarski, gdyż mogą tylko natknąć się na jeden oddział.

Tatarzy postępują zawsze wododziąłem wód, przemykają się pomiędzy małemi rzeczkami bezpiecznie, rabując i niszcząc wszystko dokoła prawie zawsze bezkarnie i nie zapuszczając się dalej, jak 6—10 mil w głąb kraju, wracają nazad. Takie niewielkie wyprawy robią zwykle Tatarzy Budzaccy, mieszkający między ujściem Dniestru i Dunaju. Nie są oni liczni (ok. 20,000), lecz zuchwalsi i odważniejsi od Krymców i koczują w oddaleniu kilkunastu mil od siebie niewielkimi oddziałami, czyhając na zdobycz. Wobec ciągłego niebezpieczeństwa w stepach od Tatarów, partye polskie, które zmuszone są przechodzić je, idą zawsze taborem, t. j. w otoczeniu wozów. Beauplan powiada, że wozy ustawiano we dwa rzędy po 8—10 w każdym na froncie i tyleż z tyłu. Środek zajmuje wojsko, uzbrojone w strzelby, krótkie spisy i kosy nałożone na drzewce; konni otaczają tabor ze wszystkich stron. Czołem i na tyłach taboru postępuje straż, w oddaleniu

¹⁾ Wyprawy watażków kozackich często w taki sam sposób odbywały się.

od taboru ćwierć mili, która daje znać w razie zjawienia się Tatarów. Wówczas tabor zatrzymuje się i czeka na odparcie ataku. W okresie późniejszych polsko-ruskich walk tabory bywały mocniejsze o tyle, że zamykano je z czterech stron, a dla większego wzmocnienia spinano łańcuchami. Taki tabor był pewnego rodzaju twierdzą, którą trzeba było zdobywać szturmem, a wówczas wszelkie usiłowania dążyły do rozerwania taboru lub spalenia wozów.

Mniejsze zbójckie wyprawy Tatarów dają wszelkimi sposobami do tego, ażeby ślad za sobą zatrzeć i pogoń zmylić. Mały oddział złożony np. z 400 jeźdźców dzieli się na cztery po 100 i rozjeżdżają się na północ, południe, wschód i zachód. Ubiegłszy półtorej mili dzieli się na trzy części mniej więcej po 33, oddalają się znowu o milę i znowu dzieli się na trzy części po 11. Każdy taki oddział gospodaruje po swojemu, a po pewnym czasie zjeżdżają się w umówionem miejscu, co nie przedstawia żadnej trudności, gdyż każdy z nich zna stepy doskonale. Wyszukanie zaś takiego oddziału dla straży polskiej przedstawia ogromne trudności. Ponieważ jeźdźców mało, trawa rychło podnosi się i ślad się zaciera. Zapadłszy w ustronnej bałce lub bajraku, wypoczywają kilka dni, a później bezpieczni całym oddziałem udają się na rabunek.

Tatarzy atakują nieprzyjaciela zawsze z boku, zawsze od lewego skrzydła, ażeby im było dogodniej łuk naciągnąć i nigdy przeciw słońcu.¹⁾ To, coby można nazwać rycerskością, nieznane im zupełnie. Największą mądrością u nich bywa podejście nieprzyjaciela, oszukanie go, wprowadzenie w zasadzkę, w pułapkę. Jakkolwiek, zaatakowani, bronią się zawzięcie, ucieczki nie poczytują wcale za ujmę żołnierskiego honoru, o którym mają odmienne od nas pojęcia. Napadają znienacka i pierzchają bez sromu. Sławą ich jest obfity rabunek i liczny jassyr.

Jedyną przeszkodą naturalną, jaką napotykają na swojej drodze Tatarzy krymscy, jest Dniepr. Ale ponieważ przeprawa ich odbywa się najczęściej prawie przy ujściu, na Tawani, zbyt daleko od granic Polski, zatem nie napotykają na przeszkody. Niebezpieczniejszy bywa powrót, bo ciągną powoli, obciążeni łupem i jeńcami.

Zdążając do przeprawy, każdy z nich stara się po drodze zaopatrzyć się w dobry pęk trzciny wodnej i robi z tego duże wiązki około 3 stóp długości i 10—15 cali grubości. Obie te

¹⁾ Memuary (Beauplan) II, 340.

wiązki łączy ze sobą poprzecznymi cienkimi drążkami i przymocowuje je do wiązek w oddaleniu mniej więcej stopy. Na przekątni tego czworoboku umocowuje dłuższy nieco i mocniejszy drążek, którego jeden koniec przywiązuje do ogona końskiego. Na tym swego rodzaju promie kładzie siodło, odzież, łuk, strzały, szablę i związuje to wszystko razem. Potem nago, z nahajką tylko w rękę, wchodzi do wody wraz z koniem, zarzuciwszy mu na szyję trzęźlę i trzymając się mocno za grzywę konia lewą ręką, prawą płynie, dopomagając niejako koniowi i ciągle go podędzając nahajką. Gdy koń dopłynie do brzegu i na ziemi stanie, a woda dosięga w pół pasa jeźdźca, puszcza grzywę, odwiązuje siodło, ubiera się i w krótkim czasie gotów jest do dalszej jazdy.

Z chwilą, kiedy Turcy opanowali pobrzeże morza Czarnego, niebezpieczeństwo zwiększyło się o tyle, że ordy Budżacka a nawet Dobrucka z większą zuchwałością poczęły wdzierać się w granice Rzplitej, znajdując obronę, a nieraz i poparcie potężnego państwa. Z czasem wytworzył się odrębny proceder rabowniczy, rodzaj spółek prywatnych, których zysk opierał się na rabunku w Polsce. Tajemnice tych spółek, opartych na rabunku i sprzedaży jeńców polskich, wykrył dopiero Bernard Pretfcicz, ślżak, będący, jako starosta barski, nielitościwym prześladowcą i niszczycielem rabowników tatarskich, którzy nieraz po 20 razy do roku wkraczali na Podole. Tureccy przedsiębiorcy z Oczakowa i Białogrodu Tatarom, nie posiadającym własnych koni, wypożyczali konie „z połowice zdobyczy,“ a „tak im to smakowało bardzo, abo stąd bogacili (się), bo co Tatarzyn dostał na koniach tureckich, to połowicę dać musiał, a drugą połowicę płacił mu Turczyn jako chciał, a konie swe wziął. A tak stantąd bogacili i Cesarza: od takowych ludzi, branych w ziemi W. K. Mości—pisał Pretfcicz—szło myto 600 aspr(ów), albo kto przeda, ten daje asprów 300, a kto kupi też 300, a tak każdego roku szło z myta Cesarzowi w Oczakowie i Białogrodzie kilkaset tysięcy asprów.“¹⁾

Oskarżano tedy Pretfcicza, że szkody Turkom wyrządza. Pretfcicz wyjaśniał znaczenie tych szkód i ich genezę. „(Teraz) Tatarowie którzykolwiek wynidą w ziemię W. K. Mości—wyjaśniał—rzadkobcy którzy ujęć mieli cało niebici, a niegromieni, przez co Turcy szkody mają i ubożeją, a to iż im konie przepadają wespół i z Tatary, których im dają z połowice, a tak troje szko-

¹⁾ Bernard Pretfcicz i jego apologia na Sejmie 1550. „Bibl. Warsz.“ 1866, t. III, str. 49.

dy w tem niewają: naprzód w koniach, potem w owej połowicy, coby brać mieli od swych koni od Tatar, trzecia z owej połowicy, którą u Tatarzyna kupił według woli swej, z którejby zasię miał zysk nie mały. A toż oni stąd ubożeją i szkody mają, i te wszystkie szkody popisali na regestr (z) owcami, a woły, a te konie co im giną pod Tatarami, które dawają wojować ziemię W. K. Mości.“¹⁾

*

*

*

Ponieważ Tatarzy wpadali w głąb Rzeczypospolitej zawsze wododziałami wielkich rzek i ich dopływów, wytworzyły się z czasem stałe drogi, które nazywano szlakami tatarskimi. Słowo tedy o tych drogach powiemy.

Do szlaków tatarskich nie da się zastosować pojęcie dróg, jako stałych linii komunikacyjnych. Były to raczej główne linie przechodów tatarskich z licznymi rozgałęzieniami bocznymi.²⁾ Szlaki te szły przez stepy trawiaste, a na tych miejscach powstawać poczęły w końcu XVIII i na początku XIX w., przy mniej lub więcej prawidłowej kolonizacji stepów, prawdziwe i stałe arterye komunikacyjne.

Przez ziemie i kraje, objęte swawolą kozacką, wiodły szlaki od granicy moskiewskiej, od Donu poczynając: *Murawski* na lewym brzegu Dniepru, *Czarny* i *Kucmeński* na prawym, a *Wołoski* na prawym brzegu Dniestru.

Murawski szlak dotykał tylko granic Ukrainy kozackiej, a służył głównie dla najazdów na Moskwę. Wychodził on z za Przekopu, jak i inne, z wyjątkiem Wołoskiego i prowadził wo-

¹⁾ Pretficz, 51.

²⁾ Dla oznaczenia szlaków tatarskich służy przedewszystkiem mapy Beauplan'a (wojew. Kijowskie, Braclawskie, Podolskie), który bardzo dokładnie, bo zawsze prawie na miejscu, oznaczył główne linie dróg tatarskich; następnie: Jabłonowski: *Polska XVI w.*, t. XVII, 49, 52; E. Rulikowski: *Dawne drogi i szlaki na prawym brzegu Dniepru* („Ateneum,” styczeń, 1878); A. Russow: *Russkija trakty w kance XVII i naczale XVIII w.* Kijów, 1876. Kilka rysów ciekawych, dotyczących dróg kupieckich, karawanowych i okolic, przez które te drogi przechodzą, zawiera broszura Russowa.

dozłazem Dniepru i Donu, wierzchowiskami Orel, Kołomachu, Merła do Tuły i Moskwy. Lewobrzeżna Ukraina, dzięki swemu położeniu topograficzno-hydrograficznemu, bardzo mało bywała narażoną na tatarskie najazdy. Ażeby tą stroną dosięgnąć do Kijowa, trzeba było przejść Orelę, Worskłę, Psioł, Sułę, Rżawicę, Trubież. Baty szedł ze wschodu wierzchowiskami tych rzek, linią wododziałową między Dnieprem a Desną. Od Przekopu droga w głąb lewobrzeżnej Ukrainy była prawie zupełnie zanknięta.

Czarny szlak prowadził w głąb Rzplitej, dzisiejszego Polesia, Wołynia, północnej części Podola i Rusi Czerwonej. Turcy i Tatarzy nazywali go także Czarnym.¹⁾ Wychodził on z Przekopu stepem do Tawańskiej przeprawy, stąd wzdłuż Ingulca do jego źródłowisk, gdzie rozpoczynały się wielkie kompleksy leśne. Przy pierwszym z nich, zwanym *Czarny las*, między wierzchowinami obu Ingułów i Taśminy, skupiała się cała wyprawa tatarska dla wypoczynku, a po kilku dniach wyruszała dalej. Znany był Czarny las naszemu Bielskiemu, który powiada, że się tu zwykli „Tatarowie taić, aż się wszyscy przeprawią przez Siną wodę, t. j. jezioro bardzo spokojne blisko tamtego miejsca, gdzie Dniepr wpada w morze.“²⁾

¹⁾ Historyk turecki, opisując wyprawę Hana w r. 1653, mówi, że „udał się drogą *Diorna-islach* (Czarnym szlakiem zwaną), która, prowadząc przez kraj, gęsto wioskami usiany, ciągnie się w pośrodku rzek, z jednej strony wpadających do *Tuły* (Dniestru) a z drugiej do *Ak-sâ* (Bohu).“ I. I. S. Sękowski: *Collectanea z dziejów tureckich* etc. Warszawa, 1824. T. I, 215. Skądby pochodziła nazwa? Czy od Czarnego lasu, czy od czarnej ziemi, stratowanej kopytami koni tatarskich, czy wreszcie była to nazwa symboliczna, oznaczająca nieszczęście tą drogą na kraj i ludzi spływające,—trudno orzec na pewno. Może wszystkie przyczyny razem złożyły się na tą nazwę.

²⁾ *Kronika*, III, str. 1360. Pozornie w tekście Bielskiego jest pewna niejasność z powodu nazwy *Sina woda*. Oczywiście nie może to być dzisiejsza *Siniucha*, która wcale jeziora nie tworzy i leży za Czarnym lasem. Zatem inna. Oprócz *Sniwody* (do Bohu), którą Hruszewskij zidentyfikował z *Siną wodą*, a nad którą odbyła się bitwa z Tatarami w 1367 r. (*Istoria Ukrainy—Rusi*, t. IV. Kijów—Lwów, 1907, str. 82), innej nie znamy. Nazwa *Sina woda* jest prawdopodobnie przekładem z języka tatarskiego na wzór *Owczę wody*, *Mieczne wody*, *Końskie wody*. Tam przeto należałoby szukać źródłosłowa. Czy istniała tylko jedna Sina woda, napewno nie wiemy. Z tekstu Bielskiego widać, że mogła być inna jeszcze, przez którą Tatarzy przechodzili. Ponieważ przeprawa trwać musiała czas dłuższy, ci, którzy przeprawili się rychlej, oczekiwali na resztę, aż się przeprawią przez *Siną wodę* (ową inną), nieznany nam dziś bród za Dnieprem, może jakaś odnoga. Przypuszczenie to nabiera pewnego praw-

Zebrawszy się tedy do kupy i wypocząwszy, z Czarnego lasu wyruszali na dalsze wędrówki. Z tego punktu dzielił się szlak na trzy rozgałęzienia: jedno szło na północo-wschód, drugie i trzecie na północo-zachód, z których trzecie, zwane *Kuczmańskim* albo *Kuczmeńskim* szlakiem, bardziej odchyłało się na zachód. W takim też porządku rozpatrzmy te główne kierunki tych rozgałęzień.

Szlak północo-wschodni, przesunąwszy się koło lasu Nerubaju i Łebedyna, okrążał Romiszyn i Werbicz. Dwoma ramionami, między zameczkiem Olszańką a Kiryłowym lasem, wchodził na wododział Rosi i Gniłego Tykicza, a doszedłszy do Nastaszki, nawracał na zachód i dalej grzędą wododziałową koło Stawiszcz przez Juzków róg i Cecylię—brody—między Babinem, Oratowem a Bałabanówką łączył się z odnogą północo-wschodnią. Niedoszedłszy wszakże do tego węzła, za Stawiszczami odchyłała się jeszcze jedna odnoga, która przekroczywszy bród na Torczycy i Rosi za Wołodarką przez Rastawicę i Kamienicę wiodła wprost do Kijowa.

Szlak północo-zachodni odchyłał się przy Czarnym lesie i podążał na Targowicę (nad Siniuchą), skąd po pod Humań, między Humaniem a lasem Perewolą wkraczał na wododział Bohu i Dniepru, szedł grzędą wododziałową, w okolicy Babina łączył się z odnogą wschodnią, a stąd podążał wprost do Ostroga, w głąb Wołynia.

Od Czarnego lasu odchyłała się jeszcze jedna gałąź, która nosiła nazwę *Szlak Kuczmański*, podobno od uroczyska *Kuczmań*¹⁾ albo *Koczman*, albo lasu (jak Czarny), gdzie mogli skupiać się Tatarzy. Szedł on grzędą wododziałową między Bohem a Dniestrem, otaczając lasy Korobicz, Tarnowski, Tołpaczów i Kunicki, po pod Komargród, Bar, Czarny Ostrów prowadził do Lwowa.

Wołoski szlak wiodł na Ruś Czerwoną.

Oznaczywszy główne kierunki dróg tatarskich, zauważyć musimy, że miały one mnóstwo drobnych rozgałęzień, któremi wędrowały na rabunki i rozboje pomniejszych watahy i zagony.

*

*

*

dopodobieństwa wobec tego, że Bielski miał informacye od „stryjca“ swego Oryszowskiego, który znał dobrze Dzikie pola.

1) W końcu XVI w. (1598) była już wieś; jeszcze w r. 1618 w tej okolicy był las zwany *Kuczmańskim* (*Źródła dziejowe*, XXI, str. 304, 407). W r. 1529 istniała strażnica stepowa *Koczman* nad Morachwą (*Źródła dziej.*, XX, 144).

Dziki, koczowniczy sposób życia Tatarów, ciągły stosunek ich z ludnością miejscową, zarówno przymusowy przez żenienie się z brankami, jak i codzienny, że tak powiem, wynikający z potrzeby ciągłego stykania się i współżycia, nie mógł nietylko nie pozostawić głębokich śladów tych stosunków w zwyczajach, obyczajach, nieraz formach zewnętrznych życia, lecz musiał wpływać na psychikę, na charakter swoich najbliższych sąsiadów. Oczywiście nie można twierdzić, ażeby wpływ w tym kierunku nie był obustronny, ale nas interesuje w tym momencie nie to wcale, jak się ten wpływ wyrażał i objawiał na Tatarach, w jakiej formie i w jakim kierunku. Chodzi tylko o ludność ruską, stykającą się z Tatarami. Teza ta mogłaby być przedmiotem osobnego studjum, rozpatrującego wszechstronnie wpływ tureckich pierwiastków etnicznych i kulturalnych na pograniczną ludność, zarówno w Rosyi, jak i w dawnej Rzplitej Polskiej. Rosya w znacznej mierze zdołała asymilować Tatarów, dzięki centralistycznej polityce i idei despotycznego centralizmu, który, acz blizki duchowo kulturze tatarskiej, ale wyższy od niej siłą jedności dynastycznej. Polska, państwo, posiadające konstytucjonalizm, graniczący ze strony władzy państwowej z bezsilnem niedołęstwem, ze strony obywateli państwa często ze swawolą i samowolą, nie posiadała dość mocy i jedności, ażeby odeprzeć wpływy Tatarów, bardzo ujemne i niepożądane na ludność miejscową, stykającą się z nimi. Od Tatarów ludność ta uczyła się nieposzanowania cudzej pracy i mienia, cudzego spokoju i życia. Mając ciągle przed oczyma próżniacze życie tatarskie, niechętnie sama miała się pracy i dlatego nieraz, że ta praca szła na marne pod żagwią albo pod szablą tatarską. Zmuszona koniecznością, jeżeli nie mogła w zupełności oddać się życiu koczowniczemu, to albo chętnie oddawała się łowiectwu i myśliwstwu, albo zajmowała jakieś pośrednie stanowisko między osiadłością rolniczą a życiem na poły koczowniczem i myśliwskim. Im bliżej ku strefie tatarskiej, tem rysy te występowały silniej i wybitniej. Przywiązanie do miejsca, do rolnictwa bywało bardzo luźne, nawet wtedy, gdy ludność mogła sadzić się pod obroną zamków bezpiecznie. Objawiała się u niej ruchliwość prawie pół nomadów. Siedziała na miejscu dopóty, dopóki albo nie miała żadnych obowiązków, albo jakieś niestychanie małe. Z chwilą, kiedy zjawiały się obowiązki, zjawiało się niezadowolenie z nich, a pojęcie krzywdy nie wynikało prawie nigdy z idei sprawiedliwości, lecz zawsze prawie z niechęci spełnienia obowiązku państwowego — bez względu na jego formę, charakter i stosunek do innej warstwy klasy społecznej. Mając przed sobą zawsze

ideał pierwotnej wolności i niezależności od praw, instytucyj i obowiązków publicznych, jakim się niewątpliwie odznaczało życie koczownicze i myśliwskie, wszelkie wkraczanie prawa w granice tych ideałów uważano za krzywdę. Stąd jeszcze w połowie XVII wieku widzimy nadzwyczajną ruchliwość tej ludności, która widząc wszędzie tam krzywdę swoją, gdzie tylko wkracza prawo i obowiązek, uważa prawo i obowiązek za ciężar, zrywa się z miejsca i szuka albo lepszej, według swego mniemania, osiadłości, albo idzie w stepy, w Dzikie pola, dzielić wolność tatarską i płynące z niej niebezpieczeństwa.

Zetknięcie się z Tatarami prowadziło do walki albo do przyjaźni. Walczyli ze sobą o pożywienie, o woły, o owce, o konie, o miejsce dla pastwisk i rybołówstwa, godzili się, gdy nadarzała się sposobność obrabowania trzeciego. Dzieliła ich nie religia w jej etycznym pojęciu, lecz formy religijne zewnętrzne, a zbliżała kultura umysłowa, moralna, a jeszcze częściej społeczna. Tatarzy z konieczności stykając się z ludnością miejscową, może pod wpływem kobiet, łagodzili nieco swoje obyczaje i życie, a ludność ruska natomiast, pograniczna, brała od nich wszystkie cechy dzikiego, rozbójniczego, włóczęgowskiego życia. Klonowicz nasz powiedział o Tatarzynie, że jest to „złodziej, pędziskot i nocny rozbójnik“, „skotokrajca“ (Worek Judaszów, 89). Nie mógł być przeto dobrym przykładem do naśladowania.

Jak dalece zwyczaje tatarskie wnikały w życie ludności kresowej, zmuszonej stykać się z nimi codziennie, dość przypomnieć, że Ostap Daszkowic, starosta czerkaski, kiedy przed Sejmem zdawał sprawę o zamku, usiadł, podgiąwszy nogi, po tatarsku.

Pierwiastek tiurkowski, a nieraz wprost język tatarski na pograniczu Dzikich pól, skutkiem długoletniego sąsiedztwa Połowców, Pieczyngów, Komanów, Tatarów, wycisnął wszędzie ślady swego wpływu i to tak wielkie i tak niezatarte, że pozostały dotychczas mało co, a często wcale niezmienione, aż do naszych czasów. Czytelnik spostrzeże to niewątpliwie już bodaj przy szkicowym zarzysie hydrografii i topografii Ukrainy kozackiej, który jest niczem innym, jak tylko kanwą, tłem do rozwoju na niem życia późniejszej Kozaczyzny. Mnóstwo tatarskich wyrazów weszło do życia codziennego ludności miejscowej,—już to samo byłoby wskazówką nader silną, jak przez wzajemne stykanie się pierwiastek tiurkowski wnikał do krwi słowiańskiej, ażeby nieraz wytworzyć nowy charakter, usposobienie, prawie, powiedziałbym, nowy typ etniczny, nader złożony i ciekawy, na podstawie złaania się dwóch pierwiastków etnicznych, dwóch ras, dwóch od-

rębnych kultur. Jest to zjawisko nietylko historycznie, lecz kulturalnie zupełnie usprawiedliwione, znane i powtarzające się w dziejach ludzkości.¹⁾ Przytaczając wyrazy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pochodzenia tiurckiego, które rozpowszechniły się na Niżu, skąd przeszły do języka ruskiego lub nawet polskiego, chcieliśmy tylko poprzeć twierdzenie, które dla nikogo, stykającego się z dziejami Kozaczyzny, tajemnicą nie było.

Charakter Kozaczyzny wyrabiał się nietylko pod wpływem Tatarów. Ludność miejscowa, od między południowo-zachodniej stykała się z Wołoszczyzną. Wprawdzie jednych od drugich Dniestr dzielił, ale ludność wołoska, mieszana pod względem pochodzenia, której nie brak było i pierwiastków słowiańskich, uprawiała często rozbójnicze najazdy, naprzód na Ruś Czerwoną przez Pokucie, a później na Podole. Te wycieczki rabownicze zmuszały ludność miejscową do odwetu. Nie mogąc się osiedlać spokojnie, wydzielala ze swego łona ustawicznie żywioty bardziej awanturnicze, szukające łatwego chleba w rabunku cudzego mienia. Nastając na cudze życie, trzeba było i swoje ważyć,—stąd wytwarzał się typ oczajduszów, którzy bez względu na interes i spokój pań-

¹⁾ Dla przykładu przytaczamy garść wyrazów, z których większość jest niewątpliwie tureckiego lub tatarskiego pochodzenia, pozostawiając specjalistom bliższe oznaczenie pnia macierzystego:

chodza = pan; stąd cho(d)ziain = gospodarz; chłyza = dom, mieszkanie, może stąd chiżyna = chata;

kureń = dom, chata w ziemi wykopana, budynek byle jak sklecony tymczasowo;

kurhan = nasypisko na stepie, mogiła;

nahaj = znane narzędzie porządku i spokoju;

majdan = punkt zborny, miejsce zboru, plac; majdany saletrzane = miejsce, gdzie wyrabiano saletrę;

ezura = chłopiec do usług. Wyraz bardzo często używany w dumach kozackich połowy XVII w.;

kosz = obóz; stąd może koczować = obozować;

pałanka = pewne terytorium; pierwotnie oznaczało może namiot, pałanquin?

czaban = pastuch owiec;

otara = stado owiec;

lajdaj = parobek do pędzenia wołów na stepie;

czunak = przedsiębiorca, zarobkujący wołami i wozem; woził na sprzedaż sól, rybę, później zboże do Odesy;

wataha = kupa, gromada. Odnosiło się to zarówno do ludzi uzbrojonych, jak czumaków i t. p.;

stwowy, robili na mniejszą skalę zupełnie to samo, co na wielką robili Tatarzy. Wytworzyła się taka sytuacja, że właściwie na południowych granicach Rzplitej była zawsze wojna i tkwił zawsze powód do wojny.

Można śmiało powiedzieć, że Tatarowie i Wołosza przygotowali powoli grunt pod późniejszą Kozaczyznę, której udzielali swego charakteru, temperamentu, a nieraz i przyniotów etycznych. Na kresach była zatem praktyczna szkoła dla wszelkiego hultajstwa; tu dla rabunków gromadzili się najrozmaitsi hołysze, „gołut'ba,” materyał rozproszony, ale powiększający się z czasem, i jakby sposobiący się do wystąpienia szerszego, zuchwalszego, do złączenia się w jakąś korporację, na poły zbójcką, na poły wojenną.

Nie trzeba było na to długo czekać.

Od przyjaźni między Wołoszą a Polską doszło rychło do pogranicznych zatargów i rabunków. Im południe polskie stawało się ludniejsze, bogatsze, tem najazdy rabunkowe bywały częstsze: więcej pożytku przynosiły.

Wołoszczyzna wraz z pogranicznymi z nią Multanami, szczególnie część nachylona ku morzu Czarnemu i ujściu Dunaju, acz-

hajdamaka = włóczęga stepowy, zbój, rabownik;

burlaka = samotny włóczęga stepowy; w przenośni—człowiek samotny, pozbawiony rodziny;

chutor = niewielki obszar ziemi (obecnie), w której mieści się sadyba właściciela. Po arabsku *kuṭr* = okolica, obszar, obręb gruntu, roli. (Antoni Kruman: *O mosliminach tatarskich*. Warszawa, 1896. Z papierów Macieja Tuhana Baranowskiego). Wymawia się także *futor*. Stąd może Wereszczyński, biskup kijowski, zrobił *futer*;

tabun = pewna ilość koni;

szalas = lekka, byle jaka budowla od niepogody dla owiec stepowych i bydła;

jołom = długie denko przy czapie kozackiej. Tatarzy nosili czapki o spiczastem, wysokim zakończeniu; kozacy ten szpic przechylali na bok;

sandżak = porządek, chorągiew;

tałan = szczęście;

ataman, asawuła = naczelnik;

bazar = miejsce sprzedaży różnych towarów;

lulka = niewielka fajeczka;

kapciuch = woreczek na tytoń;

czubuk = długa, z niewielkim otworem wewnątrz, laska, na końcu której nakładano fajkę.

kolwiek w północnej swej części górzysta, w południowej miała wiele bardzo podobieństwa topograficznego z ziemią Nadolną: przedstawiała duże przestrzenie, puste, stepowe, niekiedy jeziorzyste i błotniste i tak samo stykała się bezpośrednio z Turkami i Tatarami. Tworzyła ona rodzaj księstwa napół niezależnego, niby hołdowniczego Polsce, a potem Turcyi, w gruncie rzeczy zwierzchnicy nad nią, zwani wojewodami, prowadzili najczęściej politykę osobistą, na własną rękę, występując wrogo zarówno przeciw Polsce, jak i Turcyi. Oba powyższe państwa starały się wciągnąć ją w obręb swojej polityki. Kraj zamieszkały był przez ludność niespokojną, awanturniczą, rozbójniczą, będącą w stadium przejściowem między życiem koczowniczem, na pół osiadłem, a prawidłowem życiem państwowem. O tron hospodarski ubiegali się awanturnicy przeróżnych narodowości i stąd wywoływali zamęt nietylko we własnym kraju, ale i w sąsiednich województwach polskich, skąd rozmaici hospodarzykowie ściągali dla swoich celów luźną ludność, żyjącą ze swawoli i rozbojów i szli z nią na zdobywanie tronów hospodarskich.

Nowo organizujące się kozactwo miało także swoje drogi, swoje szlaki, do pewnego stopnia stałe, którymi podążało na rabownicze wyprawy: jeden szlak prowadził na Wołoszczyznę częścią przez Podole, częścią przez województwo Braclawskie. Ten był dawniejszy, starszy. Drugi prowadził Dnieprem, czajkami aż do ujścia, a stamtąd albo wzdłuż pobrzeży północnych morza Czarnego prawie do Carogrodu, albo na bogate anatolijskie pobraże. Pierwszy możnaby nazwać *szlakiem lądowym*, drugi — *wodnym*.

Wołosi wczesnie zaczęli zaglądać na Podole. Wiemy, że o posiadanie Podola — nie w znaczeniu dzisiejszem — szła długa i uporczywa walka nietylko między Olgierdowiczami, lecz także między Litwą a Polską. Witold zdobył, na krótko wprawdzie, na Fedorze Koryatowicu (1393), który, nie chcąc ustąpić łatwo, zaprosił do pomocy Wołochów. Było to tylko pokazaniem drogi. Odtąd rozpoczynają się bliższe stosunki. Pomijamy te, które dotyczą zachodniego Podola, leżącego bliżej Pokucia i Wołoszczyzny. Gdy Świdrygiełło na krótko opanował Podole, ażeby je w końcu ustąpić Polsce, mianował namiestnikiem swoim Fed'ka Nieświzkiego (1431), człowieka niespokojnego i wichrowatego. Z celów zapewne osobistych Fed'ko nie chciał ustąpić. Przywołał na pomoc Tatarów i Wołochów i rozpoczął podjazdową wojnę z Polakami. W obawie oblężenia w Braclawiu, spalił zameczek i opuścił go. Napadłszy na Polaków pod Kopestrzynem nad Mo-

rachwą (w końcu listopada 1432), został pobity, a Wołosi, Tatarzy i zbieranina Fedkowa stracili tam dwadzieścia chorągwi. Mimo to utrzymał się przy Podolu, prowadząc dalej przy pomocy Wołochów i Tatarów rabunkową wojnę — bezcelową i bezskuteczną. Ale już w r. 1433 Wołochy cofnęli mu swą pomoc. Ilia, wojewoda mołdawski, złożył w tym roku homagialną przysięgę Polsce.¹⁾ W rok później (1434) Fed'ko oddał Kamieniec Polsce.

Nie uspokoiło to bynajmniej Podola i Braclawszczyzny. Niepokojny Świdrygiełło miotał się na wszystkie strony, walcząc to z Polakami, to z Zygmuntem Kiejstutowicem, który na czas niedługi został W. Ks. Litewskim (1432—1440). Po Zygmuncie objął tytuł W. Ks. Kazimierz Jagiellończyk, chociaż z prawa należał się synowi Zygmunta Michajłowi, zwanym przez latopisców ruskich Mchajłuszko. Michajło nie śmiał oponować i złożył przysięgę Kazimierzowi, ale nie przeszkodziło mu to wicherzyć bezowocnie. Stosunki układały się tak, że W. Ks. Litewskie w granicach Olgierdowych i Witołdowych istnieć nie mogło. Olgierdowice okazali dużo wojowniczości, energii i wytrwałości, o ile walczyć wypadało ze słabszym kulturalnie nieprzyjacielem. Z Polską przegrywali sprawę w polityce i na wojnie. Wzajemne waśnie niszczyły siłę dynastyczną, nie mającą oparcia w rozumnej a politycznej radzie przybocznej. Unia Litwy z Polską stawała się nie połączeniem dwóch państw, ale raczej zwycięstwem Polski nad Litwą. Olgierdowice stracili Włodzimierz, Łuck, Kamieniec.

Wnet po koronacji Kazimierza Jagiellończyka (1447) rozpoczęły się nowe wichry od ściany wołoskiej. Na Multanach wojewoda Wład III Drakufa zginął w walce ze współzawodnikiem do tronu hospodarskiego (1447); na Wołoszczyźnie Roman II Ilia-szowicz zamordował stryja, Stefana II (1446), lecz obawiając się zemsty syna jego, Piotra II, uciekł do Polski (1447), gdzie od trucizny zginął. Wprawdzie Piotr II złożył przysięgę wierności Kazimierzowi, ale była to słynna wierność wołoska. Prawie równocześnie przyjął do siebie krewnego po babce, ale malkontenta w Polsce, syna Zygmunta Kiejstutowica Michała. Miał on pretensje do Polski po żonie Ofce, wnuczce księcia mazowieckiego Bolesława, któremu Zygmunt dał jakoby na dzierżenie ziemię

¹⁾ Litterae quibus continetur homagium Vladislao, regi, filiis ejus et Regno Poloniae, ab Elia palatino Moldaviae praestitum. Die 3 Junii, anno 1433. (Dogiel: Codex diplom. t. 1, fol. 601, u Jabłonowskiego: *Źródła dziejowe*. T. X. Sprawy wołoskie. Warszawa, 1878, str. 7).

Drohiczynską, ażeby po nim wróciła do syna. Michajło upomniął się o nią wnet po koronacyi. „Padł przed nogami królewskimi, prosząc, aby mu król wrócił ojczyznę. Nic nie uprosił wszakże, ale iżby go pocieszył, obiecał go (król) wsadzić na województwo wołoskie, bo się wtenczas bracia o nie zgodzić nie mogli.“ Tak mówił Bielski. Być przeto może, że Piotr nie wiedział nawet o zamiarach króla, kiedy Michajłuszka w gościnę przyjmował. Niedługo tam wszakże popasał. Nie mógł zrozumieć, że wzmacniająca się idea jedności państwowej Polski już zaczęła wchłaniać i przerabiać na jednolity organizm drobne, napoty udzielne księstwka. Niedaremnie się przeto obawiano, aby się „Litwa w Polskę nie obróciła“—jak się wyraził obrazowo Bielski. Stać się to musiało samą siłą rzeczy: dążyła do tego potęga państwowa i interes chwały dynastycznej. Michajłuszko nie pogodził się z tem położeniem i stał się wichrem, niespokojnym duchem, szkodliwym sobie i krajowi, wprowadzając doń walki i szamotania się wewnętrzne. Pod groźbą Kazimierza opuścił Michał Wołoszczyznę, włóczył się po Ślązku, udawał się o pomoc do Hunyada, aż w końcu znalazł się wśród Tatarów. Poszedł z nimi wspólnie na Ruś, opanował Starodub i Nowogródek (Siewierski), lecz i stąd zmuszony był uciec. Nie doczekawszy się księstwa, awanturniczy żywot wkrótce zakończył (1451).

Ale wróćmy do Wołoszczyzny. Była ona teatrem ciągłych intryg i walk wzajemnych różnych pretendentów do tronu hospodarskiego, a wszystkie te właśnie opierały się o Polskę. Prawowitych gospodarów zrzucali z tronu „bękarci“—jak się wyraża bez ogródek Bielski. Truli się i mordowali się wzajemnie, a obie strony uciekały się do Polski o pomoc, wywołując bezustanne niepokoje graniczne, tak że nareszcie stanęła bardzo ważna kwestya polityczna: „co robić z tą ziemią niespokojną?“ Jedni radzili przyłączyć ją do Królestwa Polskiego, inni—zadowolić się tylko prawem lennem, ażeby Wołoszczyzna była ścianą, za którą by bezpiecznie od Turków siedzieć można było. Wiemy, jak stosunek lenny zakończył się z Prusami. Taką samą drogą poszła Wołoszczyzna o wiele wcześniej. Do opanowania jej nie miała Polska dość stanowczości, a Kazimierz zbyt kochał—pokój. Trwały zatem wichry wołoskie dalej. Wystawiony na handel i na intrygi tron hospodarski, stał się wkrótce punktem przyciągającym dla wszelkich awanturników, tym szlakiem, którym ciągnęły uzbrojone kupy różnych swawolników, jedni dla zdobycia tronu, drudzy—dla rozbojów i rabunku. Między Wołoszczyzną a Podolem z Bracławiem trwała ciągle prawie rabownicza wojna, podniecająca

i kształcąca ludność w kierunku swawoli, niszcząca kraj, przeskadzająca normalnemu osadnictwu. Jeżeli Stefan (IV) skarżył się, że mu Kamieńczanie pobrali „parobków Kafińskich“¹⁾ (około 1480), to Aleksander skarżył się Stefanowi, że „w ojcowiznie Jego Miłości, w ziemiach granicznych, poddanym Jego Miłości wielkie krzywdy i uciski dzieją się od Twojej Miłości“ (1492)²⁾. W niespełna cztery lata potem Stefan IV pozwolił sobie na lepszą wycieczkę: jakaś wielka kupa wołoska wpadła w Braclawszczyznę, zamek i miasto Braclaw spalono, ludzi z żonami, dziećmi, ze wszystkimi statkami zapędzono na Wołoszczyznę³⁾ (o. 1496). Ciągłe trwały wzajemne żale o sprawy pograniczne, wzajemne prośby, ażeby karano ludzi swawolnych, co się tycze złodziejstwa i rozboju.⁴⁾ Taki stan rzeczy bynajmniej się nie uciszał. Hospodarowie „od Basyrabów“ i z Wołoszy wadzili się ze sobą wzajemnie, paląc swoje wsie i łupieżąc, a z drugiej strony „ukrainiki“ przychodzili wielkimi kupami, zabierali ludność, a domy i wsie szły z ogniem⁵⁾ (1507).

Oczywiście, że tacy bezdomni tułacze, wybici z życia prawidłowego, pozbawieni często rodziny i domowego ogniska, szli najczęściej szukać zbójeckiego chleba i zwiększali kadry awanturników, którzy się później zajmowali „kozakowaniem“ lub „szli w kozactwo.“ Powiększanie się takich kadrów słusznie Skarga nazywał „kozacką desperacją.“ Bohdan V skarży się Zygmunto wi I, że ukraïnniki (poddanyje Waszoi Miłosti) zwołują Wołoszę (naszy ludi) „na wielką swobodę — dali wolę złodziejom, którzy kradną i rozbijają“ (1510)⁶⁾. Jest to ustęp niezmiernie charakterystyczny, bo wskazuje jak rozumiano „swobodę i wolność“ w tej warstwie, z której później powstała i złożyła się Kozaczyzna.

Świadomość wspólnego niebezpieczeństwa dla Polski i Wołoszczyzny nasuwała potrzebę wspólnej obrony, ale niebezpieczeństwo, istniejące dla państw, było zajęciem i źródłem do życia dla coraz liczniejszej grupy ludzi, żyjących z rozboju i rabunków. Oni rozumieli tylko znaczenie niebezpieczeństwa osobistego i, aczkolwiek w początkach nieświadomie, działali jednak bezwarunkowo na szkodę państwa. Swawola nadgraniczna wzmacniała się, a nawet niekiedy przybierała charakter jakiejś niby stałej, wojskowej organizacyi. Bohdan V skarżył się Zygmunto wi I, że ja-

¹⁾ *Źródła dziejowe* (Jabłonowski). T. X. Sprawy wołoskie, 59.

²⁾ Sprawy wołoskie. *Źródła* X, 61. ³⁾ *Ibid.* 64. ⁴⁾ *Ibid.* 74, 79. ⁵⁾ *Ibid.* 84.

⁶⁾ *Jabl. Źródła dziejowe*, X, 91.

kiś „łotr“ Wołoszyn—jeden może z licznych a nieznanych z imienia gospodarczyków — „nie miał być nigdzie w ziemiach królewskich tolerowany, ani popierany (miłowany), przeciwnie, wygnany, tymczasem dowiadujemy się, że zebrał sobie takich samych łotrów, jak sam i grasuje w państwie Waszej Miłości (chodit w zemlach), teraz niedawno był w Międzybożu, a inni łotrowie z jego kupy (kotoryje z nim chodiat) byli w Kamieńcu“¹⁾.

Wzajemne napady poczęły przybierać charakter stały, stawały się pewnego rodzaju trybem życia dla nowowytwarzającej się warstwy niby wojowników, niby żołnierzy, a jednak zawsze rabowników tylko. Nie ograniczali się oni do napadów nocnych, ale bez obawy na dzienne rozboje puszczały się.²⁾ Od Winnicy także przychodzili „jawnie i potajemnie a kradną i rozbijają.“ Odwzajemniając się, burkułaby wołoscy, wpadłszy w granice Polski, wielu ludzi zamordowali, porąbali i w niewolę zabrali“³⁾ (1523). Gdy tedy jedni uprawiali zwykły rabunek, drudzy, przeszedłszy granicę wołoską, po stronie polskiej zakładali pasieki (rodzaj folwarków), stawili młyny, bawili się myśliwstew, wypasali stada wieprzów i owiec³⁾ (1523).

Staraliśmy się dać poznać kilka rysów ze stosunków pogranicznych Polski i Wołoszczyzny, ażeby tem łatwiej można było zrozumieć te awantury i ich charakter, które wstrząsały Rzplitą, od ściany wołoskiej nie mniej groźnie, inaczej tylko niż te, jakie wywołując szarpaninę wzajemną od strony Niżu, ścigały na Rzplitę burze tatarskie i tureckie. Poznawszy sąsiadów późniejszej Kozaczyzny i ich charakter, łatwo nam ustalić przekonanie, że mistrzami kozaków, „kozactwa“, „kozakowania“, jakie wkrótce ogarnęło Rzplitą byli: Tatarzy, Turcy i Wołosza.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

¹⁾ Jabl.: *Źródła dziejowe*, t. X, 90.

²⁾ „A pak sını razy przyzli ludi od zemlach Waszyi Miłości na imia Eawryszko, y Bateczko, y Borys, y Ochromec y brat Kołeczko od Podolskoje zemli y z ich *drużynoju*, gwałtom o połudne... (na) село Zubryczan i ubili jeho (właściciela) w dworcie jeho, i zapalili dwor jeho, i wzięli imienie jeho wse, i ludi jeho wzięli i poweli ich... (*Sprawy wołoskie*, X, 102).

³⁾ *Źródła dziejowe*, X, 118.

Henryk de Régnier.

Régnier urodził się w Honfleur w r. 1864. W siódmym roku życia przybył z rodziną do Paryża i tu ukończył nauki. Ożenił się z córką poety José-Maria de Hérédia, znaną w literaturze pod nazwiskiem Gérard d'Houville. Mieszka stale w Paryżu, gdzie w salonach literackich, a czasem w bibliotekach można zobaczyć jego sylwetę wysoką i chwiejną, o podłużnej twarzy, wysokiem czołe i silnie zarysowanej brodzie. W r. 1885 ogłosił pierwszy zbiór wierszy *Lendemains*, i odtąd rzucał na rynek księgarski prawie corocznie jeden lub więcej tomów. Przyłączył się do ruchu symbolistów, przyjął hasło „sztuka dla sztuki“ i należał do wszystkich kółek, salonów literackich i walk po r. 1880. W chwili zwycięstwa nowego kierunku wysunął się na czoło, a w latach chylenia się stoi jeszcze na widoku, jako najbardziej ceniony przedstawiciel poezji, która wkrótce będzie należała do przeszłości. Jest najpłodniejszym z pośród francuskich symbolistów i w swojej twórczości najbardziej różnorodnym. Akademia francuska powołała go w r. 1911 do grona „czterdziestu nieśmiertelnych.“

I.

Régnier wydał w dwudziestym pierwszym roku życia *Lendemains* ¹⁾, a później *Apaisement* ²⁾. Już same tytuły brzmią, jak echo dzwonów pogrzebowych. Coś się widocznie stać musiało

¹⁾ *Lendemains*, poésies, Paris 1885, Vanier.

²⁾ *Apaisement*, poésies, Paris 1886, Vanier.

i młody poeta przeżył już jakieś smutki. Treść książek powinnaby objaśnić, po czem tak narzeka i szuka pocieszenia. Ale gdy się czyta wiersz po wierszu i dojdzie do ostatniej strony, zostaje się w niepewności. Tematy są rozmaite, a poczyte pisane w różnych nastrojach przez młodego człowieka, który chwyta każdą myśl w wiersze, jeśli tylko ułoży się i rozwinie harmonijnie. Przeważa liryka miłosna. Myśl o kobiecie i dreszcz erotyczny nasycą wszystko; wspomnienia i marzenia miłosne suną gorącym pasem w szumie wiatru za dnia, a nocą sitowie nadwodne szept ciche i namiętne słowa o rozkoszy. Czy tam na dnie tleje jeszcze gasnący płomień jakiejś miłości, która się skończyła nieszczęściem—trudno dociec. Jeżeli istniała, nie przeszła nigdy w namiętność, ani stała się tragedją serca. Młody poeta nie rozpacza, nie odgranicza się od świata jak kochanek idealny, co nosi w sercu jakiś obraz nieskalany. Przeciwnie, wabi go piękne ciało i lubi spędzić chwil kilka w cichej niepamięci o wszystkim i łaskawej słodyczy zmysłowego odurzenia. Mimo to jest ciągle smutny; ale przyczyny jego smutku są głębsze i bardziej złożone. To smutek serca i umysłu, intelektualny i fizyologiczny — smutek, w którym młody człowiek składa swoje marzenia o życiu, wielkie nadzieje i pożądanie szczęścia. Jest to stan mgławicowy, jaki przechodzą wszyscy artyści i pisarze, nim znajdą własną drogę przez życie. Wiele się wtedy pracuje i rozmyśla, a jeszcze więcej marzy o sławnej przyszłości, uważając się za człowieka z rasy wyższej. Ale gdy przyjdzie wytyczyć linię rozwoju swego dzieła, ręce opadają bezradnie; nawet mały wiersz rośnie z wielkim trudem i często nie daje zadowolenia. Chwile załamania i chwile napływu energii twórczej przechodzą kolejno w nieregularnych zawrotach, a pocieszenia szuka się tam, gdzie je najłatwiej znaleźć, u kobiety. Tęsknota twórcza zmienia się w tęsknotę zmysłową. I znów płynie rozkoszne ciepło przez żyły, zagnają się linie myśli i zwisają ku ziemi. Rozmyślania zwracają się ku kobiecie wymarzonej i rzeczywistej, nieznanej a chętnie odkrytej w tłumie, tej, co jest tęsknotą duszy, a tak łatwo staje się kobietą z ciała i symbolem ideału w jednej osobie. Wtedy poeta znajdzie w niej wszystko, nawet wbrew wszelkiej rzeczywistości; będzie ją błogosławił i w gorących marzeniach posyłał swoje myśli najpiękniejsze „vers l'Inconnu, caché sous ses longues paupières.“¹⁾

¹⁾ Ku Tajemnicy skrytej pod długimi rzęsami.

Łączą się tu z sobą dwie tęsknoty, płynące z różnych źródeł: zachcianki młodej krwi, pożądanie sławy i smutek, który w tych latach tak łatwo gaśnie w rozkoszy, a zamiera w pocałunku. Bieg uczuć jest powolny i równomierny. Szara, monotonna melancholia rozwiesza ponad wszystkim skrzydła z gęstej pajęczyny i wilgotnej mgły. Régnier obnosi ją po salonach i ławach uniwersyteckich, a ubiera się w nią jak w płaszcz, którym się można odgrodzić od bezpośrednich wrażeń życia. Wszystko widzi poprzez tę szarą zasłonę tak, że mu się wydaje jednakowe, monotonne i smutne aż do znudzenia. Niema w nim siły młodości tej, co pachnie w powietrzu na wiosnę; ani tęsknoty nie zerwą się do buntu w rytmie bohaterskim, ani myśl nie rozpędzi się samotna i bez wędzidła. Régnier obawia się wyjść poza miedze tradycyjne z jakimś wstrętem człowieka dobrze wychowanego. Wszystko musi być u niego poprawne, dystygowane, trochę nudne, ale zawsze w dobrym tonie. Brak przedsiębiorczości umysłowej i rewolucyjnego rytmu w krwi, stanowi zasadniczy rys jego umysłu i temperamentu.

Régnier jest nieco anemicznym potomkiem starej rodziny historycznej. Wychował się w domu pod opieką czułą i delikatną; uprzedzano jego chęci i zachcenia; wszystko było gotowe na chwilę oznaczoną, wszystko podsuwano mu pod ręce i usta. Dzień cały był rozłożony na godziny tak, że każda miała już naprzód swoje przeznaczenie w życiu rodzinnem i towarzyskiem. Nie dowiedział się nigdy, co to walka życiowa i jakie budzi żywiołowe namiętności; nie dowiedział się, co to jest wielka radość lub wielki ból; był dzieckiem ludzi zamożnych i nie potrzebował troszczyć się o jutro życia, ani wychodzić myślą poza koło własnych interesów artystycznych.

Wychowanie rodzinno-salonowe zostało później uzupełnione wykształceniem w kolegium Jezuitów, które usunęło radykalnie istniejące w zarodku lub możliwe wybryki temperamentu, swobodę myślenia i wyobraźni. Régnier stał się młodzieńcem „dystygowanym“ i bardzo dobrze wychowanym; miał wysubtelnione zmysły, dobry smak artystyczny i delikatność odczuwania, które przy pewnej anemii sił żywotnych i szarej melancholii stanowią odtąd jego zasadniczy i najgłębszy pokład duchowy. One też trwać będą na przyszłość—mimo łudzących pozorów innej rzeczywistości — jak korzeń drzewa ukryty pod ziemią.

Régnier dźwiga już w tych latach najmłodszych jarzmo tradycyi rodzinnej i artystycznej bardzo przykładowie i cierpliwie. Dopiero kiedy się złączył z tymi, co torowali drogi symbolizmu,

dokonała się w nim zmiana wewnętrzna, której znaki ukazują się już w *Widokach* ¹⁾, zbiorze z dwudziestu pięciu sonetów z prologiem i epilogiem. Są to krajobrazy najczęściej przetworzone i stylizowane w wyobraźni na tle dalekiego wrażenia z przyrody; poeta wzmacnia kolory i podkreśla wyraziście pewne szczegóły, by im nadać wartość symboliczną. Tu i owdzie przewiewa jeszcze wspomnienie kobiety, wonieje ciepły, eteryczny zapach jej ciała, ale już bardzo daleki. Dawny realizm jasny i powierzchowny zanika; łamią się prostolinijne kierunki myśli i występują nowe siły: wyobraźnia niespokojna a bardzo dekoracyjna i marzenie, rzucone w przeszłość i przyszłość. Proces duchowej przemiany odbywa się jeszcze wewnątrz, ale już można prawie dosłyszeć, że pod skorupą wiersza kłębią się i w górę idą nowe siły. Chwila jest taka, jak ciepły dzień słoneczny o wczesnej wiosnie: z szarej ziemi wstają dymki błękitne, tryskają zielone trawki i pióra zbóż o jasnoróżowej barwie ciała dziecięcego. Poeta marzy o krainie „mistycznej i fioletowej,“ a pośród cichych zamyśleń i nocy miesięcznych otwierają mu się dalekie, jasnołote perspektywy w nieskończoność.

II.

W „Epizodach“ ²⁾ przeszedł Régnier stanowczo za próg nowego życia duchowego i zatrzasnął bramy za sobą. Wchodzi do krainy fantastycznej i sam jest nią olśniony; dziwi się i oczy szeroko otwiera, jak dziecko wprowadzone po raz pierwszy w słoneczną panoramę podzwrotnikowych pejzaży. Dziwne niebo, powietrze tkane złotem i zaduch słońca, co cięży na piersiach, jak rozpalona cegła. Podnoszą się łodygi pękate o kwiatach cętkowanych, kolczaste pnie, liście szerokie o kształtach dziwacznych wachlarzy i pawich ogonów—i liście cięte regularnie, niby stalowe lancety. Z wody dobywają się na powierzchnię zielone płachty nieznanych zielsk i kołyszą się leniwie za powolnem chlupaniem wody o brzegi. W tej krainie egzotycznej panuje atmosfera parna jak w cieplarniach, gdzie hodują kwiaty lotosu; a wygląda cała niby ogród botaniczny, zamknięty w szklane ściany

¹⁾ Sites, poèmes, Paris 1887, Vanier.

²⁾ Épisodes, poèmes, Paris Vanier, 1888.

i nakryty ogromną kopułą. Po żebrach kolumn i spojeń żelaznych pną się liany o potwornych ramionach; kule elektryczne świecą z syczeniem pośród martwej ciszy, a na tle drzew palmowych, poza dekoracją z liści przesuwają się wizye nieme, jak sceny z czarodziejskiej pantominy:

Zapach alg, cisze nocne, szmer wiosel na fali,
 czar mglisty, w którym sen nasz raz jeszcze powraca,
 w woniach tych mórz różanych, cośmy przepływali,
 ku szczęściu mknąc, gdzie gwiazda śmierci się rozżlaca.
 To echa życia, w którym my przed życiem trwali.

Śmierć jakaś już gdzieś, kędyś zamknęła nam oczy
 wśród uścisków miłosnych i chwał bojowiska.
 I wpadliśmy w zasadzkę tajemnych roztoczy
 na sen w zakłętej sali starego zamczyska.
 Jakiż napój cudowny wzrok nam odtąd mroczy
 na odblask wieczny zjawy, lotnej jak miraż,
 od której niegdyś serce męzne i trwożliwe
 było. A w śnie tym, danym Chimerom pod strażę,
 zostało nam olśnienie tylko migotliwe
 świtów, strawionych w jutrzni przedwiecznym pożarze.¹⁾

Z dawnej przeszłości rycerskiej, którą przeżyliśmy może w innych żywotach, zostało nam tylko jakieś złociste olśnienie; a na tem tle wstają wizye i suną powoli, zatrzymują się na chwilę, niby żywe obrazy, i przechodzą jedna za drugą. To „epizody.“

Oto jest wizya mistyczna: Wokoło zaległy szare cienie, jak w nawach gotyckiej katedry. Stoi ołtarz na wysokiem podniesieniu, a po obydwu stronach palą się rzędy świec długimi kłosami; na ołtarzu wre cudowna krew w kielichu i spada grudkami zaskrzepłych rubinów. To krew ofiary tajemnej... W powietrzu snują się dymy kadzideł, zaduch wosku i szum białych sukien anielich, a z dołu płynie ledwie dosłyszalny jęk modlitwy przeżalonej. Wizya rycerska: Morze jest ogromne, dalekie i jasne, jak pogodne niebo; płyną galery rycerzy awanturników; wiosła chlupią miarowo, a żagle rozdęły się na wiatr. Rycerze są zmęczeni drogą i praży ich upał słoneczny; zdjęli pancerze i hełmy, rękawem ocierają pot z czoła, a trwają upornie i patrzą, czy nie ukaze się ziemia, do której płyną oddawna szlakiem znaczone gwiazdami. Drogę przecina im — jak błyskawica — złota łódź

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

z białym łabędziem, który wiezie Parsiwala. A na kresach wi-
dnokręgu słyszą szelest, niby ciężkich ptaków morskich: to prze-
latuje Chimera i łopocze w szerokie, złote skrzydła. Znika wi-
zya rycerska. Awanturnik wpadł w zaczarowane ogrody Armidy.
Przeszedł wysokie bramy, których strzegli maleńcy strażnicy
w sandałach złotem haftowanych i znalazł się w cudownym ogro-
dzie pośród dziwnych drzew i kwiatów. Po błękitnych stawach
pływały łabędzie, a na wielkich tarasach z białego marmuru pła-
wiły się w słońcu stada gołębi. Wśród rozkoszy zapomniał ry-
cerz o swoim posłannictwie; a kiedy się obudził po latach, syt
pocałunków i ciała, zbiegł potajemnie za bramy, dłonie wyciągnął
ku niebu i przysiągł ofiarę za winy. Odtąd Régnier, rycerz-
awanturnik, zmienia się w Parsiwala i rozpoczyna szaloną, pełną
dziwnych przygód pielgrzymkę na Monsalwat.

„Epizody“ stanowią jakby próbę sił i wstęp do nowej twór-
czości. Są w nich jeszcze wahania i zawroty; struna erotyczna
drży czuła, roztęskniona i zmysłowa, jak dawniej; zmieniła się
tylko dekoracya, a zamiast młodzieńca, który kochał żywą kobie-
tę dzisiejszą, staje rycerz i szuka dekoracyi rycerskiej, majesta-
tycznej. Marzy o błękitnych tunikach i cudownych ogrodach,
o księżniczkach, płowych włosach i bieli baranków, pędzonych
na łąki; marzy o kwiatach, woni mistycznej i upajającej, co tak
dziwnie techce nozdrza... W następnych zbiorach, *Poèmes anciens
et romanesques* i *Tel qu'en Songe*¹⁾, zarył się już wozem rycerskim
tak daleko w krainy marzenia, że wiersze są tylko echem wy-
praw, walk stoczonych i smutnego odwrotu.

Roztoczyła się przed nim daleka wizya mistyczna: wyspa
wśród mórz i miasto w cieniu palm. Kiedy je zobaczył, słońce
paliło się czerwone na zachodzie. Wyspa była długa i pusta, jak
wydma z rudego piasku, a na skale nadmorskiej siedziały trzy
dziewice, czekając na rycerza, który miał przyjść od wieków.
W rękę trzymały naczynia symboliczne: zwierciadła, amfory
z onyxu i lampy. W dali, piaskami brzegu przeciwnego, szli
w ciągu wieków kupcy z Fenicyi, żołnierze z orłami, astrolodzy,
błazny, rycerze, zakonnicy; mijały wieki, pokolenia i narody, a nikt
nie przybił do skały, kędy dziewice czekały w tęsknocie na swo-
jego oblubieńca. Régnier-rycerz wyjechał samotny na tę wypra-
wę. Zmęczony daleką drogą przewiesił tarczę przez ramię, tuleję

¹⁾ *Poèmes anciens et romanesques*, Paris, 1887—1889. *Tel qu'en Songe*,
poèmes, Paris, 1892.

lancy przypiął do siodła i, trzymając ciężki hełm w dłoniach, wjechał wieczorem do lasu. Tu uderzyły na niego pokusy. Cała bakchanalia szalała po lesie wśród zgiełku, chichotu i kwików. Czerwone satyry uganiały z pochodniami w rękach, dudniąc kopytami po zaroślach; las stał w płomieniach i tumanach dymu, chmury motyli sunęły za światłem pochodni, a stada nagich nimf przebiegały z chichotem i wabiły rycerza za sobą. Ale nie zdołały go uwieść. Rycerz zatrzymał się na chwilę i ruszył dalej, bo za górą i rzeką czekała na niego śpiąca od stu lat królewna, *la Belle au bois*. Spała w grocie skalistej, cała otoczona kwieciem róż; dłonie miała splecione na piersiach, a twarzyczkę liliowoblada opływały strumieniem złote włosy. U drzwi jaskini stała legendarna bestya, jednorożec. Zanim przybył rycerz, królewna umarła. Jednorożec, zwietrywszy zapach trupi, uciekł w lasy i przebiegł drogę rycerzowi, który stracił szlak z oczu i zabłądził. W leśnych uroczyskach usidliła go znów jakaś nowa Armida i pozostał przy niej czas długi. A kiedy przetańc oczy po wielu dniach i obrócił się na wschód, zobaczył w dali wielkie miasto murowane. W otwartych bramach domów i na schodach kamiennych stały kobiety strojne i żegnały gestem rycerzy, którzy wyjeżdżali zbrojni poza bramy miasta. Dzielili się na równinie i rozjeżdżali na wszystkie strony. Jedni szli tam, gdzie były więzione księżniczki i nędza; inni pędzili ku morzu na galery; inni jeszcze ruszyli nieznanym szlakiem na zdobycie Tajemnicy. Zerwał się także Régnier-Parsiwal i wyruszył na wschód, gdzie zobaczył niegdyś miasto w cieniu palm. Po długiej drodze stanął wreszcie u kresu pielgrzymki. Przed nim piętrzyła się wysoka wieża kamienna, a na niej zobaczył *Nieznaną*. Szedł ku niej przez długie lata, a oto był już koniec pielgrzymki. Pieśń wezbrała mu radością zwycięstwa i wyśpiewał hymn pozdrowienia dla Nieznanej.

Reine des seuils sacrés et des villes murales,
Salut à ta splendeur, par le glaive et le cor!
En tes cheveux, en tes robes, en tes opales,
En ton passé divin tout incandescent d'or.

Salut en ta douceur de femme et de fileuse,
En les aubes de paix de tes soirs véhéments,
Et d'être née ainsi dans la nuit fabuleuse
Pour resplendir au songe éternel des amants.

Sur la tour solitaire où trône ton prestige
De fleur mystérieuse et d'idole des soirs

Les ramiers douloureux roucoulent le vertige
Des âmes de jadis qui burent aux Styx noirs...

Gościńce, wiodące ku miastu, i równina koło wieży były zasłane trupami walecznych; szli ku tym miejscom od wieków i padali na kolana, a ich modlitwy pięły się po murach, jako winna latorośl. I ginęli. Jedni marli u stóp wieży, inni rzucali się z końmi i rozbijali o brony żelazne. A na szczycie królowała zawsze spokojna, niewzruszona Chimera-Tajemnica. Jej twarz marmurowo blada była ujęta w pukle czarnych włosów, które piętrzyły się na głowie w królewską koronę; miała wąskie, krwawe wargi, ręce zbroczone krwią walecznych i oczy kamienne a przeraźliwe. Rycerz podał jej dłoń i zstąpił z nią do głębin wodnych. Ale szedł bez nadziei, bo nie ukazał się żaden znak, by wieścić, że była tą, dla której lasy poświęcają litanie drzew szumiących, a kwiaty wyciekają w cudowne kielichy; żaden znak, że dla jej królewskiego majestatu pawie roztaczają obręcze tęczo-we i że ku niej idą kłębami wszystkie nadzieje ludzkie.

W pięknym poemacie, *Orlik*, raz jeszcze przechodzi tę samą pielgrzymkę. Wspomina córki rycerskie, jakie napotkał przy drodze i uśmiechnięte dziewczęta, które prały chusty w potoku. Wszystkie minął i wszystko poświęcił dla Nieznanej, a na końcu drogi znalazł tylko zwątpienie i pogrom wszystkich nadziei.

To był tylko sen złudny z kłamstwa, złota, cienia,
z którego drwi straszliwie dziwny uśmiech życia...

I jak w uroczystym pochodzie szedł do królestwa Chimery, tak rozpoczyna teraz odwrót z wyniosłą i pompatyczną melancholią. Smutek powrotu opisuje w *Tel qu'en Songe*. To chwila robienia rachunków z przeszłością, bo rycerz stanął już na drogach rozstajnych, a jego dzień chylił się ku zachodowi.

Les routes s'en allaient vers les jours
Et j'aurais pu aller avec elles encor,
Et toujours,
Vers des terres, des eaux et des songes, toujours
Jusques au jour
Où, de ses mains magiques et patientes, la Mort
Aurait fermé mes yeux du sceau de sa fleur de paix et d'or...

Ale już nie pójdzie temi drogami, bo „niebo nie roziskrzyło gwiazdami jego szlaków.“ Życie młode minęło na zawsze, jak droga ginie w cieniach nocy. Jest teraz samotny, bardziej sa-

motny niż dawniej, bo za nim już wieczór zapada, a przed nim „pustynia i milczenie.“ Wraca rycerz do zamczyska, które opuścił za młodu i niesie z sobą wszystko, co mu zostało po wyprawach: strzępy sławy i resztki zbroi zardzewiałej (*La Gardienne*). Wraca jako starzec, a wiodą go dwaj towarzysze. Wita smutnym uśmiechem bory, przyjaciół młodości, i skarży się przed nimi żałośnie:

O powrocie! o smutku! wieczorze!
 Ach jakżeż te ścieżki są ciemne,
 Co w stare zamczysko tajemne
 Wiodą. Trawy, kwiaty w uwięzi
 Zmarły pod ciężarem gałęzi.
 Mech korę drzew przegryza w sadzie,
 Jak rdza błyszczące ostrze szpadzie,
 Jak czas cudne nadzieje porze.
 O smutku! o wieczorze!¹)

Przeklina marzenia lat młodych, wielkie boje, życie stracone i ten lichy snop rycerskiej glori, którą wicher pomiata i roznosi po pustkowiach. Przeklina całą epopeę, zjawioną niegdyś w marzeniach, to „wiecyste kłamstwo“ wyobraźni, dla którego już legły setki walecznych. Wyszedł szlakami Chimery, jako młody rycerz, a wraca zniszczonym starcem, w którym ledwie się trzepece reszta duszy, ranionej wieczną melancholią.

*

*

*

Treść dwu tomów wierszy, które złożyłem w jedną opowieść rycerską według najważniejszych epizodów, nie daje żadnego wyobrażenia o bogactwie szczegółów, kostyumów i dekoracyj. Widzi się to tylko, co jest na zewnątrz, a wewnętrznej racyi czynów i gestów symbolicznych trzeba się z trudem domyślać. Czytającemu przedstawia się tylko dekoracyjny obraz pochodów i rycerska epopea, podobna do wielkich manifestacyj publicznych. Gdzieś nieznanym jakimś komitetem radził, ważył, omawiał i sprzeczał się, zanim ułożono ostatecznie charakter i porządek pochodu.

¹) Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

Ale widzowie o niczem nie wiedzą; oglądają tylko tłum, stroje, chorągwie i różne znaki, a ponieważ nie znają przyczyny i celów, cała manifestacya uroczysta wydaje się im karnawałową maskaradą.

Akcyja epicka rozwija się na olbrzymich przestrzeniach. To świat marzenia, a raczej wizya świata, niby cały krąg ziemski, widziany ze szczytu wysokiej góry w błękitnozłotą noc miesięczną. Widać tylko przestrzenie bez kresu, przymglone poświatą księżycy, wizyjne plamy miast, pól i mórz, a nad wszystkim panuje cisza snu ludzi, zwierząt i przyrody. Przez gościńce, lasy i powietrze suną cienie marzeń, wielkie pochody wszereż i wzdłuż, zawsze do jednego celu, choć w rozmaitych kierunkach: pielgrzymki rycerzy samotników, przeciąganie tłumów, wyprawy całych wojsk „krzyżowców“ ku miastu Tajemnicy. Epopea, zakreślona szeroko i z wielkim rozmachem, wydaje się jak wspaniały fresk rycerski gdzieś na murach królewskiego zamczyska. To uroczysty pochód do królestwa Chimery: Na przodzie heroldowie w powłóczystych szatach grają na trąbach mosiężnych; za nimi idzie orszak paziów złotowłosych w jedwabnych strojach, a dalej rycerska świta dumna i wspaniała: konie w kapach tkanych złotem i purpurą, o karkach dumnie zgiętych i plecionych grzywach; zbroje srebrne i złote, broń iskrzy się od drogich kamieni; połyskują lance i nagie miecze, orły i proporce, a cały pochód sunie na tle symbolicznych zachodów słońca, jak pożary miast ogromnych. Daleko i szeroko słyhać zgiełk pompatycznej maskarady, aż dudni ziemia i światłość oczy ślepi.

Zbroje ze sreber lśniących, gdzie zlotników sztuka
w gemmie cennej przejryste rznęła krople rosy,
kaski, skąd orły brały lot skrzydłem w niebiosy,
orły dumne, choć krwawe, w żelaznych swych piórach!
Miecze oślepiające błyskawicą w chmurach —
Cały przybór okrutny zwycięstw, krwią brzemienny:
Konie w czaprakach z mory jedwabnej, bezcennej...
Oblicza, co szkarlatem pychy złość przetyka
i których wrzask wylata z pod pręg naszyjnika.
Miedzie, bisior, jedwabie, bronz, spiże i złoto,
Chorągiewki z trąb dźwiękiem drgające ochotę;
pochód dziki, którego chrzęst twardy grzmi wszędzie,
poza którym zbóż żniwa już nigdy nie będzie.
Cała ta horda ciężka pancernym swym krokiem
przez sen mój z wrzaskiem leci — zwierzęcym wyskokiem. ¹⁾

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

Poeta marzył o szumnej epopei swoich przodków. Ile bitew stoczył, ile fresków zakreslił w wyobraźni ponad swoją ziemią marzenia, ile razy wstępował na tron w imperatorskich purpurach wśród kagańców płonących i złotych lichtarzy — a wszystko to było Chimera! Aż nadszedł dzień, że zagasły ogniska wizyj, jak księżycy elektryczne po długich alejach samotnych. Znalazł się sam na pustej równinie pod bramami miasta wyśnionego; na szczycie wieży leżała zimna, leniwa i milcząca Chimera... Nie zdobył Tajemnicy i trzeba było rozpocząć odwrót po wielkim pogromie marzeń. I znów polami ciągnęły upiorne bandy rycerzy: konie wlokły się wynędzniałe, złociste kapy i purpury zdarły się na cierniach przydrożnych, a pocięte pancerze przeżarła już rdza. Nad tą smutną gromadą unosiła się jakaś wyniosła, królewska melancholia.

To był największy wysiłek intelektualny Régiera i tu zawiódł on najszersze koło promieniem swojej wyobraźni. Pielgrzym, rycerz i arcykapłan Tajemnicy celebrował na ołtarzu tego bóstwa i sam przyjął na siebie najwyższe dostojęstwa. Pasował się z wielkiem przedsięwzięciem, sypał kłębami dymy kadzielne i wizję swoich marzeń stroił we wszystkie bogactwa, na jakie go stać było. A jego wyobraźnia jest bardzo dekoracyjna, zwłaszcza, gdzie chodzi o freski historyczne. Tam roztaczał obrazy błyszczące od kolorów, drogich kamieni, płaszców, draperyj i kosztowności, że wyglądają, jak wielkie płótna Matejkowskie lub gobeliny Makarta.

Podwójna racya, artystyczna i fizyologiczna, pchnęła jego wyobraźnię na te drogi. Symboliści, podobnie jak poeci romantyzmu brali swoje akcesorya i symbole z bogatego arsenału wieków średnich. Régiera wiązała jeszcze z tą przeszłością własna tradycya rodowa, bo pochodził z rodziny starej i historycznej, której genealogia sięga XVI wieku. Jego przodkowie piastowali wysokie godności wojskowe i dworskie. Poeta zdaje się wprawdzie odnosić do swojej przeszłości rodzinnej z jakąś kokieterią demokratyczną, ale w studyum o Alfredzie de Vigny podkreślił z wyjątkowym naciskiem wpływ tego właśnie szczegółu na twórczość artystyczną. Sam również strzeże swoich przywilejów i nie chciałby z pewnością, aby było inaczej, niż jest. To też, gdy w domu rodzinnym oglądał portrety antenatów, mignęła mu w oddali — jak błyskawica — myśl o solidarności rasy, posłannictwie rodzin historycznych i oddziaływaniu przodków na późniejsze pokolenia. W początkach była jak cieniuchna nić złota, co łączyła przeszłość rodu z jego terażniejszością; ale później zakorzeniła

się głęboko i rozrosła do potęgi wiary w rodzinną metempsychozę. W powieści, *Przeszłość żyjąca*, opowiada, że w potomkach odradzają się nie tylko poszczególne rysy charakteru, ale czasem cała osobistość moralna i fizyczna pewnych przodków. Przeszłość może odżyć w potomkach; a jeżeli przeszkody lub śmierć nie pozwoliły im dokonać swojego przeznaczenia, następcy muszą je wypełnić w swoim życiu.

Jakież wobec tego ma być jego przeznaczenie jako artysty? Do czego zobowiązuje go solidarność rasy w czasach wymierania rodzin historycznych, które straciły rację bytu? Régnier chce na końcu drogi stawić pomnik istnieniu dawnych rodów rycerskich; pragnie, by jego życie było wspaniałe i godne życia przodków historycznych.

Chciałbym je mieć wielkie i ważne i górne,
i tak, jak w słońce, ubrane w swą chwałę,
z pychą na wargach, jak złomy skał chmurne.
Wspaniałe!

Nago stojące wśród morza pian śnieżnych
i kwiatów — zawsze u okręta przodu —
z pochodnią w dłoniach chciwych a drapieżnych.
Twarde jak z lodu.

Lub ciche, z palmą pod portyków cieniem,
gdzie małe dzieci — w pysznie wzdęte zbroje —
dźwięk wywołują — rzucając kamieniem.

Na marmurowych tronach dziwnem śnieniem
śniące nieskończone spokoje. ¹⁾

Piękny jest w tem przedsięwzięciu, kiedy wśród poszumu skrzydeł husarskich kroczy, jako artysta, na zdobycie Tajemnicy. Ale przywalił go ciężar popiołów. Pochodził ze starej rasy, której energie wyczerpały się w walkach i czynach dawnych pokoleń; nie umiał zaczepić się o życie współczesne i stworzyć nowej epopei żywej.

„Zwiędłe liście gonią około cyprysów“ — mówi na jednym miejscu. A cyprysami są przodkowie, rycerze w zbrojach, uczeni w symarach i damy w herbowych strojach patrycyuszek z lilią w dłoni. Stoją jak drogowskazy na szlaku żalobnym, który znaczy przejście siły żywej poprzez członków jednej rodziny. Ostatni potomkowie, podobni zwiędłym liściom, które wiatr goni koło drzewa, zamierają powoli z dnia na dzień. Klepsydry mierzą ci cho ostatnie godziny życia.

¹⁾ Tłómaczyła p. A. Kłopotowska.

III.

Smutny był wieczór powrotu. Rycerz przyjechał do swego domu po wielkim pogromie. Przez „niedomknięte“ drzwi słyszy jeszcze, jak gdzieś „błądzą cienie śladem jego kroków.“

Je sens encore rôder des ombres sur mes pas...

Cienie tylko, bo wszystko już przeszło i znikło, jak wizya gorączkowa: ludzie, konie, chorągwie, szkarłaty i złoto—wszystko! Wierzyć się prawie nie chce, że to było na jawie i tak nagle zapadło się w nicość. Mignęło niby wizya uroczysta na deskach czarodziejskiego teatru; następnie zapuszczono kurtynę, w czasie przerwy zmieniono dekoracye i kostyумы, usunięto dawnych aktorów i nikt nie domyśliłby się, co się tu działo przed chwilą.

W następnych utworach Régniera niema prawie śladu rycerskiej epopei tak, że niespodziewana i niemal gwałtowna przemiana zadziwia i niepokoi. Trudno w nią uwierzyć, ale rzeczywistość mówi zbyt jasno i wyraźnie. Cała przeszła epopea wydaje się teraz młodzieńczą przygodą. Wrzała gorąca krew, wyobraźnia rzucała wizye na ogromne transparenty wieczności, aż młodzieniec „się wyszumiał,“ przypalił skrzydełka i ucichł. Szumna epopea przewaliła się poza góry i wszystko się zmieniło. Chwilami jeszcze wspomnienia się zatoczą ciężkiem dudnieniem, jak daleki turkot gromu; czasem błyskawica mignie, zaświeci i rozprysnie się, niby strzaskany miecz. Wszystko minęło: rycerze i zbroje, zgiełk walki i krew szumiąca, a pozostał tylko dom cichy i rzeczka, nad rzeczką sitowie i wierzbina, z której wycina sobie fujarki i gra piosnki na różną nutę. Sielanka! Fujarki wiosenne z kwietniowej wikliny (*Flûtes d'avril*) wygrywają melodye ciche, łagodne i prawie wesole; fujarki jesienne (*Flûtes de septembre*) odzywają się długą, przeciągłą nutą tęsknoty. Nastrój panuje, jak w domu rekonwalescenta, który chodzi z pokoju do pokoju, przysiada, rozmyśla i marzy.

Przemiana, choć tak gwałtowna, nie była tylko powierzchowną. Zmieniły się nie tylko akcesorya dekoracyjne, ale sama treść i sposób patrzenia na życie. Régnier skłania się teraz do realizmu, od którego wyszedł i wraca do przyrody. Przysłuchuje się bardzo uważnie jej życiu, zajmuje się niem i wierzy, że tylko energie żywiołowe, co pulsują pod skorupą ziemi, dają radość

i siłę. W długim poemacie, *Człowiek i Syrena*, rozwija myśl, że oddalenie się od przyrody jest śmiercią dla człowieka i artysty. Równocześnie przenosi się w inny świat wyobraźni, bo zwykła obserwacja zjawisk przyrody nie może mu wystarczyć. Wyobraźnia przetwarza teraz wrażenia na symbole, wzięte ze świata starożytnego. Régnier przyswaja sobie na ten cel tylko drobną część mitologii greckiej; nie Olimp, wytwór myśli abstrakcyjnej, który lud upstrzył w namiętności wulgarne i wesołe powiastki, ale najniższy świat bożków, bogiń i półbogów, uosabiających żywiołowe siły przyrody. Ukształca je na sposób wspólny prawie wszystkim symbolistom w Europie, w stylu tak zw. secesyjnym, kolorach wyrazistych, a liniach wodnych, powłóczyстых i dziwnie wyginanych. Z wody dobywają się dziwaczne postacie o długich brodach i zielonych morskich oczach; na powierzchni falują z prądem kępy włosów, jak płachty liści podzwrotnikowych. Fauny, zawałane ziemią, błotem i trawą, dudnią kopytami po lasach i chichoczą gdzieś na polach, że tylko rogi i jasne włosy nimf migają ponad zbożem. Z ciemności wynurzają się błękitne oczy szeroko rozwarte i radosne, jak okna wiodące do nieba — i oczy ciemne, aksamitne, o wejrzeniu powłóczystem, w których goreje namiętność. Ukazują się płowe sierści satyrów, ich gęby brzydkie a dziwaczne, syreny, gryzące się na morzu i rdzawo-czarne cielska centaurów.

Niepewny i przejściowy nastrój utrwalił się, bo zmieniły się warunki życia poety. „Kądziel jest miłą dla tych, co noszą maczugi“ — mówił dawniej o swoich bohaterach. Doświadczył tego na sobie samym. Ożenił się i usiadł w miłym cieniu „kądzieli.“ Otoczył go łaskawy czar miłości, bo towarzyszka była rozumna, serdeczna i sama pełna poezji. Widział, że życie przyszłe będzie pieśnią rozłamaną na dwa głosy, z których jeden młody i dźwięczny, bo nabrzmiały wiarą w życie, a drugi cichszy i odarty już z wielu marzeń. Na takie tematy pisze teraz wiersze miłosne, spokojne i męskie w tonie, choć drży w nich ledwie hamowane wzruszenie serdeczne. Śmieją się usta i oczy, a błogość rozchodzi się w koło, jak najpiękniejsze zapachy. Pisze także wiersz na urodzenie syna i składa go na kołysce. Życzenia, jakie przynosi, są dosyć przyziemne i mieszczańskie, ale właśnie dlatego ciekawe, bo dają miarę tonu jego duszy. Régnier ma już swoje gniazdo rodzinne, łagodną ciszę, słodycz dni powszednich i tak miłe ciepło wieczorów. Mały świątek własny jest mu najbliższym i dba o jego szczęście nawet kosztem rzeczy większych. To nie jest dawny młodzieniec, żądny ofiary z siebie dla celów ogólnych,

ale sceptyczny ojciec rodziny, co patrzy na świat jakby z bocianiego gniazda na dachu. Jeżeli przyjdą nawet chwile wielkich wspomnień i smutków, kobieta miłą rączką przysłoni czarne pręgi melancholii, co się rysują w przestrzeniach. A poprzez jasnoróżowe szparki jedwabnej dłoni nie ujrzy już daleko!

To też od tego czasu poezya Régniera staje się „krótkooddechową.“ Pisze on same rzeczy drobne: *Napisy dla trzynastu bram miasta*,¹⁾ zabawki literackie, gdzie dla ubóstwa treści i braku uczucia antyteza z retoryką płatają linoskoczne figle. Formą nawet te wiersze są słabsze od następnego zbiorku, *Wiązanka godzin*, w którą obok kilku większych poematów wplótł jedenaście maleńkich ód (odelettes), arcydziełek lekkości i zręczności. Oto jedna z nich dla przykładu w pięknym tłumaczeniu K. Rychłowskiego:

O mej miłości nikt nie wie —
 Chyba ta rzeczka jedyna,
 Co w gaju płynie.
 O mej miłości nikt nie wie —
 Chyba te wiatry swawolne,
 Co szumią w drzewie, —
 O mej miłości nikt nie wie —
 Chyba jedynie
 Lotna ptaszyna
 Lub echa polne.

Bo jeśliś kochał — to zaiste
 Tylko twe słiczne oczy,
 Oczy ogniste —
 Bo jeśliś kochał — to zaiste
 Tylko twe usta czyste, —
 Bo jeśliś kochał—to twe ciepłe ciało
 I dłoń twą miękką, białą.
 I z słodkiem utęsknieniem
 Za twoim idę cieniem.

Te same zalety techniczne posiada obszerny tom wierszy, *Medaliony gliniane*.²⁾ Są tam medaliony wotywnie, miłosne, bohaterские i morskie. Miłosnych jest niewiele; ta struna, jakby

¹⁾ Les Jeux rustiques et divins (Aréthuse. Les Rose aux de la flûte. Inscriptions pour les Treize Portes de la Ville. La Corbeille des Heures. Poèmes divers), Paris, Soc. du Mercure de France, 1897.

²⁾ Les Médailles d'Argile, poèmes, Paris, 1900.

się już zdarła, pobrzękuje rzadko i głucho. Najwięcej znajdzie się tematów ogólnych, gdzie mitologia spleta się w jedną całość z przyrodą. Wszystkie niemal wykonane w trudnych formach z wielką miłością i zrecznością, są jak kolorowane miniatury z XVIII wieku, ustawione w szafeczce muzealnej dla przeglądu. A obok niej druga szafeczka bardzo mała, inny zbiorek muzealny z dwudziestu siedmiu sonetów, p. t. *Miasto wód*.¹⁾ Opisuje w nim królewski zamek w Wersalu, aleje strzyżone, fontanny i posągi, co patrzą czarnymi otworami ślepych oczodołów na marność rzeczy minionych. Tyle tylko zostało z „tego marzenia królewskiego i wojennego zgiełku.“ Régnier jako potomek dawnych rodów i sam już własną przeszłością żyjący, był nastrojony lepiej niż ktokolwiek, by odczuć ogromną melancholię tej przeszłości. Jego wspomnienia błakają się po komnatach i alejach, wlokąc za sobą szkarłatne płaszcze z liści jesiennych i kępy bluszczów, jak dywany zapomniane z dawnych pochodów królewskich.

Ostatni tom poezyj, *Sandał skrzydlaty*,²⁾ należy do najlepszych. Bo nie są to eksperymenta literackie, lecz poematy spisywane przygodnie z dnia na dzień, kiedy wyciekły z serca i same rzuciły się pod pióro. To siesta literacka i odpoczynek po pracach żywota. Régnier bierze swojego Ronsarda i z nim idzie w cichą aleję ogrodu. Czyta i rozmyśla: Oto koniec życia się zbliża, „ciało jest znużone i ciężkie,“ a wie, że wiosna już go nie odmłodzi. Wszystko przeszło: młodość, miłość, dzielność umysłu i serca. „Où est donc tout cela qui jadis m'inspirait?“ A gdzie są śniegi zeszłoroczne? Wszystko mija, a „prawdziwym mędrcom jest ten, kto buduje na piasku.“ Régnier chce przeżyć w ciszy ten zachód swoich dni. Panteistyczne umiłowanie przyrody daje mu spokój promienny; chwyta w biegu lotne godziny, zatrzymuje na chwilę, ogląda je z miłością i stroi, aż staną przed nim piękne, uśmiechnięte i przeleca.

Osobistość poety zacieśnia się i kurczy z każdym rokiem. Krąg widzenia staje się coraz mniejszy, jak wietrzne koła na wodzie. Gdzieś wicher jakiś zatoczył je dawniej szeroko u samych brzegów jeziora i pędzi ku środkowi; kręgi stają się coraz węższe; są już tak maleńkie, że ledwie igrają na powierzchni, a wnet może staną się punktem, westchnieniem wody i zgasną. A gdzież ten wicher, dawny szum husarskich skrzydeł nad przepaściami wieczności? Przeleciał—i nie wróci; próżno ręce za nim wyciągać.

¹⁾ La Cité des Eaux, poèmes, Paris, 1902.

²⁾ La Sandale ailée, poèmes. Paris, 1907.

Są poeci, którzy—wypowiedziawszy się z mocą—milkną, bo wiedzą, że nic lepszego nie zdołają dokonać. Taka piękna wstrzeźliwość jest rzadką. Régnier należy do tych, co bardzo przeciw niej grzeszą. Jego umysł pracuje zawsze nad jakimś wierszem, choć rzucił już na świat cały stos książek, tak wielki ciężar papieru, że gdyby te wiersze i prozę ułożyć w długi sznur mierniczy, otoczyłby nim może połowę Europy. A nowe wiersze płyną wciąż—skąpiej wprawdzie, ale z tą samą łatwością i wdziękiem. Płyną jak potok poprzez wielki ogród na równinie. Łożysko jest dosyć płytkie i o wolnym spadzie; pokrywa je piasek, żwir gruboziarnisty i różnokolorowe kamyczki—cała tęcza. Wybrzeża także się mienia: tu kępy kwiatów, szuwary, klomby drzew, słowiki i noce majowe; dalej spadziste brzegi, czarne bory i wichery; a wszystko w pięknym układzie artystycznym. Potok płynie i płynie, brzęczy po kamyczkach lub zaszumi maleńką kaskadą; nie wzbiera zbyt, ale także nie wysycha. Zagadnienie potoku i źródła jest również zagadnieniem twórczości Régniera. Nie mniej, ale i nie więcej.

IV.

Dzieło poetyczne Régniera można już uważać za całość w sobie zamkniętą, bo wiele może nie doda, a prawdopodobnie nie nagnie linii rozwoju ku nowym gościńcom myśli. Jego dotychczasowa twórczość jest już imponującą, w wysokim stopniu oryginalną i najszerzej zakreśloną z pomiędzy francuskich symbolistów. Bo do symbolistów sam się zalicza, choć szkół nie lubi i uważa je raczej za szkodliwe. Chciałby stać jedynie cnotą swojego umysłu i dzieła, ale nie należy do tych, co idą naprzód i rozwijają się samodzielnie jedynie za rytmem własnego temperamentu. Zmieniał się zawsze głównie pod zewnętrznym naporem. W młodości wybrał sobie patronów literackich z pomiędzy największych romantyków, Alfreda de Vigny i Wiktora Hugo. Podpisywał się nawet pseudonimem Hugues Vignix, co było znakiem podwójnego uwielbienia. Ale szukał także znajomości pośród żyjących; bywał u Sully-Prud'homme'a, na zebraniach literackich u Leconte'a de Lisle i modlił się do Wenus miłońskiej. Później rzucił się w koła tej młodzieży, która wydała symbolizm. Do twórców nowego kierunku nie należał i dzisiaj trudno byłoby określić, jaką cząstką przyczynił się do syntetycznego ujęcia jego

programu. Ale kiedy już wszedł w gromadę tej młodzieży, brał udział we wszystkich zebraniach, wieczorach kawiarnianych, nocnych wycieczkach i walkach literackich. Należał do tych, co Verlaine'a wydobyli na światło i w sławę rzucili, i tych, którzy troskliwą a pełną szacunku opieką otaczali ostatnie lata Villiers de l'Isle Adama. Uczęszczał pilnie na wieczory wtorkowe Mallarmégo, a był z pomiędzy jego uczniów ulubionych, którzy zasiadali kołem najbliższej swego mistrza, kiedy rozprawiał o sztuce w kłębach dymu tytoniowego, wsparty o fajansowy kominek. Przyjął jego myśli w całości, a uzupełniał je tylko w szczegółach i stosował do swoich uzdolnień. Przejął się niemi tak, że jeszcze w kilka lat później w ankiecie Hureta odsyłał w sprawie określenia symbolizmu do tego, co o nim powiedział „jego mistrz“ Mallarmé. Wziął symbole i wiersz wolny, puścił się w krainę wyobraźni i marzenia i przeszedł ją od krańca do krańca, od bajecznego Tule i ogrodów Armidy aż po krainę Chimery. Później znów pod wpływem teścia Hérédyi przechylił się do realizmu i nieznacznie wsączył w siebie hasła, jakie głosiła nowa młodzież, miłość życia i przyrody, ujęte w ramy panteizmu.

Régnier nie ma indywidualności wyraźnie określonej. Najbardziej charakterystyczną cechą jego umysłu jest to, że myśl jasna w linii, wyrazista i bardzo plastyczna waha się wciąż dziwnie niepewna i czuła na każdy powiew zewnętrzny. Podobna jest do pnących badyli winnej latorośli, której liście są wykrojone zamasyście i bardzo dekoracyjnie, a łodyga—zaledwie uchyli się od podpory—wypuszcza natychmiast długie wąsy spiralne i szuka po omacku, aby się na czym zeprzeć. Myśl Régnieria ma za słaby własny rdzeń pacierzowy. Nie zdoła się oprzeć na sobie samej i rozwijać za popędem swych konieczności logicznych, ale waha się za każdym powiewem zewnętrznym. Dlatego odbiły się w niej kolejno wszystkie prądy umysłowe, jakie panowały w literaturze od czasu wejścia pomiędzy piszących.

Równocześnie z ewolucją treści dokonywał się także rozwój, a raczej przemiany techniczne. Najprzód pisał aleksandrynem w formach parnaskich uniejętnie wykończonych i poprawnych. Wraz z symbolizmem przejął wiersz wolny, którego szkieletem był dawny aleksandryn, rozłamany na krótsze, a rzadziej składany na dłuższe okresy. A kiedy wycofał się z najdalszych placówek symbolizmu, wrócił do wiersza parnaskiego, nieco swobodniejszego, ale w formie ujętej konkretnie i określonej dawnymi prawami. Odtąd już bardzo rzadko pisywał wolnym wierszem. Wszystko płynie; treść i forma zmieniają się nieustannie. Linia

twórczości niepewna waha się, podnosi, wytryska w pewnej chwili do góry ruchem zamaszystym i znów zagina się drżąca aż do miejsca, skąd wyszła.

Wszystko płynie; stałem jest tylko hasło „sztuka dla sztuki,” któremu Régnier pozostał wiernym do końca. Poeta, mówi, nie ma żadnego posłannictwa społecznego. „Jego rolą jest pisanie pięknych wierszy. Poza tem nie widzę dlań żadnej roli, któraby nie była nieco poniżającą... Dla poety żadna rola nie jest możliwą, poza wykonywaniem swojego rzemiosła. Podobnie jak najdrobniejszy rzemieślnik, poeta ma swoje rzemiosło i spełnia je.“¹⁾ Rzemiosło! Régnier podkreśla z naciskiem to stanowisko poety, które — zdaje się — byłoby bardziej „poniżającym,” niż posłannictwo, o jakim marzyli wielcy poeci romantyzmu. Ale nie o to mi chodzi. Régnier rozumiał w ten sposób rolę artysty i starał się zdobyć wszystko, co było potrzebnem do wypełnienia jej w tym zakresie. Dążył do zupełnego opanowania techniki poetyckiej, bo chciał wszystkie kształty wiersza, całą lirę mieć pod swoją władzą. A posiadał wielkie zdolności w tym kierunku. Wcześniej opanował wiersz romantyczny, a kiedy ten wydał mu się niewystarczającym, przyjął wiersz wolny, nagiął go do swoich wymagań i rzucał nim z zupełną swobodą. Wiersz wolny Régnier jest giętki i posuwisty lub szeroki, rozlewny i ciężki, jak skłębione pasma mgły; łączy się w długie symfonie i jak potężna orkiestra towarzyszy długiemu pochodowi symbolów. Z zacieśnianiem treści zmniejszał się format wiersza coraz bardziej aż do kształtów najdrobniejszych, piosnki i sonetu, miniatur i medalioników. I w tych małych ramach umiał poruszać się swobodnie i kreślić kółka, arabeski, piruety, jakby mimochodem i prawie od niechcienia. Lekką i taneczną jest linia, którą zakreśla końcem swojego pióra; drwi sobie jak baletnica ze wszystkich trudnych „pas,” przegięć i wyskoków. Łatwość, z jaką pokonywał trudności techniczne, sprawiła, że upodobał sobie te piękne a trudne igraszki. Z czasem zajęcia techniczne zupełnie wzięły górę nad zagadnieniami treści i tematu. A ponieważ myśli były nikłe, pokrywał ich ubóstwo, zakreślając linie piękne, wyginane i układając mozaikę, by nasycić oko różnorodną grą kolorów.

Jego wyobraźnia jest ruchliwym i bogatym arsenałem, z którego czerpie wszystkie szczegóły dekoracyjne. Okazało się to

¹⁾ G. Le Cardonnel et. Ch. Vellay, La Littérature contemporaine. Paris, 1905, p. 299.

zwłaszcza w latach wysiłków ku stworzeniu własnej epopei symbolicznej. Wtedy każda myśl stawała zaraz w postaci obrazu; obraz przybierał hieratyczne linie symbolu, a wyobraźnia rzucała nań kostyum strojny, zataczała dekoracye wokoło, nie zapominając nawet o drobnostkowych ozdobach: złoto, spiże i żelazo, zbroje, płaszcze szkarłatne i niebieskie sukienki księżniczek, konie, chorągwie, złociste galery, stare zamczyska obronne i pałace o złotych bramach, miasta wizyjne na wschodzie w cieniu palm i marmurowe arkady, — zorze poranne, jak stada białych gołębi i zachody purpurowe, niby jesień czerwona w winnicy,—pochody, procesye i cały wrzask bakchanalij... Wszystko to poeta wy dobył, odświeżył i rozłożył bogato, by jego marzenie przepłynęło z majestatyczną pompą snów królewskich. Kiedy się zmienił zakres tematów, zmieniła się także dekoracya. Roilo się wtedy od rudych faunów, nimf i syren złotowłosych; po jeziorach sunęły białe łabędzie, szemrały trzciny nadwodne, zawodziły fujarki. Z wikliny tryskały wielkie, naiwne oczy, ukazywały się cielska nieznanne i dziwaczne twarze, brody zielone i włosy różnych kolorów i odcieni. Wszystkie te zjawienia ukazywały się w jaskrawem, żarowem świetle jakiejś bajecznej panoramy.

Régnier operuje tylko obrazami. Kiedy jawia się myśl, nadciąga za nią obraz plastyczny. Myśl schodzi następnie w cień, a wyobraźnia pracuje tylko nad obrazem; stylizuje go, wzmacnia kolory, powiększa obraz czasem do hyperbolicznych rozmiarów i uwydatnia za pomocą antytezy. Obraz, hyperbola i antyteza— to zwyczajne drogi, któremi przechodzi każda myśl. Z biegiem czasu Régnier stwarza własną symbolikę obrazową, epitety i godła, których używa zbyt często. Myślenie obrazami staje się powszednim sposobem tak, że operuje nimi, jakby żywymi istotami. Dwie wrogie lub przyjazne idee biorą na siebie kształt plastyczny i odgrywają swoje role z taką ścisłością drobnostek i szczegółów, że wyobraźnia czytającego zadyszy się, biegnąc po tych ścieżkach krętych, maleńkich i zawrotnych. Nieumiarkowane obrazowanie sprowadza z jednej strony barok stylowy, a z drugiej wpada czasem w alegoryę, która mieszka o miedzę tylko od symbolu. Dopiero w ostatnich latach doszedł poeta do klasycznej równowagi.

*

*

*

Po roku 1895 przerzucił się Régnier do prozy i przeplatał zwyczajnie tom poezyj jednym lub dwoma tomami powieści. Napisał ich kilka, a nadto jedną komedię, *Skrupuły Sganarela*, która jest subtelnem i literackiem odtworzeniem komedyi XVII wieku. Wydał także jeden tom krytyki, *Postacie i charaktery*. Jest mnogość i różnorodność dzieł imponująca na wagę, jak u żadnego może ze współczesnych poetów. Ale nie trzeba w nich szukać konsekwentnego rozwoju myśli, której ogniwa się łączą i szczeblami podnoszą ku górze, jak u Verhaerena lub Maeterlincka. Trudno się nawet doszukać tej jednolitości psychicznej, która jest koniecznym warunkiem każdego wielkiego dzieła. Tematów jest wiele i rozmaitych, zbyt rozmaitych i często napotkanych przygodnie tak, że trudno nakreślić podskórną linię twórczości, a jeszcze trudniej uchwycić treść istoty samego twórcy i źródło jego woli do życia, gdzie się to wszystko rodzi, fermentuje i na zewnątrz wycieka. Nadaremnie natęża się myśl i podkopuje z rozmaitych stron, by zobaczyć plastyczne kontury jego portretu psychicznego. Przed oczyma przesuwają się zwykle postaci woskowe, jakby poza firankami z gazy, twarz bezkrwista i oko zamglone.

Właściwej twórczości Régniera, tej co wypłynęła samorzutnie z serca nabrzmiałego, należy szukać w poezji, a przedewszystkiem w cyklu środkowym poematów, w *Episodes, Poèmes anciens et romanesques* i *Tel qu'en Songe*. Tu jest miazga jego myśli i rdzeń pacierzowy całej istoty duchowej. Wtedy był prawdziwie twórczym i przez świadomość fizjologicznej łączności z przeszłym pokoleniem dążył do stworzenia własnej epepei. Przedtem ani potem nie znajdzie się nic podobnego. Ale ku jakim celom sunie ten pochód pompatyczny, z kim walka i czemu pogrom? Poeta nie określa tego nigdzie ani jednym słowem! Obracamy się na olbrzymich przestrzeniach. Są piaski, morza i wyspy, są łąki, lasy i krajobrazy egzotyczne, a wśród tej dekoracji odbywa się wieczna wyprawa po ukryte skarby do świętego miasta tajemnicy. Z jednej strony widać księżniczki po wysokich świetlicach pośród szmeru kołowrotek i nimfy, które czekają na rycerza, obiecanego od wieków; z drugiej jest rycerz, błędny wędrowiec i smutny kochanek tajemnicy. Jeździ od krańca do krańca po tych wielkich obszarach i raz rzuca się w egzaltacji za szlakiem wizyj dalekich, to znów wraca po wielkim pogromie wynędzniały i zmęczony na śmierć. Temat się nie zmienia; ciągle „aller et retour,“ podróż tam i z powrotem od życia realnego

do ideału, od kobiety do tajemnicy i od tajemnicy do kobiety. A że jedna i druga są, jak mówią, istotami kapryśnemi, podróż nie odbywa się bez przygód. Mamy więc podróż z przygodami i różne wariacje na ten temat; zmieniają się tylko szczegóły i akcesorya dekoracyjne. A jeżeli się uda podkopać pod te dekoracje egzotyczne, jeżeli się zedrze odświętne szaty i królewskie kostiumy symboliczne, pozostanie wewnątrz rusztowanie ideowe nad wszelkie oczekiwania szczuplutkie i słabe. Są dwie linie do siebie równoległe, podróż tam i z powrotem, a w samym środku maleńki złoty orzeszek: Tajemnica. Dogryziesz się do tego orzeszka i nie wiesz nic! Dopiero przy pomocy innych wiadomości i logicznych wywodów można się domyśleć, że to były wyprawy do siedziby istoty bytu drogami dyalektyki, idealizmu i intuicji artystycznej. Młodzieniec wierzył i szedł na jej zdobycie, ale poniósł klęskę, która była pogromem czystego idealizmu. Ale to wszystko jest tak ogólnikowe i tak ogólnie znane, że nie warto było może poświęcać mu tytuł wysiłków dekoracyjnej wyobraźni.

Później, kiedy Régnier nachylił się do pewnego ideo-realizmu, miał sposobność do bardziej szczegółowego ujęcia swoich myśli. Człowiek żyjący objawia swoją energię na zewnątrz udziałem w życiu zbiorowym. Może więc Régnier zajmuje się najważniejszymi sprawami życia społecznego? Nie. Może zaznacza gdzie mimochodem przywiązanie do jakiejś formy ustroju zbiorowego? Wcale nie. Może porusza go walka dogmatu i wolnej myśli, kościoła i państwa? Ani słowa o tem. Może dorzuca cegielkę w obronie najbliższego mu drobnoustroju, rodziny? I to nie. Daremnie szukać i opukiwać, bo to człowiek niemy na wszystko, co dotyczy spraw społecznych. A może opanowało go całkowicie zagadnienie życia indywidualnego w stosunku do wszechbytu? Czasem znajdzie się w jego książkach ostatnich wierszyk, który draśnie o naskórek zagadnienia—a jeszcze rzadziej ozwie się setne echo dawnej epepei. Niegdyś wyruszał przynajmniej jako świetny rycerz, Parsiwal i boży pomazaniec, na zdobycie Tajemnicy. Był wspaniały gest, zgraja namiętności i wielka wola do życia. Ale to wszystko znikło, jak znaki kredy zmasane jednym przesunięciem dłoni. Przeszło i zapadło się. Teraz rozchodzą się tylko cienie melancholii z tego dołu, w który runęły na proch skruszone nadzieje. Pesymista nie zbyt głęboki, Régnier nie ukochał nawet własnego smutku tak mocno, by stał się tragedją i racyą jego życia artysty.

Pisze jeszcze ciągle i wiele; pisze wrażenia, pejzaże, obrazki rodzajowe, echa myśli po nocy i drobne cacka liryczne, cyzelowane umiejętnie. Ale gdy się zważy i ściśnię w rękę te wiersze nabrzmiałe słowami, jak balony, widzi się ze strachem, że w dłoniach nie pozostaje prawie nic. Panuje tu niemal zupełny nihilizm duchowy w sprawach, które nazywamy celem i zagadką ludzkiego żywota. Mimo to — Régnier jest i pozostanie z pewnością poetą lirycznym wielkiej miary. Ale zdolności techniczne i dekoracyjna wyobraźnia nie dają mu, zdaje się, prawa, by stanął wysoko i królował nad całym pokoleniem poetów z końca XIX wieku. Niektórzy przyjaciele chcą go gwałtem podnieść w górę na puklerzach; a może lepiej byłoby pogodzić się zaraz z myślą, którą ujął dowcipnie jeden z panegirystów poety, pisząc lekki wierszyk od słów:

Régnier jestem, królować nie mogę.¹⁾

*

*

*

Cała twórczość Régniera cierpi na słabość myśli konstrukcyjnej, która powinna się rozwijać konsekwentnie wraz z postępowym rytmem życia. Nie chodzi tu o poetyczny wykład jakiego systemu politycznego lub społecznego. Sądzę jednak, że umysł poety winien przejąć i odbić w sobie jakąś zasadniczą część współczesnego mu życia, ukochać ją sercem, przeżyć i rozwielić, a wtedy poezja będzie znaczyła ogniwa ewolucyjne i linie przełomowe życia, którem kieruje myśl wyższa. Tak czynią Maeterlinck i Verhaeren — i dlatego dają w swoich dziełach syntetyczne odbicie życia przez okienko własnego mikrokosmu. Régnier nie posiada przedsiębiorczości umysłowej. Linia jego myśli waha się, nagina i załamuje, ale pod zewnętrznym naciskiem. W początkach da się to łatwo wytłómaczyć; ale później, kiedy ruch symbolizmu wstrząsnął — zda się — całą jego istotą, on zawsze idzie za innymi, pomaga im, ale zwykle przybywa już na

¹⁾ *Régnier suis, régner ne puis.*

końcu, by zasiąść do gotowej uczty. A potrafi bardzo umiejętnie kierować się po drodze utorowanej. Wyzyskuje po mistrzowsku wszystko, co dawał symbolizm, robi lepiej a przede wszystkim więcej, umie wypowiedzieć się piękniej i bogaciej, niż wielu z tych, co pierwsi stali na wyłomie. A kiedy się zawodzi w nadziejach, wycofuje się z najdalszych placówek na stanowisko pośrednie, ugodowe i dalej kroczy równoległym szlakiem tylko już pod czarnym baldachimem melancholii. Dzieło swoje zaszczerpił na gotowym pniu pewnego programu, rozłożył wszystko umiejętnie, przystroił, pozakrywał wstydliwie pustkę, by wyglądało suto i wystawnie. Dlatego Adolf Retté nazywa go — nie bez słuszności — oportunistą symbolizmu.

Przyczyną słabości logiczno-konstrukcyjnej dzieła — przy wielkich zdolnościach literackich i dekoracyjnej wyobraźni — jest brak umiłowania jakiejś żywiołowej formy życia, co daje zapał i wolę do czynu. Régnier niczego nie ukochał tak gorąco, by mógł za nie walczyć, a nawet się poświęcić. Stoi w pewnej mierze za nawiasem życia zbiorowego, jako potomek rodzin dawnych, którym wytracono miecz z dłoni.

Niemi goście na tarasach dożywania...

Iść przeciw wodzie byłoby szaleństwem; zupełnie się pogodzić nie chce, czy nie umie. Podcięty jest niejako u korzenia życia. Dlatego przez jego poezję nie przepływa uczucie tak gorące, by gwałtem porywało za sobą, budząc głębokie wzruszenie, nienawiść lub zapał. Dzieło Régniera jest anemiczne, jak temperament potomka dawnych rodów, które się wyczerpały i dożywają w cichości. Takim ludziom pozostaje w życiu kobieta, sport, a wyjątkowo sztuka. Régnier jest artystą; a ponieważ znajduje się w dogodnych warunkach życiowych, pozwala się kołysać drobnym rozkoszom artystycznym z dnia na dzień mile i bez troski. Jest delikatnym sybarytą literackim, jakich tworzy konsekwentnie stosowana w życiu teoria „sztuka dla sztuki.“

Nic dziwnego, że w tych warunkach forma i technika wysuwają się na pierwsze miejsce. Z roku na rok treść staje się uboższą, coraz bardziej nikłą i prawie podrzędną. Régnier rzuca się na „eksperymenta literackie;“ szuka i wybiera takie tematy, gdzie ma do pokonania wielkie trudności techniczne. Rzeźbi sobie „medaliony gliniane,“ układa napisy na różne bramy miasta, albo opowiada piękności Wersalu w trudnej formie sonetu. Poeta staje się „literatem,“ który żongluje słowem jakby dla pokazu.

Ale i to nawet okazuje się zbyt łatwym i powszednim; dlatego wyszukuje tematy niezwykle, formy jak najwytworniejsze i wpada w przesubtelnienie. Bawi się brzękiem słowa, pisze sobie jakby od niechcienia drobne wierszyki, sonety i obrazki, wypieszczone delikatną dłonią kobiecą. Rzeźbi je i cyzeluje, aż się zamienia w małe arcydziełka, pozbawione zupełnie tego wiewu i poszumu, jakie zostawia za sobą życie pełne, z ducha i z ciała. A kiedy się przegląda te cacka miłe, jak miniaturki ustawione szeregiem w jakiejś galeryi sztuki, ma się ochotę zawołać:

Zonglerze niezrównany, bądź pozdrowion!

J. SZAROTA.

W sprawie filozofii sztuki.

I.

Co to jest właściwie filozofia sztuki czyli estetyka?

Pytanie to może się wydać na pierwszy rzut oka trywialne lub zbyt proste. Lecz trywialność ta i zbyt prosta zanikają z chwilą, gdy przypomnimy sobie, że żyjemy w czasach, w których kwestyonuje się wciąż jeszcze rację bytu wszelkiej filozofii wogóle, a tem samem także filozofii sztuki. Toć epoka tuż przed nami była par excellence niefilozoficzną. Po upadku wielkiej spekulacji idealistycznej w pierwszej połowie XIX wieku, zmieniło się w dziedzinie filozofii do niepoznania. Ponieważ idealizm nie zdołał ziszczyć *wszystkiego*, co obiecywał, potępiono go radykalnie. Zapomniano, że ziszczył bądź co bądź bardzo wiele. Niebawem rozkwit nauk przyrodniczych spotęgował nadto tę reakcyę antifilozoficzną. Empirya stała się hasłem ogólnem, alfą i omegą mądrości ludzkiej.

Myśl ludzka przerzuciła się ze szczytów spekulacji na drugi skrajny biegun, gdzie zapanował wszechwładnie materializm i pozytywizm. Zaś dla *wszystkiego* tego, co stanowiło dotąd dumę i chlębę filozoficznych wysiłków, stworzono jako surogat nowy... *termin*, który miał jakoby raz nazawsze pogrzebać wszelkie rojenia filozoficzne, mianowicie termin agnostycyzmu. Co przekraczało kompetencyę empiryi, co wychylało się ponad gołosłowne stwierdzanie faktów i ich prawidłowości, uznano za *niepoznawalne*, a tem samem za niegodne dociekań naukowych. Filozofię zdegradowano do igraszki rozmarzonych poetów.

Dowodzić chyba niepotrzeba, że takie jednostronne uwielbienie „mędrca szkiełka i oka“ — musiało pogwałcić i spaczyć

wszystko, co właśnie oku i szkiełku mędrca nie podpada. Musiało pokrzywdzić całą dziedzinę mickiewiczowskiego „czucia“, będącą dziedziną filozofii katexochen. A ten gwałt i ta krzywda, to nic innego jak grzech przeciw duchowi kultury ludzkiej. By przewidzieć, że takie grzechy się mszczą, nie potrzeba być prorokiem, czyli namaszczoneym znawcą przyszłości. Starczy jakie takie znawstwo przeszłości. Dzieje uczą, że duch zawsze dotąd łamał narzucone mu więzy. Więc chyba wnioskować nam wolno, że pono zawsze tak będzie. A dzisiaj, w chwili obecnej, nawet już wniosku takiego nie potrzeba. Można stwierdzić z łatwością empirycznie, że pozytywistyczna udreka ducha poczyna się chylić ku upadkowi. Poprzez stopy faktów i facyków poczyna przeświecać promienne, boskie, niewytępialne oblicze ducha.

Toć — by wskazać tylko na momenty najznamienniejsze — w Niemczech rozbrzmiewa coraz donośniej hasło odwrotu od pozytywizmu a powrotu do idealizmu i to do idealizmu najsakrajniejszego, niedawno, jako zupełnie nienaukowy, usuniętego z państwa nauki—do idealizmu Schellingów i Hegłów. Do dzieł tych myślicieli nie zaglądał przez przeszło pół wieku prawie nikt, prócz zawodowych historyków filozofii. Dzisiaj poczynają one znajdować nietylko nakładców, lecz, co ważniejsze, i czytelników. I ze zdumieniem spostrzega się, że dzieła te nie są bynajmniej takie zagmatwane, ciemne i wprost niedorzeczne, jak głoszone przez pół wieku. Kto zaś baczniej się przyjrzy, znajdzie nawet niejedną jasną odpowiedź na niejedno ciemne pytanie, które go niepokoilo, a którego rozwiązania daremnie u pozytywistów poszukiwał.

Lecz ruch ten nie ogranicza się na szczęście na samych Niemczech. Powtarzam—na szczęście. Sam fakt, że Niemcy wracają dzisiaj do swej własnej idealistycznej filozofii, nie byłby bowiem jeszcze dostatecznym argumentem. Tem więcej, że epoka pozytywizmu uczyla pogardy szczególnie dla filozofii niemieckiej. Otóż ruch ten można już dzisiaj nazwać europejskim. Szczególnie silnie bije on w dwóch krajach, w których pozytywizm niedawno był święcił maximum swego tryumfu, mianowicie we Włoszech i Francji. We Włoszech rozkwitają wzmożonem życiem nietylko idealistyczne tradycje. Lecz obok tego wyrósł szereg młodych, samodzielnych filozofów. Z pośród nich wysuwa się na pierwsze miejsce neapolitańczyk Benedetto Croce. Croce nawiązuje wprawdzie do Hegla. Mimo to posiada dość siły, by się wznieść ponad niego i by stworzyć własny, oryginalny system metafizyczny.

Lecz specjalnie silnie błyszczący światło metafizyki we Francji, za sprawą Henryka Bergsona. James powiedział, że Bergson jest najgłębszym myślicielem od czasów Kanta. I bezwątpienia jest on nie tylko najwybitniejszym z żyjących filozofów, lecz jest także prawdziwym filozofem. Bergson ma odwagę filozofować tak, jak filozofowali Platon, Plotyn i Hegel. Tworzy on swój system ode dna swej duszy. Przystępuje do każdego zagadnienia bezpośrednio niemal, tak, jak gdyby zagadnienie to nie było jeszcze wogóle dotąd istniało. I choć naturalnie większa część jego dociekań nie jest absolutną nowością, choć nie trudno u niego wykazać pierwiastki Plotyna, Schellinga lub Avenariususa, to jednak wyniki te są w formie, w jakiej on je daje, zupełnie oryginalne. Nie są od tych myślicieli przejęte, tylko własną pracą myślową, na podstawie własnych założeń uzyskane. W Bergsonie doczekaliśmy się nareszcie filozofa prawdziwie z Bożej łaski. Nie tylko gromadzi on i chłonie w siebie fakty, których mu dostarcza nauka, lecz przerabia je samodzielnie i odbudowuje z nich, poniekąd ab ovo, cały świat.

Naturalnie ludzie tej miary budzili zawsze i budzić muszą silną opozycję. Nauka wykaże bowiem w każdej chwili z łatwością cały szereg prawd, które się w całokształcie myśli bergsonowej, czyli w jego prawdzie, nie mieszczą. Lecz mimo to znaczenie takiego zjawiska, jak Bergson, nie maleje. Bo choć w ten sposób spaczonych i pogwałconych zostaje cały szereg poszczególnych prawd, to jednak, jakby na odkupienie tego grzechu, ostaje się ta jedna wielka, ogólna prawda, którą jest—życie wielkiego systemu metafizycznego. I właśnie życie tej prawdy, życie wielkiego systemu metafizycznego, poczętego ode dna ducha, wpatrzonego we własną głębię i żyjącego tylko dla siebie—właśnie takie królewskie, autonomiczne oparcie się myśli ludzkiej o samą siebie, szczególnie zdolne jest zapłodnić kulturę ludzką nowymi wartościami i dać pożywienie duchowi na lat setki, a nawet na lat tysiące. Wspomnijmy tylko Platona. Że jego genialna koncepcja absolutnie bytujących idei urąga wszelkiemu doświadczeniu, że niczego, prócz wiary w nią, ku jej poparciu przytoczyć nie można—o tem wiedział już doskonale jego bezpośredni uczeń Arystoteles. Nie szczędził on też mistrzowi swemu niejednej cierpkiej uwagi, mimo że ludzi się niepodobna, iż bez idei platońskich nie byłoby Arystotelesa. A jak wiadomo, idee platońskie mimo to swego znaczenia dla kultury ducha najzupełniej nie straciły. Przypomnijmy sobie choćby ważniejsze momenty. Najpierw odżyły w Plotynie i neoplatonikach i zapłodniły kulturę

aleksandryjską. Potem posłużyły jako jedne z cegieł do gmachu chrześcijańskiej filozofii, przedostawszy się pod formą uniwersalij do scholastyki. Później, w epoce Odrodzenia, rozsiewała akademia platońska, ufundowana przez Medyceuszów, swe blaski na sztukę i kulturę włoską. Wreszcie odżyły one nanowo w wieku XIX głównie za sprawą Schopenhauera, który je zaszczerpił na gruncie kantowskim. Zaś wpływ Schopenhauera na współczesną kulturę artystyczną jest po dziś dzień niezaprzeczalny. Dość przytoczyć Wagnera i Nietzschego.

Ten przykład platoński jest wielce nauczający. Wskazuje bowiem, jaką postawę należy zajmować wobec prawdziwie wielkich koncepcyj filozoficznych, by ich nie ukrzywdzić i by ich znaczenie prawdziwie ocenić. Im większy i wspanialszy jest system metafizyczny, tem staje się z natury rzeczy jednostronniejszy, bo tem energiczniej grupuje wszelkie fakty pod własnym sztandarem. Nie trudno go tedy *zbić*, osaczywszy się murem opornych faktów. Lecz za to tem trudniej go *zabić*, gdyż ostaje się przy życiu własnym rozpędem, kształtując i zapładniając kulturę ludzkości. Przykładając więc inną miarę do wielkich wysiłków myśli filozoficznej, poprostu nie dojdziemy z nimi do ładu. Nędzne szkielecko i oko ukaże setki braków i niedoborów. A rzeczywiste ich znaczenie dla kultury ducha rozplynie nam się wówczas pod palcami.

O tem nie trzeba zapominać, zbliżając się do współczesnej myśli filozoficznej, budzącej się z półwiekowego pozytywistycznego zahypnotyzowania. Wobec krytyki pozytywistycznej ona się nie ostoi. Boć wobec tej krytyki dotąd jeszcze żadna filozofia się nie ostała. Natomiast rozżarza się płomień jej żywotności u podwoi ducha—gdyż zaspakając poczyna tęsknotę ducha za sobą samym. Niesie mu w darze nowe wartości, zaczerpnięte z jego własnego wnętrza, a nie z heteronomicznej mu sfery doświadczenia, które jest zawsze bądź co bądź tylko innobytem ducha, jak tak pięknie wyraził się Trentowski. Tylko pomnąć to wszystko, zdołamy sprawiedliwie ocenić zjawiska takie, jak Benedetto Croce lub Henryk Bergson.

Także i u nas poczynają się ukazywać przebliski tego ruchu prawdziwie filozoficznego. Niestać nas wprawdzie jeszcze na samodzielnych myślicieli, dorównujących Bergsonowi lub Crocemu, lecz mimo to nie należy załamywać z rezygnacją rąk i powtarzać sobie ku pociesze ów smutny frazes, zrodzony w erze pozytywistycznej, że jesteśmy narodem *par excellence* niefilozoficznym. Toć mieliśmy Trentowskich, Śniadeckich, Hoene-Wrońskich

i Cieszkowskich. Choć więc narazie nie wydajemy jeszcze dość myśli polskiej, by naszą polską duszę napełnić nią po brzegi, to jednak budzi się w nas odczucie, że nam takiej myśli potrzeba. Ponieważ nie zadawalają nas wyniki naszej *teraźniejszości*, przeto zwracamy się z impetem ku *przeszłości*. Symptomatów możnaby przytoczyć niemało. Wspomnijmy choćby cały ten ruch, grupujący się koło Słowackiego. Toć najgłębszy jego utwór „Król Duch“ dopiero dzisiaj staje się nam zrozumiałym. Nie dlatego, żeśmy się nim dopiero teraz gruntownie zajmować zaczęli — lecz dlatego, że dopiero dzisiaj zatęskniliśmy za nim prawdziwie. Ze zdumieniem spostrzegamy, że Słowacki, to rozmarzone i nieraz tak rozkapryszone dziecię liryki, jest głębią, jest oceanem. Jego koncepcya duchów indywidualnych, bytujących od prapoczątku i lepiących sobie formy zmysłowe, rozprowadzona po przez dzieje ludzi aż do chwili współczesnej, jest najzupełniej godną stanąć obok systemów mistycznych Jakóba Boehmego lub Schellinga. Słowacki myśliciel — i to genialny myśliciel, urodził się nam dopiero dzisiaj. Pokolenie przed nami nic o tem nie wiedziało i wiedzieć nie chciało, bo mu *takiego* Słowackiego nie było potrzeba. Dopiero my załaknęliśmy *takiej* mądrości, przeto znaleźliśmy sobie odrazu jego, jako tej mądrości głębokie a misterne naczynie.

Towarzystwo Filozoficzne w Krakowie zainauguowało szereg odczytów o naszej narodowej filozofii. I to jest również nie tylko faktem, lecz także symptomatem. Boć ostateczną sprężyną nie jest tutaj tylko ciekawość filologiczna lub historyczna, ani tylko dług wdzięczności splecany (tak późno) wobec naszej przeszłości. Przecież na to wszystko mogła się była wysilić epoka przed nami, a jednak się nie wysiliła. Jeno rzeczywistą sprężyną jest ufne rozpoznanie, że tam, u tych zapomnianych, kryją się całe światy myśli, które może nie są zdolne *wypełnić* nam nasz świat, lecz w każdym razie zdolne są go *zapłodnić*. Nareszcie przestajemy niewolniczo powtarzać ów nieszczęsny frazes o nie-filozoficzności naszego narodu. Poczynamy wierzyć w możność myśli filozoficznej polskiej. Z takiej wiary jedynie może się urodzić nasz filozoficzny czyn.

I jeszcze jeden dowód. Otóż tak skromnie i tak trwożliwie powołany do życia przed kilkunastu laty w Warszawie „Przegląd Filozoficzny“ nietylko rozwinął się świetnie, ale właśnie obecnie okazał się nawet za ciasnym. Przeto powstało we Lwowie nowe pismo i to miesięczne, które obok i ręką w rękę z „Przeglądem Filozoficznym“ będzie krzewiło myśl filozoficzną u nas. Otóż nazbierało się u nas już tylu pracowników, że dla ich prac jedno

pismo nie wystarcza. Jakie dziesięć lat wstecz byłoby się to słuszenie wydało fantastyczną mrzonką. Koniec końcem także i u nas poczyna odzyskiwać filozofia znaczenie, jakie niegdyś posiadała.

Powyższych kilka uwag może się wydać odbiezeniem od tematu. Wyszliśmy od prostego pytania: co to jest filozofia sztuki? a wpłynęliśmy na pełne wody współczesnej filozofii. Mimo to było nieodzownem kwestyę tę odrazu tak a nie inaczej postawić. Filozofia sztuki jest bądź co bądź zawsze filozofią. A jaką filozofię się posiada, taką też filozofię sztuki wyznawać się będzie. Uczą o tem dobitnie dzieje estetyki. Właśnie najwspanialsze i najplodniejsze systemy estetyczne były ściśle zależne od całokształtu filozoficznych przekonań odnośnych myślicieli. Filozofia idei zrodziła estetykę Platona, a filozofia ducha estetykę Hegla. Przeto koniecznem jest przy rozpatrywaniu filozofii sztuki terażniejszości zdać sobie sprawę z intencyj filozoficznych doby obecnej. Przecież wątpliwości nie podlega, że wzmożone tętno filozoficzne musi powieść za sobą spotęgowanie i pogłębienie filozofii sztuki.

Naturalnie w epokach prawdziwie filozoficznych, w czasach Platonów, Plotynów lub Hegłów, byłoby takie stwierdzenie, że filozofii sztuki wolno także być filozofią, wprost trywialnością, noszeniem sów do Aten. Rozumiało się wówczas, samo przez się, że badanie piękna nie może się zadowolić samem wyświetlaniem empirycznych jego objawów, lecz że musi być nadto organicznie zrośniętem z całokształtem myśli filozoficznej. Natomiast dzisiaj, w chwili, która jest dopiero pierwszym krokiem ku erze prawdziwie filozoficznej, stwierdzenie takie jest nie tylko usprawiedliwione, lecz wprost konieczne.

II.

Filozofię sztuki musimy wziąć w obronę jeszcze przed atakami z zupełnie innej strony, może najmniej oczekiwanej, mianowicie przed atakami artystów. Otóż artyści odnoszą się naogół do estetyki niechętnie i w części odmawiają jej wszelkiej racji bytu.

W sprawie tej starczy kilka słów—gdyż polega ona na prostem nieporozumieniu. Artyści widzą zazwyczaj w estetyce straszaka, który im zagraża narzucaniem kagańca norm na ich twór-

czość. Wydaje im się poprostu, że estetyka jest na to, by im tworzyć przepisy. Że się nieraz tak działo, nie ulega wątpliwości. Lecz że się to wówczas fałszywie i mylnie działo, jest również niewątpliwem. Estetyka bada piękno, usiłuje je zrozumieć i zgłębić, lecz najzupełniej nie kusi się o to, by pięknu narzucić jakieś urojone a wszechzbawcze prawidła. Estetyka stwierdza tylko warunki, w których dany utwór rąk ludzkich jest pięknym, lecz zdaje sobie doskonale sprawę, że owe stwierdzone w dziejach sztuki warunki nie są bynajmniej jedynymi, absolutnymi. Owszem, estetyka liczy się z faktem, że każda nowa twórczość stwarza nowe warunki dla piękna. Bynajmniej nie usiłuje wyłuskać jakiegoś kanonu form, według którego artysta postępować powinien, pod utratą artystycznego zbawienia. Estetyka wie dobrze, iż odmienna kultura stwarza odmienne formy artystyczne, że piękno Giotta a piękno francuskiego impresjonizmu dzieli całą przepaść. Lecz najzupełniej nie przesądza, by jedno lub drugie piękno było lepsze lub doskonalsze. Od ustalenia norm powszechnie obowiązujących chroni się estetyka jak od ognia. Przeto musi każda estetyka, która to czyni, t. zw. estetyka normatywna, uleść zasadniczym trudnościom. Że artyści od takiej estetyki stronią, jest więc zupełnie słusznem. Cały ich instykt artystyczny wzdryga się przeciw temu. Prawdziwy artysta zdaje sobie doskonale sprawę, że twórczość jego nie podlega żadnym estetycznym przepisom, że jest wolna i autonomiczna. Czuje, że raczej on stwarza dla estetyki nowe wartości, nie zaś, że czerpie je od niej. Natomiast błędzą artyści, sądząc, że normowanie jest alfą i omegą estetyki wogóle. Lecz fałszywy ten pogląd nie jest już chyba winą estetyki, tylko winą niedostatecznej jej znajomości.

Naturalnie nie wypływa stąd, byśmy od artystów wymagali znajomości estetyki. Obywali się oni bez niej naogół doskonale. Więc zapewne i nadal tak będzie. Lecz, jak wiadomo, nie brak wyjątków i to wielce charakterystycznych. Otóż artyści, zajmujący się estetyką, popadali właśnie w ów zasadniczy błąd, przeciw któremu ogół artystyczny tak energicznie się broni. Ustanowili mianowicie ogólne, wszechobowiązujące normy dla piękna. Mistrz tej miary, co Polyklet, kusił się z cyrklem i miarą w ręku o kanon piękna postaci ludzkiej. Leonardo da Vinci wierzył w szczególną moc trójkątu. Hogarth upatrywał w linii węzowatej i falistej linię piękna katexochen. Wobec estetyki, uprawianej przez artystów, należy więc być szczególnie podejrzliwym. Bo koniec końcem twórczość a filozoficzne dociekanie nad twórczością—to dwie dziedziny heteronomiczne. Organizacya, o wład-

nięta rozpędem twórczym, z natury rzeczy mało będzie skłonna do mozolnych analiz, nieodzownych w teorii twórczości.

Niechaj więc artyści przedewszystkiem tworzą. Filozofii sztuki przez myśl nie przejdzie dawać im przepisy. Zadowolona i szczęśliwa ona będzie, gdy uda jej się odsłonić rąbek tej dziwnej, tajemniczej czynności, której wypływem są dzieła sztuki. Że przeciw takiej estetyce żaden artysta protestu nie podniesie, dowodzić chyba nie potrzeba.

Teraz wyłania się samorzutnie dalsze pytanie: co jest właściwie przedmiotem filozofii sztuki? Odpowiedź brzmi: naturalnie sztuka. Lecz cóż to jest właściwie sztuka? Znamy ją wszyscy i zachwycamy się nią. Lecz z chwilą, gdy pragniemy zdać sobie sprawę, co jest istotą, swoistą cechą naszego zachwytu — odczuwamy zakłopotanie. Wyposażonym w smak estetyczny nie trudno orzec, co do sztuki należy lub nie należy. Lecz jasne określenie, czemu dana rzecz do sztuki należy lub nie należy, jest sprawą niełatwą. Okoliczność ta jest wprawdzie wielce zwykłą, lecz mimo to wielce dziwną. O sztuce mówi się, mianowicie dzisiaj, niemało. Prawie każde pismo codzienne darzy nas często i gęsto wywodami o sztuce. Do recenzyj artystycznych czuje się powołanym niemal każdy. Lecz mimo tych hekatomb papieru i czerwidła, poświęcanych tak szczodrobliwie na ołtarzach sztuki, jest rzeczywisty rezultat wielce nieszczególny. Jasnych definicyj, jednoznacznych określeń napotyka się bardzo niewiele. Zazwyczaj nie napotyka ich się wogóle. Jako surogat, słyszy się wciąż słowo: sztuka—słowo tak giętkie i wygodne. Wziąwszy na chybił trafił do ręki byle recenzję artystyczną, przekonać się można łatwo, że — o ile to naturalnie nie będzie szczęsnym wyjątkiem — z wywodów autora ani bezpośrednio ani pośrednio nie wynika, co on właściwie przez sztukę rozumie, mimo że wyrazem sztuka hojnie szafuje i bezwzględnych wyroków artystycznych nam nie skąpi.

Okoliczność ta jest, powtórzyć warto, w wysokim stopniu zdumiewająca. Możliwyby się z nią wprawdzie załatwić energicznie, od jednego roznachu — darząc autorów tego kroju mianem ignorantów. Lecz postawa taka byłaby conajmniej wielce ryzykowną. Raczej rzeczą naszą jest poszukać przyczyn tego dziwnego zjawiska. Może przyczyny te leżą nieco głębiej, aniżeli na pierwsze wejrzenie się wydaje? Otóż zazwyczaj uważamy jakiegokolwiek zjawisko za dostatecznie wyświetlone, gdy uda nam się zamknąć je w jednolitej, jednoznacznej formule. Gdy nie napotykamy tedy w sprawach sztuki zazwyczaj takiej formuły, nasu-

wa się pytanie, czy istota sztuki da się wogóle zawrzeć w jednej jedynej formule, czy, innemi słowy, nie potrzeba tutaj miast jednej może całego szeregu odpowiedzi?

W cyklu „Paulina,” pióra Piotra Altenberga, słyszymy następującą rozmowę. On czyta i interpretuje poezye Stefana George. Paulina mówi:

— Jak to pan dziwnie tłumaczy. Właściwie pan jest poeta, a nie Stefan George.

— Tak, ja jestem poeta.

— A czem jest tedy Stefan George?

— Także poeta.

— A czemże ja jestem?

— Także poeta. Otóż *my troje razem* jesteśmy poeta.

Instykt artystyczny Altenberga ugodził tutaj w samo jądro rzeczy. Zastanowiwszy się choć pobieżnie, musimy mu bezwzględnie przyklasnąć. Przyjrzyjmy się Wenerze z Milo lub Hermesowi Praksitelesa. Obie statuy są, jako takie, niczem więcej jak obciosanemi bryłami marmuru. Dziełami sztuki stają się one nam z dwóch powodów. Najpierw odczuwamy, że są wpływem artystycznej czynności ich twórców. Powtóre formy ich budzą w nas szereg wrażeń, wyobrażeń i uczuć, dzięki którym zamieniają nam się te martwe bloki właśnie na Wenerę i Hermesa.

Artysta, dzieło jego rąk i widz—oto trzy fundamentalne momenty, domagające się w całej pełni uwzględnienia, by dać odpowiedź na tak proste pytanie: co to jest sztuka? System estetyki dzieli się tedy organicznie na trzy części. Po pierwsze: wypatrywanie twórczej czynności artysty. Po drugie: badanie utworu jego rąk, czyli dzieła sztuki. Po trzecie: analiza wrażeń, jakie utwór na nas sprawia. Widzimy tedy, że nieco trudno tutaj o jedną jedyłą formułę, określającą dostatecznie istotę sztuki. A nawet nieco trudno w każdej z tych trzech dziedzin z osobna o jedną a dostateczną odpowiedź. Koniec końcem—bez *szeregu* odpowiedzi niczego w sprawach sztuki począć nie można.

Naturalnie odpowiedzi te nie mogą być heteronomicznemi. Raczej spodziewać się możemy i musimy mniejszej lub większej ich konwergencji ku jednej wytycznej. Bezwzględna ich heteronomia wytworzyłaby naturalnie tylko chaos, miast organicznego systemu. W każdym systemie, a więc także w estetycznym, winny być wszelkie elementy wewnątrznie z sobą połączone. Lecz z drugiej strony nie wiele więcej ponad konwergencyą spodziewać się można. A w tem zawarte jest poważne niebezpieczeństwo dla estetyki. Ujawniło się ono szczególnie silnie w ostat-

nich czasach. Z faktu, że istota piękna nie da się zamknąć w *jednej* formule, wyciągnięto zbyt pochopnie wniosek, że nie da się ona zawrzeć w *żadnej* formule. Konsekwentnie przeprowadza ten pogląd Dessoir, autor doskonałego zresztą podręcznika estetyki. Mylność takiej postawy nie ulega wątpliwości. Tak pojęta estetyka wieździe bowiem niechybnie do sceptycyzmu. Tem samem skazuje się samochcą na ową jałowość, nieodzownie złączoną z każdym sceptycyzmem. Pozatem sprzeciwia się to rzeczywistemu stanowi rzeczy. Z niemożliwości jednej formuły żadna logika nie wydedukuje niemożliwości żadnej formuły. Ilustruje to najlepiej przykład samego Dessoira. Po wydaniu swej książki zoryentował się w niebezpieczeństwie własnego poglądu i ogłosił artykuł, w którym broni się energicznie przeciw zarzutowi sceptycyzmu w estetyce.

Filozofia sztuki musi tedy wyczerpująco zbadać te trzy fundamentalne dziedziny zanim odważy się na ostateczną decydującą odpowiedź pytania: co to jest sztuka? Na pierwszym miejscu stoi problemat twórczości. Dociekania te są z natury rzeczy psychologicznemi. Co się dzieje w duszy artysty, gdy tworzy? Jaka rola przypada fantazyi, jaka naśladownictwu w procesie twórczym? Stąd wyłania się w dalszym ciągu kwestya stosunku artysty do rzeczywistości, do przyrody i kwestya psychologii samego artysty. Czem i w jakim stopniu różni się umysł twórczy od nietwórczego? Jaką organizację posiadać musi, by tworzyć? Normalną, czy, jak to się dzisiaj tak często słyszy, wkraczającą już w sferę patologiczną?

Poznawszy istotę twórczości, łatwiej już możemy oryentować się w wypływie twórczości, w samym dziele sztuki. Gdyż wówczas ma się przynajmniej to jedno pewne, niezawodne kryterjum w ręku. Dzieła, nie wykazującego znamion twórczości, do sztuki bowiem nikt nie zaliczy. W ten sposób zbliżamy się coraz więcej do istoty piękna artystycznego, którego sama cecha twórczości naturalnie nie wyczerpuje. Wyświetliwszy dalsze obiektywne cechy piękna, zyskujemy zrozumienie jego modyfikacyj i kategorii. I wówczas dopiero zrozumiała się stanie swoista natura wrażenia, jakie sztuka na nas sprawia. Gdyż dopiero wówczas można te właśnie wrażenia odróżnić od wszelkich innych wrażeń, wywoływanych przez rzeczy, nie posiadające przedmiotowych cech piękna. Do pogłębienia empirycznych badań nad przedmiotową stroną piękna służy wreszcie rozpatrzenie genezy sztuki, sztuki ludów pierwotnych i dziecka. A stąd wyłania się w dal-

szym ciągu poznanie znaczenia i stanowiska sztuki w życiu kulturalnem ludzkości.

Dopiero przebiegłszy te wszystkie tak różnorodne dziedziny, uchwyciwszy życie sztuki w całej jego prawdzie, można pokusić się o włączenie jej życia w życie wogóle, o włączenie filozofii sztuki w filozofię wogóle. Że droga ta jest ciernistą i długą, jasnym chyba jest aż nadto. I może nigdy frazes: *ars longa vita brevis*, nie posiada tyle znaczenia, co wówczas, gdy przystępuje się do filozoficznego zgłębienia sztuki. Lecz ku otusze niechaj służą słowa jednego z największych filozofów sztuki, Platona. Mimo pełni poczucia swego boskiego geniuszu, nie zawahał on się wypowiedzieć tak skromne a tak właśnie w jego ustach kojąca zdanie: Piękno jest rzeczą trudną—*γαλᾶ τὰ καλὰ*.

MICHAŁ SOBESKI.

Z niewydanych utworów M. Konopnickiej.

PSAŁTERZ DZIECKA.

Za rodziców.

.....

Bym anielskiemi umiał mówić słowy,
By się z słów moich rajske wiły kwiatki,
Kiedy najdroższe polecam Ci głowy:
Ojca i matki!

Jak drobny kłosek pod słońca promieniem
Wyrasta w ziarno do plonu, do życia,
Tak ja z ich miłem na ustach imieniem
Rosłem z powicia.

Co wiem, czem jestem, co myślę, czem żyję,
Wszystko mi przez nich objawia Twą chwałę,
Źródło miłości z ich serca mi bije,
Na życie całe!

Gdy ojciec dla mnie o kęs walczy chleba,
Gdy matki błysnie uśmiechem twarz blada,
Wtedy Twój, Panie, z błękitów gdzieś, z nieba,
Cień na mnie pada...

Wtedy to chciałbym skrzydłami lotnemi
 Za Twoim wielkim podążać przykazem,
 Wtedy to czuję, że oni na ziemi
 Twoim obrazem!

O, chroń mnie, Panie, bym kiedy złym czynem
 Miał ich zasmucić, zasepić im czoła!
 O spraw, niech czują, że dałeś im synem
 Swego anioła!

W smutku.

I drobne kwiecie płacze łzami rosy,
 I drobne serce boleść uczuć może...
 Smutno ja dzisiaj poglądam w niebiosy,
 Mój Boże!

Mówią, iż życie ciernista jest droga,
 I że niezawsze przyświeca jej zorze...
 Ale ja ledwo odchodzę od proga,
 Mój Boże!

I jestem jeszcze, jak pisklę bezpióre,
 Co ostrych wichrów wytrzymać nie może...
 Osłoń mnie od nich! Odegnaj złą chmurę!
 Mój Boże!

Idę i płaczę, jak idą sieroty,
 W ciemności błądzę, i sercem się trwożę...
 O, niech mi znowu zabłyśnie świt złoty,
 Mój Boże!

Za rodzinną wioskę.

Wyjdę i klękę na progu mej chaty,
 I głos podniosę z ptaszęty polnemi:
 Błogosław, Boże, te łąki, te kwiaty,
 Tę skibę ziemi!

Skowronki Twoje puść nad nią zaranne,
Zbudź nam oraczy, gdy dzionek zaświta,
I ros perłowych daj polom tym manę,
Gdzie wschodzą żyta!

Cichą pogodę na nasze spuść strzechy,
Niechaj nam słońce nadziei zaświeci,
I niech ojcowie zażyją pociechy,
Patrząc na dzieci!

Tyś sam w mem sercu zaszczerpił kochanie
Dla rodzinnego zagona i gniazda.
O, niech im wszędzie, mój Ojcze i Panie,
Twej łaski gwiazda!

Ten jeden zakąt w Twych światów przestworze
Umiłowałem siłami wszystkimi...
Wysłuchaj głos mój, błogosław, o Boże,
Tę skibę ziemi!

○ światło.

Mówią, o Panie, że pielgrzymom świętym,
Gdy idą nocą w ciemności i trwodze,
Złotym promieniem od gwiazdy odjętym
Przyświecasz w drodze.

Anioł przed nimi tę niesie pochodnię,
Do białej lilii zatkniętą kielicha,
A oni święci i boży przechodnie
Modlą się zcicha.

Aż ocknie jeden i drugi, i trzeci
Z dumań o Tobie i z szeptu pacierzy,
I ujrzy lilię, co idzie i świeci
W pustej trzebieży.

I na kolana upadnie, i drżące
Ręce ku Tobie podniesie, o Boże,
Coś stworzył gwiazdy i księżyc, i słońce,
I złotą zorzę.

I ja tak, Panie, w ciemności tu stoję,
I szukam drogi, i patrzę dokoła...
O, zeszliz Ty mi Twojego anioła,
Daj światło Twoje!

Jak w kielich lili, tak zamknij w me serce
Promień Twej gwiazdy, Twych blasków odbicie,
A będę wierny tej Bożej iskierce
Przez całe życie!

W skrusze.

Jeślim obraził, jeślim Cię zasmucił,
Jeśli niebacznie odbiegłem od Ciebie,
Wyciągnij dłoń swą, ażebym się wrócił,
Ojcze mój w niebie!

Dziecko ja Twoje! Choć słabe, niekarne,
Choć się z Twej ścieżki odbiję w bezdroże,
Ku Tobie wołam, ku Tobie się garnę,
Przebacz mi, Boże!

Obmyj mą duszę, wróć serce mi wolne,
Niech znów Ci śpiewam pieśń chwały radosną,
Niech będę czysty, jak lilje te polne,
Co w niebo rosną!

Otrząśnij skrzydła Twojego anioła
Z ziemskiego pyłu i z ziemskich dróg błota,
I niech mu znowu zabłyśnie u czoła
Gwiazda Twa złota!

Modlitwa sieroty.

Idą dzieci, niosą kwiatki,
W dom rodzinny, w miłe wrota...
Lecz ja nie mam ojca, matki,
Jestem sierota!

Matka gładzi włos u czoła,
Ojciec o chleb się kłopotą...
Ale na mnie nikt nie woła,
Bo ja sierota!

Uścisk matki ze snu zbudzi,
Ojca uśpi je pieśczęta...
Ja wśród obcych żyję ludzi,
Bom jest sierota!

O mój ojczy, matko miła!
Wieczna do was ma tęsknota...
Cicha kryje was mogiła,
A ja sierota!

Boże, co w błękitnym niebie
Masz na słońcu dom swój złoty,
O, przygarnij Ty do siebie
Serce sieroty!

Otrzyj łzy, co z oczu płyną,
Utul w smutku, co mną miota...
Wszakże Boga jest dzieciną
Każda sierota!

Wieczorny pacierz.

O jak cicho, o jak błogo
Sercu, które kocha Ciebie,
Gdy je w pieczy swojej masz!

Już noc idzie srebrną drogą,
Tysiąc gwiazd błyszczą na niebie,
Ojcze nasz!

Dzwon wieczorny w dali dzwoni,
Milkną w gniazdach swych ptaszęta,
Którym jutro słońce dasz;
Wskroś zroszonych kwiatów woni,
Płynie ziemią cisza święta,
Ojcze nasz!

Sen znajduje muszka licha,
Sen otula polne zioła,
Ty nad niemi trzymasz straż.
I nasz domek już ucicha,
Do pacierza matka woła,
Ojcze nasz!

Ty skrzydłami anielskimi
Osłoń lądy, osłoń morza,
Zwróć ojcowską ku nam twarz!
Niech wieczorna cicha zorza
Technie spokojem po tej ziemi,
Ojcze nasz!

Modlitwa wiosenna.

Modrą się wstęgą toczą jasne zdroje,
Szumi gaj młody i trawy na łanie.
Za życie ziemi i kwiatów, i moje,
Dzięki Ci, Panie!

Słońca my Twego czekali z tęsknotą,
Przez długą zimę, przez śnieżne zawieje,
Aż nam jaskółki przyniosły wieść złotą,
Że wiosna dnije.

I serce moje tak śpiewa jak ptasze,
I wzrok w błękity ku Tobie ulata...
Czuję, jak wieje nad pola, nad nasze,
Chrystusa szata.

On to znów stopką najświętszą Swą chodzi
Przez nasze miasta i łany, i wioski,
A Jego śladem kwiat cudny się rodzi,
I spokój boski!

W powiewach ranka, w piosence słowika,
W rozkwitłych lasów szumiącej zieleni,
Słyszę głos Jego, co ziemię przenika:
— Błogosławieni!

Błogosławieni, co w każdą tu wiosnę
Świat obsiewają czynami pięknymi.
Błogosławione i dziatki, co rosną,
Jak kwiaty ziemi!

Za współbraci.

O Chryste, któryś żyjąc na tej ziemi,
Łzy nasze widział i naszą niedolę,
Oto za ludźmi, za braćmi swojemi,
Głos dziś do Ciebie podnosi pacholę!

Matka to moja mówiła mi droga,
Ze pacierz dziecka anielskie ma pióra,
I pierwszy z ziemi przylata do Boga,
Gdy nad nią nieszczęść zamroczy się chmura.

O usłysz głos mój! O przyjmij błaganie,
Za tych, co żyją w żalości i w nęce,
Za tych, co sami strudzili się, Panie,
Daremnie wznosząc ku niebu swe ręce!

Za tych, co łakną i chleba i słońca,
 Za tych, co idą w pielgrzymkę tułaczą,
 Za tych, co krzywdy nie widzą swej końca,
 Za uciśnionych, co milczą i płaczą.

Za biedne dziatki z pod niskiej gdzieś strzechy,
 Za tych, co w pocie dźwigają swe brzemię,
 Za opuszczonych, pragnących pociechy,
 Błagam Cię, Panie, za całą tą ziemię!

O spojrzij na nią! O przykłoń jej ucha!
 Niechaj nadziei w Twe słowo nie traci.
 Wszakże najrychlej Bóg dziecka wysłucha,
 Gdy nie swojego chce szczęścia, lecz—braci!

Na cmentarzu.

Na starych grobach, gdzie ojcowie moi
 Spoczęli, życiem strudzeni tułacze,
 Klękam pod krzyżem, co nad nimi stoi,
 I płaczę...

Boże! Tyś widział, jak, idąc do Ciebie,
 Padali nieraz wśród głogów i cierni,
 A przecież z wzrokiem utkwionym w Twem niebie,
 Szli Tobie wierni!

Tyś widział, Boże, jak zgięci cierpieniem,
 Nieśli do śmierci niedoli swej brzemię,
 Jak pod Twem okiem i z Twojem imieniem
 Kładli się w ziemię...

O spełnij, Panie, ich ciche nadzieje!
 O daj, niech jutrznia zabłyśnie im złota,
 Nad polem śmierci niech jasność zadnieje
 Żywota!

Wiem, że dzień przyjdzie, gdy każdą mogiłę
 Odemknie dłoń Twa, przed którą się korzę...
 O zbliż go ku nam! Daj czekać nań siłę,
 O Boże!

Do św. Patronów.

Z wspólnej nam ziemi wyrosli, jak kwiaty,
 Wielbiący Stwórcę we wspólnej nam mowie,
 Do was ja wołam, Święci Młodziankowie,
 Przyobleczeni w zórz bożych szkarłaty.

O Kazimierzu! Królewiczu miły,
 Coś lilię serca na ołtarz dał Boga,
 Świeć mi przykładem i użycz mi siły,
 Bym szedł Twym śladem, choć trudna jest droga.

O Stanisławie, o cudne pachole,
 Coś ród swój Kostków mianował imieniem,
 Dłoń swoją bratnią na mojem złóż czole
 I ducha rozpal łaski twej promieniem!

A Ty, o Pani, co nasze dąbrowy
 I strzechy świętą błogosławisz ręką,
 Hetmanko starej naszej Częstochowy,
 Wzjedź nam w noc smutku przejasną jutrzeńką!

Niechaj to czujem, że nad ziemią naszą,
 Połyska Twoja gwiazdzista korona,
 I niech nas żadne przygody nie straszą,
 Zdrowaś Maryo i błogosławiona!

Na Ewangelię.

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
 I uczył prawdy, co nam z nieba świeci,
 To się—bywało—otacza biednemi,
 A wiele matek niesie mu swe dzieci,

Aby kładł na nie modlitwę i ręce,
I błogosławił ich latka dziecięce.

Więc raz, kiedy się tłum dzieci przygarnie,
Ten i ów z Uczniów pacholę ofuka,
Że takie śmiałe i że tak niekarnie
Ciśnię się społem, i ładu nie szuka.
A nasz Pan Jezus, słysząc to fukanie,
— Dajcie—rzekł—działkom zbliżyć się w pokoju;
Bowiem, zaprawdę, takich jest mieszkanie
W niebios podwoju!—

.

Chryste! Gdy czytam te boskie Twe słowa,
Jedną mam prośbę i jedno błaganie:
Niech mnie ich świętość od zmazy zachowa,
Dziecięciem Twojem daj zostać mi, Panie!

NOWOSILCOW A ŻYDZI,

I.

Osobistość senatora Nowosilcowa, komisarza cesarskiego przy rządzie Królestwa Kongresowego, została w ostatnich czasach najdokładniej przedstawiona. Wiemy obecnie jaki to był człowiek, wiemy jaką fatalną rolę odegrał on w dziejach sprawy polskiej wogóle. Mało natomiast pisano o jego stosunkach z Żydami polskimi. Wyjaśnienie tego stosunku wydaje się tembardziej być potrzebne, wobec zjawiających się coraz częściej w nowożytnej historyografii żydowskiej mniemań, jakoby komisarz cesarski miał być przyjacielem oraz protektorem Żydów, a nawet zdeklarowanym stronnikiem ich równouprawnienia. W rzeczywistości Nowosilcow nigdy nie był przyjacielem Żydów; był bądź obojętnie, bądź nawet wrogo dla nich usposobiony.¹⁾ Jeszcze w r. 1807, gdy cesarz Aleksander I ustanowił komitet dla zbadania sprawy wysiedlania Żydów, na wsi mieszkających, co wydawało się na razie nieodpowiednie wobec powołania do życia przez Napoleona Senhydrionu, Nowosilcow, który również zasiadał w Komitecie, wypowiedział się stanowczo za kontynuowaniem wysiedlania, gdy natomiast członkowie tegoż komitetu ks. Adam Czartoryski, hr. Seweryn Potocki oraz Czacki gorąco bronili Żydów i głosowali przeciw wysiedlaniu.²⁾ Jeśli zaś senator, czy to w wypadku pojedynczym, czy też w szeregu wypadków brał niekiedy Żydów pod swoją opiekę, czynił to, jak zobaczymy, wyłącznie w interesie osobistym.

1) Por. Askenazy: „Dwa stulecia“ 11, (Warsz. 1910), 438, 552—4.

2) I. Orszanski: „Russk. zakonod. o jewr.“ (Pet. 1877), 277.

Pierwszą znajomość zawarł Nowosilcow z Żydami polskimi jeszcze w r. 1813, gdy został wiceprezesem Rady Najwyższej b. Księstwa Warszawskiego. Żydzi mianowicie rozpoczęli podówczas usilne starania o zniesienie dekretu z dn. 30 października 1812 r., zabraniającego im od dn. 1 lipca 1814 r. pędzenia i wyszynku trunków.¹⁾ Wtedy to poraz pierwszy przedstawiciele kahału warszawskiego złożyli wizytę senatorowi celem „wyjaśnienia mu tej kwestyi w należytem świetle.“ W rozmowie senator dawał im przedewszystkiem do zrozumienia, iż w istocie wiele pod tym względem od niego zależy, że jeśli zawsze starać się będą zasługiwać na jego protekcję, wtedy on podejmie się na wieczne czasy pośredniczyć między nimi a cesarzem, że wreszcie sam jest dla nich nader przychylnie usposobiony.²⁾ Żydzi wnet zrozumieli, jakim mianowicie sposobem mają zasługiwać na jego protekcję, zaraz też podsunęli mu znaczną kwotę pieniężną, poczem dekret powyższy w oznaczonym terminie w życie wprowadzony nie został.³⁾ Odtąd Nowosilcow systematycznie sprzedawał się Żydom, wzamian za co oddawał im niekiedy rzeczywiste usługi. Zaznaczyć należy, że zwłaszcza w tym okresie dwuletnim, t. j. w czasie między zniesieniem rządu b. Księstwa Warszawskiego a utworzeniem Królestwa Kongresowego, Żydzi wiele korzystali z usług senatora. Przewidując bowiem, że b. Księstwo Warszawskie przejdzie w posiadanie rosyjskie, Żydzi zawczasu już ubiegać się zaczęli o względy Aleksandra I. W tym celu jeszcze w r. 1814 torowali sobie drogę do Wielkiego Księcia Konstantego przez komisarza cesarskiego. Za jego też poradą kahał warszawski wysłał w początku r. 1815 deputację do Paryża, która miała się przedstawić bawiącemu tam w tym czasie cesarzowi, przełożyć mu uczucie wiernopoddańcze imieniem całego ludu starozakonnego, zamieszkałego w Polsce, i upraszać o polepszenie stanu tegoż ludu. Cesarz nader przychylnie przyjął deputację i „najśladkawiej o swojej Wysokiej Protekcyi, oraz o pomyslnym skutku ich prośby, tudzież o dzieleniu wraz z innymi mieszkańcami kraju dobrodziejstw przez Niego zlewać się mających, zapewnić raczył.“⁴⁾ Takież skutki dała druga audyencya, uzyskana tegoż roku podczas pobytu cesarza w Berlinie, wreszcie trzecia, udzie-

1) Arch. warsz. gminy staroz. w aktach o szynkarstwie.

2) Z rkp. Jak. Tugendholda.

3) Askenazy: „Łukasiński“ (Warsz. 1908), 1.

4) Arch. gm. starozakonnej w Warsz.

lona przedstawicielom żydowskim, dzięki zabiegom senatora w Warszawie w r. 1816. Cesarz wtedy powierzył Nowosilcowowi opracowanie memoriału w sprawie uregulowania kwestyi ludu starozakonnego. W tym też roku powtórnie wzięta została na porządek dzienny sprawa wyżej wspomnianego dekretu dotyczącego szynkarstwa. Decyzya w tej mierze miała ostatecznie wypaść na niekorzyść Żydów. Kahał wtedy chwycił się sposobu oddawna u Żydów w wyjątkowych razach praktykowanego. Nakazał mianowicie post trzydniowy całemu żydostwu, nie wyłączając kobiet, celem ubłagania nieba, aby wiszącą nad nimi klęskę odwrócić raczyło. Równocześnie rozporządzono, aby każdy Żyd zaoszczędzone przez niewydawanie na żywność podczas postu pieniądze zaniósł do kahału, skąd zebrać się miała suma przeznaczona dla Nowosilcowa. W rzeczy samej starsi kahału wypłacili senatorowi około 120,000 złp., a senator obiecał wystarać się o uchYLENIE RZECZONEGO DEKRETU. Widocznie jednak było to rzeczą niełatwą do przeprowadzenia nawet dla tak wpływowego działacza, jak komisarz cesarski. Rada Stanu wypowiedziała się bowiem za niezwłocznym wykonaniem dekretu. Nowosilcow tedy w przedstawieniu sprawy przed cesarzem usiłował nadać jej wielkie znaczenie polityczne, mając przytem na widoku, że szynkarze Żydzi służyć mogą rządowi rosyjskiemu cennymi informacyami o spiskowych knowaniach polskich. Koniec końcem w dzień publikacyi dekretu Namiestnik odebrał list od Nowosilcowa, wyrażający imieniem cesarza i króla, aby dekret wstrzymał. Bądź co bądź senator wielką wyświadczył Żydom usługę, za co kahał pośpieszył złożyć mu dzięki w imieniu całej ludności żydowskiej. Senator przy tej sposobności mówił im, że cesarz Aleksander I pełen jest błogich zamiarów względem ich urzędzenia, lecz że napotyka na trudności, stawiane ze strony rządu Królestwa. Jest to zdanie nader charakterystyczne: odsłania ono nam istotę polityki, którą stosował Nowosilcow do ludności żydowskiej w kraju. Chcąc zabezpieczyć sobie stały dochód z bonifikacyj żydowskich, możliwych tylko w razie utrzymania nadal ograniczających praw dla Żydów, już przez to samo nie mógł sprzyjać uobywateleniu ludu starozakonnego. Z drugiej strony wszelkie ograniczenia praw żydowskich dobrze odpowiadały jego intencyom, zmierzającym do wytworzenia w łonie samego Królestwa żywiołu wrogiego interesom krajowym, którego przy okazji możnaby użyć na szkodę interesów polskich, a który równocześnie przeciągnąłby się na stronę rosyjską. W takim też duchu Nowosilcow starał się utwierdzać w Żydach przekonanie, że od rządu polskiego niczego spodzie-

wać się nie mogą, a obronę znaleźć mogą jedynie w łasce J. C. i K.-Mości.

Żydzi, niezadowoleni ze stanowiska rządu Królestwa w sprawie szynkarstwa, chętnie wierzyli powyższym insynuacyom senatora. Stale więc, czy to w poszczególnych wypadkach, czy też w razach, gdy chodziło o ogólne ich urządzenie, szukali, jak zobaczymy, instancy u senatora Nowosilcowa.

II.

Kwestya reformy Żydów polskich była, jak wiadomo, w dobie utworzenia Królestwa Kongresowego jedną ze spraw najaktualniejszych i gorąco zajmowała tak opinię publiczną, jak i urzędową. Wiele głosów odzywało się za zupełnem równouprawnieniem ludu starozakonnego.¹⁾ Podobnie najdobitniej wypowiedziała się w swoich uwagach nad polepszeniem stanu ludności starozakonnej utworzona w lipcu 1815 r. komisya włościańska, w której zasiadali ks. Adam Czartoryski, hr. Ludwik Plater, Józef Godlewski, Kalasanty Szaniawski, Stanisław Kłokocki oraz Alojzy Biernacki.²⁾ Uznała atoli komisya za pożądane, a to w interesie samych Żydów, odebranie im na czas pewien szynkarstwa, zniesienie kahałów, wreszcie przywdzianie stroju europejskiego. Żydzi jednakże, którzy w przeważnej swojej części zgoła nie życzyli sobie podówczas uzyskania praw politycznych, szkodliwych wedle ich pojęcia dla tradycyi i religii, dążyli jedynie do polepszenia swego bytu materyalnego, a więc przedewszystkiem do pozostawania nadal przy szynkarstwie, za co gotowi byli nawet opłacać podatek szynkowy.³⁾ Nie mogli więc, rzecz prosta, zgadzać się z powyższemi uwagami komisyi włościańskiej. Znówu więc szukali opieki Nowosilcowa, który też po krótkim czasie przełożył Namiestnikowi odmienny zgoła projekt reformy ludności żydowskiej, opracowany niewątpliwie przy czynnym współudziale przedstawicieli kahału, całkowicie ich intencyom dogadzający.

¹⁾ Por. Askenazy: „Lukasiński,” 1.

²⁾ Por. Bojasiński: „Rządy tymcz. w K. P.,” 19.

³⁾ Por. Mowsha Jankielowicz: „O śródkaeh, aby reforma Żydów w Polsce mogła być skuteczna,” (Warsz. 1819), 3—4.

Rzeczony projekt, nie podpisany przez autora, obejmuje wstęp oraz 12 rozdziałów. Na wstępie autor zaznacza, że ponieważ starozakonni są również, jak inni mieszkańcy kraju, poddanymi monarchy, powinni korzystać ze wszelkich praw, udzielonych przez niego krajowi. Z tego powodu wszystkie przywileje Żydom nadane, również wszelkie przepisy dotyczące zajmowania się wyrobem i sprzedażą trunków, zamieszkiwania w rewirach, nabywania nieruchomości, tudzież wszystkie inne względem nich wydawane ograniczenia zostają raz nazawsze zniesione.

W pierwszym rozdziale autor zajmuje się unormowaniem spraw religijnych. Należy dopilnować—zdaniem autora—aby starozakonni ściśle trzymali się zasad religii swojej i Żyd, nie stosujący się do przepisów wiary judaistycznej, ma być za to pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

Drugi rozdział traktuje o wewnętrznej organizacji Żydów. Mają mianowicie powstać tak zwane dyrekcye żydowskie, po jednej w każdym mieście wojewódzkim, a nad nimi jedna, główna, w Warszawie. W głównej dyrekcji zasiadać mają: prezes, dwóch rabinów, dwóch radców i sekretarz, wszyscy mianowani przez władzę, wyjęci ze spisu kandydatów, dostarczonego przez wyborców Żydów z każdego województwa. Podobnie urządzone być mają dyrekcye wojewódzkie, w których skład wchodzi: prezes, jeden rabin, dwóch asesorów i sekretarz. Rabinów i starszych okręgów mianuje minister oświecenia, wedle przedstawienia głównej dyrekcji, która w tej materii porozumiewać się musi z dyrekcjami wojewódzkimi celem zasięgnięcia informacyj o wynikach wyborów. Same wybory odbywają się sposobem następującym: każda gmina wybiera z pośród swoich członków dwóch pełnomocników; ci plenipotenci zjeżdżają się do głównego miasta wojewódzkiego celem dokonania wyboru kandydatów na członków dyrekcji głównej i wojewódzkich. Zebraniom wojewódzkim przewodniczy komisarz rządowy, a zebraniom wyborczym gmin—najstarszy z obecnych Żydów. Na posiedzeniach głównej dyrekcji obecny być musi prokurator, specjalnie przez króla mianowany; ma on czuwać nad rzetelnem wykonaniem ustanowionych w myśl projektu przepisów. Na posiedzeniach dyrekcji wojewódzkich obecny ma być pomocnik prokuratora. Dyrekcya główna zestawić ma nowy spis ludności żydowskiej Królestwa Polskiego; co trzy miesiące przełożyć musi władzy spis rabinów oraz relacyę o ich postępowaniu w wykonywaniu funkcji swoich. W kompetencji głównej dyrekcji leży: otwieranie zakładów naukowych, mianowanie nauczycieli, redagowanie katechizmów dla

szkół, zakładanie instytucyj dobroczynnych, wynajdywanie środków celem zachęcenia Żydów do zajmowania się rolnictwem, wreszcie utworzenie funduszków dla pokrycia wydatków. Główna dyrekcyja jest ostatnią instancją w sprawach religijnych i rozwodowych, przed zapadłą w tej mierze decyzją musi jednak wysłuchać zdania prokuratora; może ona również udzielać dymisyje rabinom. Dyrekcyje wojewódzkie odgrywają wobec niej jeno rolę doradczą i pomocniczą. Sama podlega jedynie kompetencyi ministra oświecenia. Do niej wyłącznie należy szkolnictwo. W każdym mieście mają być dwie szkoły elementarne, oddzielne dla każdej płci. Egzamin w tych szkołach odbywać się mają w obecności delegatów z głównej dyrekcyi, rabinów oraz członka, wydelegowanego przez władzę.

Gminy dostarczać mają kontyngensu rekrutów odpowiednio do liczby ludności żydowskiej w kraju.¹⁾ Szynkarstwo ma być Żydom zostawione za opłacanie określonego podatku. Ma być zostawiony również podatek biletowy, z którego jednak uwolnieni być mają przyjezdni Żydzi z Cesarstwa. Podatek koszernego ma być zniesiony. Każda gmina wybierać ma z pośród siebie jednego biednego Żyda, który kosztem jej zostać ma rolnikiem. W dalszym ciągu żąda autor wcielenia karaitów w skład żydowskiego społeczeństwa i rozciągania nad nimi władzy dyrekcyi.

Jak już wyżej zaznaczono, zdaje się być rzeczą pewną, że ów projekt opracowany został przy czynnym współdziałaniu przedstawicieli kahału warszawskiego. Szczególnie przemawiają za tem te okoliczności, iż autor powierza dyrekcyom sprawę wychowania młodzieży żydowskiej, zostawia im szynkarstwo, wreszcie rozciąga swoją opiekę nad religią żydowską. Godzi się przypomnieć, że podobną opieką otoczył religię żydowską komitet senatora Popowa w r. 1809, który z inicjatywy żydowskich deputatów pozostawił rabinom prawo ukarania Żydów, od wiary swojej się wyłamujących.²⁾

Namiestnik wniósł ten projekt do Rady Stanu, gdzie poddano go nader ostrej krytyce. Najbardziej wyrozumiałym dla autora projektu okazał się w zapisce w tym przedmiocie dostarczonej Namiestnikowi ks. Adam Czartoryski. Z treścią projektu ks.

¹⁾ W dziesięć lat później, Nowosilcow, jak zobaczymy, będzie się starał przekonać cesarza Mikołaja I, że Żydzi powinni być uwolnieni od służby wojskowej.

²⁾ Russk. Arch. 1903. II, 43.

Adam również nie mógł się zgodzić. Głównie był niezadowolony z udzielonej przez autora Żydom tak szerokiej autonomii. Wszak o to jedynie chodzi, aby wyrównać różnice zachodzące między ludnością żydowską a krajową, któremu to celowi nie odpowiada projekt Nowosilcowa, zamierzający utworzyć w Królestwie nowe corpus in corpore, tylko, że zamiast skompromitowanych kahałów powstać mają silne i wpływowe dyrekcye, do których niewątpliwie wybrani zostaną ci sami fanatycy, zasiadający obecnie w kahałach. Niestety, wskutek braku kultury, nie można jeszcze samym starozakonnym powierzyć kierownictwa nad ich współwyznawcami. Wystarczającym będzie, jeśli oświeceni Żydzi pociągnięci zostaną do współpracownictwa nad reformą starozakonnym. W dalszym ciągu ks. Adam wyraża zdziwienie z powodu braku w projekcie wszelkiej wzmianki o potrzebie zmiany stroju żydowskiego. Wyjątkowe podatki — zaznacza dalej ks. Adam — muszą być całkowicie zniesione, szynkarstwo natomiast musi być Żydom zabronione przynajmniej na pewien okres czasu. Zdumiewa ks. Adama propozycja projektodawcy względem wcielenia karaitów w skład społeczeństwa żydowskiego, co by zadało im cios niepowetowany, gdyż wskutek swojej znikomej mniejszości w Królestwie oddani byłiby na łaskę i niełaskę dyrekcji żydowskich. Należy przytem nadmienić, że karaici cieszyli się zawsze w Polsce ogólną sympatyą. Przez czterowiekowy pobyt ich w kraju ani jeden z nich nie był podobno sądzony za zbrodnię jakąś lub za szpiegostwo. Źródłem ich zarobkowania był drobny handel, rolnictwo oraz furmanka.¹⁾ W istocie był to poprostu manewr zaborczej polityki żydowskiej celem poskromienia tych odwiecznych wrogów talmudu. Wypada zaznaczyć, że ten sam Nowosilcow później — w sprawie domagania się przez karaitów usunięcia Żydów z Trok, w którym to mieście karaici mieli wyłączne prawo zamieszkiwania na zasadzie dawnych przywilejów — wypowiedział się za bezwzględnem zadośćuczynieniem żądań karaitów, co też zatwierdzone zostało ostatecznie przez senat w r. 1834, t. j. w czasie, kiedy Nowosilcow przewodniczył senatowi.²⁾

Rzeczony projekt dostał się na sesję Rady Stanu w początku r. 1817. Na referenta Namiestnik przeznaczył Kajetana Koźmiana. Przytaczamy, co opowiada ostatni o losach projektu.

„Na następnej sesji przy końcu posiedzenia przyniesiono Namiestnikowi różne projekta w celu wyznaczenia do nich refe-

1) Por. Czacki: „O Żydach i karaitach;“ 136.

2) Por. „Wtor. Poln. Sobr. Zak.“ № 3136, 7733.

rentów. Między nimi był jeden arcyważny o urządzeniu ludu Izraelskiego i przypuszczeniu go, pod zastrzeżeniem zachowania przepisów, do bezwarunkowego używania praw obywatelskich, a zatem do otworzenia mu wstępu do wszelkiego rodzaju urzędów tak politycznych, jak i administracyjnych i rządowych w zupełnem porównaniu z innymi mieszkańcami kraju. Aczkolwiek pożądanem jest unarodowienie ludu żydowskiego osiadłego w Polsce, z którego wypłynęłoby przypuszczenie go do wszelkich praw obywatelskich, projekt ten nie był jeszcze w porę. Wychowanie bowiem polskie tego narodu nie było jeszcze dokonane, ani nawet zaczęte i wówczas przyznanie mu równych praw mogło pociągnąć za sobą najszkodliwsze skutki i dla bytu kraju i dla narodowości polskiej. Projekt ten pochodził od senatora Nowosilcowa, jakoby zalecony wolą cesarza; okryty on był pozorami liberalizmu, a w istocie ukrywał cele polityczne nieprzyjazne żywiołowi narodowemu. Majętni Żydzi potrafili sobie go wyrobić u komisarza cesarskiego środkami najłatwiej ując go mogącymi, a to w nadziei, że przy wpływie i powadze jego zyskają korzyści, jakich w innych krajach używają. Senator Nowosilcow powierzył ten projekt Namiestnikowi; Namiestnik wniósł go na Radę Administracyjną. Rada, zdziwiona na taką propozycję, odesłała ją do ogólnego zgromadzenia Rady Stanu z pewnością, że się nie utrzyma. Z Rady Administracyjnej, skoro rzecz wyszła na jaw do wiadomości członków Stanu, główny nieprzyjaciel Żydów, który tyle pisał i drukował dla wykazania ich nieudolności w Polsce, który wołał o ścieśnienie im mieszkania po głównych ulicach i miastach, o odjęcie im szynków i sposobności niszczenia włości po wsiach, przeląkł się i życzył sobie, aby referat tego przedmiotu padał na niego. Tymczasem Namiestnik z powodów, które się potem odkryły, mnie wyznaczył referentem. Dwa tygodnie poświęciłem tej pracy; w istocie lud ten, mający głównie na celu wzbogacenie się kosztem krajowców, odosobniony i odosobniający się od reszty ludności, uchylający się od służby wojskowej, od obrony kraju, nieskłonny do ofiar i poświęcenia wśród wysiłku narodu o byt niezależny, stojący zawsze po stronie mocniejszego, przy nabyciu praw nowych mógłby stać się szkodliwym bardzo krajowi, gdy kraj ten obcemu panowaniu ulegał. Trzeba go było pierwaj przekształcić, wychowywać w narodowych uczuciach, otrzymać dowody jego patriotyzmu, nimby się go przypuściło do pełni i równości praw. Żydzi powinni pierwaj stać się Polakami, nim się staną obywatelami. Namiestnik słuchał cierpliwie i z ukontentowaniem... Nie trzeba było długiej dyskusji; cała

Rada zgodnie uznała nietylko usunięcie projektu, lecz zdecydowała ściśle przestrzeganie przepisów, których wykonywanie uległo zaniedbaniu, jako to: o szynkach, o mieszkaniu po głównych ulicach i t. d. Nadto uznała konieczność, na zasadzie mego wywodu, uczynić do króla przedłożenie o potrzebie innego wychowania Żydów i przerobienia tego w kraju *corpus in corpore*.“

Relację Koźmiana wypada uzupełnić niektórymi przyczynkami. Nie zakończyła się bowiem odrazu sprawa tego projektu. Nowosilcow prawdopodobnie wpłynął na cesarza, aby nie przychylił się do decyzji Rady Stanu, gdyż wkrótce potem rzeczony projekt nanowo roztrząsany był w specjalnej deputacji, utworzonej w tym celu pod przewodnictwem ministra Stanisława Potockiego. Deputacja jednakże z tych samych mniej więcej powodów, wyluszczonej w zapisce ks. Adama, projekt odrzuciła. Postanowiła natomiast Żydów pociągnąć pod ogólne prawodawstwo, wychowanie młodzieży starozakonnej poddać pod kompetencję ministra oświecenia, wreszcie, że rabini muszą znać język polski oraz być przez rząd mianowani. W sprawie szynkarstwa deputacja postanowiła, aby ci starozakonni, którzy obecnie tym zawodem się trudnią, mogli i nadal przy nim pozostać, pod warunkiem jednak, aby zmienili ubiór, oraz posyłać dzieci do szkół publicznych. Ma również pozostać podatek szynkowy. Z czasem Żydzi dopuszczeni być mają do wszelkich praw obywatelskich.

Decyzja deputacji zaakceptowana została dnia 31 marca 1817 r. przez Radę Stanu, a później przez Radę Administracyjną w kwietniu t. r. Nie została wszelako opublikowana podobno tylko przez „nieufność i chwiejność cesarza.“¹⁾

Zaledwie zesza z porządku dziennego sprawa powyższego projektu, nowe już źródło dochodu otworzyło się dla senatora Nowosilcowa. Żydzi mianowicie, wbrew zakazowi, rozpoczęli budować domy i sprowadzać się do miast i ulic wzbromionych. Gdy następnie rozkazano im te miejsca opuszczać, Żydzi wystąpili z dość ostrą w tej materji odezwą do Namiestnika, a jednocześnie znowu uciekali się pod opiekę Nowosilcowa.²⁾ Gdy w końcu sprawa wzięła obrót dla Żydów niepomyślny, senator zwałł winę całą na Polaków. Żydzi, całkowicie już przez niego skaptowani, święcie temu wierzyli i później w prośbach w tym przedmiocie podanych cesarzowi przypisywali inicjatywę nowego ograniczenia ich

1) Niemcewicz: „Pam. 1809—20,“ 292.

2) Arch. warsz. gm. staroz.

w tej mierze złej woli polskiej. Oczywiście, że podobne obwinienie jest błędne i niesprawiedliwe, czemu za dowód służyć może przynajmniej ta okoliczność, że po krótkim czasie zabroniono Żydom mieszkać na niektórych ulicach w Wilnie, gdzie już decyzya w tej sprawie nie mogła wtenczas zależeć od woli polskiej. Zaznaczyć należy, iż w sprawie zabronienia Żydom mieszkania przy owych ulicach Wilna, zasiągnięte zostało zdanie W. Księcia, który rzecz powierzył Nowosilcowowi. Owoż senator wypowiedział się właśnie za wprowadzeniem powyższego ograniczenia.¹⁾

Bądź co bądź senator Nowosilcow w zażyłych znajdował się stosunkach z przedstawicielami Żydów w dobie Królestwa Kongresowego. Przedstawicielom tym zresztą w sprawach prywatnych wiele okazał przychylności. Tak, dzięki jego protekcji, Żyd Fürstenberg dostał się na posadę sekretarza giełdy warszawskiej, który, zarwawszy później różnych kupców na kilkadziesiąt tysięcy talarów, umknął zagranicę.²⁾ Stale też protegował senator członka kahału, później sekretarza Dozoru Bóżniczego, Szachny Neudinga, oraz cenzora Jak. Tugendholda, których podobno wciągnął nawet do swojej armii szpiegowskiej.³⁾ A imię senatora głośno było wśród Żydów nie tylko Królestwa, lecz nawet Cesarstwa, których brzęczącymi dowodami ufnosci nie gardził również komisarz cesarski, o czem świadczy dokładnie choćby następujący wypadek.

III.

Kwestya powołania Żydów do służby wojskowej, już od lat kilkunastu zajmująca opinię publiczną Królestwa Polskiego i Cesarstwa, a prowizorycznie wprowadzona bez powodzenia jednak w Królestwie jeszcze w r. 1815⁴⁾, znalazła wreszcie stanowcze rozwiązanie na początku panowania Mikołaja I. W pierwszych zaraz dniach po wstąpieniu na tron cesarz mówił swojemu ministrowi spraw wewnętrznych o zamiarze pociągnięcia Żydów z Ce-

¹⁾ B. Lewande: „Chronologicz. sborn. zak. o jewr.“ (Pet. 1874), № 333, 363, 884.

²⁾ Niemcewicz, l. c.

³⁾ Akta Tugendholda; por. jeszcze Askenazy: „Dwa stulecia,“ 108, oraz nasz artykuł: „Żydzi w Kr. P. po r. 1831“ w Bibl. Warsz. 1910, wrzesień.

⁴⁾ Arch. warsz. gm. star.; Askenazy: „Łukasiński,“ l. c.

sarstwa do naturalnej służby wojskowej i kazał przygotować odpowiedni projekt. Rzecz się jednakże nieco przewlekła, głównie z tego powodu, iż projekt musiał być przedstawiony W. Ks. Konstantemu, jako głównemu dowódcy wojsk Królestwa Polskiego i Litwy, dla uzyskania jego aprobaty. Wprawdzie cesarz Mikołaj I bynajmniej nie krępował się zdaniem swojego starszego brata w podobnych okolicznościach; w tym samym bowiem roku odebrał de facto Wielkiemu Księciu dowództwo nad korpusem litewskim, wcielając ten ostatni do wojsk Cesarstwa.¹⁾ Nie wypadło jednak z powodów czysto taktycznych ominąć zupełnie Wielkiego Księcia w powyższym wypadku. Wyprawiono więc odpowiednią odezwę do niego, na którą wkrótce nadeszła odpowiedź cesarzewska, że całą rzecz powierzył Nowosilcowowi dla wypracowania odpowiedniego memoriału.

Żydzi wnet się o wszystkim dowiedzieli. Powstała tedy wśród nich straszna wrzawa. Wrażenie było tak silne, że tacy zawsze gorliwi legitymiści, jak Żydzi, tym razem śmiało i odpornie wystąpili przeciw władzy i podobno myśleli nawet o buncie. Przedewszystkiem zaś zbierano pieniądze „dla uzyskania serc dostojników,“ mogących przyczynić się do zażegnania tego niebezpieczeństwa. W pierwszym rzędzie tych dostojników zajął miejsce senator Nowosilcow, który za sumę w wysokości 60,000 rubli obiecał Żydom wystarać się, aby rzeczony projekt nie odniósł żadnego skutku. Przytaczamy poniżej w tłumaczeniu nader interesujący urywek ze wspomnień Cyprynusa, zajmującego podówczas urząd w ministeryum spraw wewnętrznych w pierwszym oddziale, gdzie właśnie roztrząsana była sprawa rekrutowania Żydów.

„W tym samym czasie—opowiada Cyprynus²⁾—często odwiedzał mnie pewien dostojnik żydowski, rabin z Grodna, Mordka Lejbowicz. Zarekomendowany został mi przez jednego z tamtejszych mieszkańców. Był to człowiek dość ukształcony, po swojemu nawet uczony. Zajmowałem się podówczas kabałą żydowską, w której Mordka posiadał rozległe wiadomości. Prosiłem go, by często u mnie bywał i tak rozmawialiśmy całe wieczory o przedmiotach, dotyczących się tej tajemniczej nauki, oraz religii wogółności. Dyskusye te były dla mnie bardzo cenne w poszukiwaniach moich nad wyjaśnieniem pewnych w tej materji zagadnień.

¹⁾ Askenazy: „Rosya—Polska.“

²⁾ Rus. arch., 1872, 1751—57,

Tym sposobem zawiązała się między nami przyjaźń, ze strony Mordki nawet dość szczerą. Myślał podobno nawet o obróceniu mnie na swoją wiarę, ja zaś, aby jaknajwięcej od niego się dowiedzieć, pozwoliłem mu trwać przy jego marzeniach. Sprawa rekrutowania Żydów była wówczas tematem, nieschodzącym z ust ogółu. Mordka był zażartym przeciwnikiem tego projektu; uznał go za niesprawiedliwy, nawet szkodliwy, i był przytem pewny, że żadnego nie odniesie skutku, a tymczasem—powiada—okoliczności mogą się zmienić. Zdaniem jego, gdyby dobrze wyjaśniono cesarzowi istotę tej sprawy, z pewnością wtedy zrezygnowałby ze swego zamiaru. Ja, rzecz prosta, nic mu nie mówiłem o tem, co się działo w ministryum; było jednak rzeczą widoczną, że Mordka był jednym z wydelegowanych przez Żydów do Petersburga agentów i bez mojej pomocy był o wszystkim uwiadomiony. Był jednak o tyle delikatny, że mnie nie kusił pytaniami. Gdy, żartując z niego, mówiłem mu, że kiedyś jeszcze syn jego będzie żołnierzem, Mordka zwykle tajemniczo odpowiadał „nu, obaczymy!“

„Tymczasem upłynął tydzień, upłynęło sześć tygodni, a „opinia“ Nowosilcowa o kwestyi żydowskiej wciąż nie nadchodziła. Cesarz przy każdym raporcie dowiadywał się o tem u ministra, wreszcie kazał powtórnie porozumieć się w tej materji z Warszawą. Wielki Książę odpowiedział, że senator zajęty jest zbieraniem niezbędnych informacyj na miejscu. Upłynęło znowu trzy tygodnie, cesarz wtedy, nie czekając więcej na wiadomości z Warszawy, nakazał ministrowi niezwłocznie przygotować do podpisu J. C. M. ukaz senatu o zrównaniu Żydów względem rekrutowania z innemi narodowościami i już przy najbliższym ogólnym poborze wojskowym ukaz w czyn wprowadzić.

„Nazajutrz zaszedł do mnie rabin. Z rozmysłu skierowałem rozmowę na sprawę rekrutowania Żydów i przekonałem się, że o niczem jeszcze nie wie. Wciąż znowu z uśmieżkiem na ustach powtarzał swoje wieczne słowo: „obaczymy.“ Nie uważając więcej za potrzebne zachować tajemnicę kancelaryjną, oświadczyłem Mordkowi, że rzecz została już zadecydowana. Nie przypuszczałem, aby wiadomość ta tak silne wywarła wrażenie na mego starozakonnego gościa. Był to widok okropny: całym jego ciałem zaczęły trząść konwulsye; ściemniło mu się w oczach, prawie że zemdlał. Podano mu wody. Napad zakończył się żalośnem szlochaniem i płaczem. Następnie zaszła w nim nagła zmiana: wstał, a twarz jego strasznie się jakoś wykrzywiła. Dużymi krokami chodził po pokoju tam i z powrotem i na kogoś wymyślał. Cze-

kałem aż się uspokoi, wtedy zapytałem: „Kogoż pan obrzuca temi obelgami, rebe Mordke?“ „Jakto kogo?...“ (i znowu wymyślanie). „Kogo nareszcie?“ „Nu, waszego pięknego senatora!“ „Za co?... Cóż on ma w tem wspólnego?“ „Za co?... Za nasze 20,000 dukatów... aj, waj, wyłudził, oszukał i zgubił nas... Obiecał, że nic nie będzie. My, rabini, nakazaliśmy Żydkom nieboraczkom post dwutygodniowy, zebraliśmy 20,000 dukatów... aj, gwałt! rozbój!... choćby pieniądze zwrócił.“

„Po dwóch dopiero tygodniach, gdy instrukcje o poborze Żydów rozesłane już zostały wszystkim władzom gubernialnym, a w ich liczbie i Wielkiemu Księciu, głównodowodzącemu wojsk w zachodnich, południowo-zachodnich i Białoruskich guberniach, ministerjum otrzymało odezwę od Wielkiego Księcia z załączeniem „zapiski“ senatora Nowosilcowa. Wielki Książę przytem zaznaczył, że jednocześnie z nadejściem ukazu senatu Nowosilcowa wręczył mu zapiskę swoją. Aczkolwiek nic więcej obecnie nie pozostaje, jak spełnienie skrupulatnie Woli Najwyższej, w którym też celu uczynione już zostały stosowne zarządzenia, uważa wszakże za pożyteczne przesłać zapiskę senatora, mającą w każdym razie znaczenie teoretyczne.

„Zapiska dość była obszerna; w początku nie brak różnych pochwał dla rzeczonoego projektu, za któremi następowały różne „ale,“ „jednakże,“ „pomimo to“ i tym podobne epitety, wreszcie dowodzenia o kierunku biegunowo przeciwnym poprzednim pochwałom. Napomykano tam o wiecznem przywiązaniu Żydów do rządu rosyjskiego, o przysługach temuż rządowi przez nich okazanych, wreszcie, że obecny stan polityczny ogólnie-europejski nie pozwala na uczynienie kroku, mogącego rozdrażnić przeszło milion takiego chytrego i mszczącego się narodu, jakim jest lud starozakonny. W zakończeniu wnioskuje autor, iż nie nadeszła jeszcze pora na urzeczywistnienie projektu rekrutowania Żydów, że do tego należy ich przedtem rozmaitymi środkami przygotowywać.“

Zapiska przesłana została do Petersburga, jak widzimy, już po ogłoszeniu ukazu o pociągnięciu ludności żydowskiej do wojskowości. Widocznie senator, wiedząc, jak niezłomną jest wola cesarza Mikołaja I, nie chciał wystąpić z wnioskami, nieodpowiadającymi intencyom cesarza. Chcąc jednakowoż wykręcić się jako-tako od odpowiedzialności wobec Żydów, czekał z memoriałem aż do ogłoszenia ukazu, a wtenczas dopiero, wiedząc, że już wrażenia w Petersburgu nie robi, wręczył go Wielkiemu Księciu.

Mordka Lejbowicz zażądał później od senatora części przynajmniej wręczonej mu sumy, nic jednak pod tym względem nie wskurął.¹⁾ Należy zaznaczyć, że Żydzi litewscy podówczas nie tylko przez jednego Nowosilcowa zostali w tym wypadku wystrychnięci na dudków. Bardziej jeszcze oszukani zostali przez innego rosyjskiego dygnitarza, mianowicie przez senatora hr. Mordwinowa, który, jak świadczą źródła, za samo tylko zachowanie milczenia podczas dyskusji nad projektem rekrutacji Żydów w senacie dostał 200,000 rubli. W końcu jednak, gdy w radzie większość senatorów, pozyskana przez Żydów, wyrażała się przeciw projektowi, hr. Mordwinow, wyjmując 200,000 rb. i wręczając je obecnemu tamże cesarzowi, zwrócił uwagę, że jeśli jemu za samo tylko zachowanie milczenia Żydzi zapłacili 200,000, ileż wtedy dostać musieli ci członkowie senatu, którzy tak gorąco za sprawą Żydów przemawiają.²⁾

Nie mało dochodów ciągnął komisarz cesarski z powodu targu, który wywiązał się na tle religijnem między Żydami a Towarzystwem Biblijnem, założonem w Warszawie jeszcze w r. 1814, i mającem na celu szerzenie wiary chrześcijańskiej wśród ludności żydowskiej. Towarzystwu temu, zainicyowanemu przez ks. Adama, sprzyjał również sam Aleksander I, który w trzy lata później ustanowił także „Towarzystwo Izraelskich Chrześcijan“ dla Żydów Cesarstwa, udzielając mu różnych przywilejów i prerogatyw. Zwolennikiem tej myśli był również Wielki Książę oraz ministerya w Petersburgu. Jeszcze w r. 1816 ks. Golicyn w liście do Nowosilcowa z dn. 9 sierpnia inieniem cesarza zaleca protekcyi rządu Królestwa kilku przybyłych z Londynu misyonarzy. Przeciw tym ostatnim kahał rozpoczął zaciętą akcyę, przy czynnej pomocy senatora Nowosilcowa. Dzięki temu, misyonarze podczas całego istnienia Królestwa Kongresowego borykać się musieli z wieloma niepokonanemi trudnościami, szczególnie w kwestyach pasportowych, a głównie w sprawie cenzurowania nadchodzących na ich imię z Anglii książek o charakterze agitacyjnym. Należy nadmienić, że rzeczony książki były przeważnie pisane w języku hebrajskim, względnie w żargonie żydowskim; musiały przeto przechodzić przez ręce cenzorów żydowskich Abraama Sterna i Jakóba Tugendholda, którzy zwykle kwestyonowali legalność tych książek. Wspomnianym cenzorom przychodził za-

1) Askenazy: „Dwa stulecia,“ II, 434 sq.

2) „Istoricz. Wiestnik,“ I, 1882, 245—7.

wsze w pomoc senator Nowosilcow, który w memoriałach swoich dostarczonych w tej materji cesarzewiczowi, usiłuje misyonarzy przedstawić w najciemniejszym świetle. Co najciekawsze—Nowosilcow za żydowskie pieniądze występuje nagle w obronie katolicyzmu, któremu jakoby dzieje się krzywda, gdyż misyonarze propagują tu w Królestwie, w kraju katolickim, wiarę anglikańską. Sprawa rzeczona nie schodziła z porządku dziennego przez lat 15; była więc tym sposobem stałym źródłem dochodu dla komisarza cesarskiego.¹⁾

Takie mniej więcej były stosunki pomiędzy Nowosilcowem a Żydami polskimi. Skutki tych stosunków miały wypaść dla Żydów fatalnie. Jak już bowiem zaznaczono, Nowosilcow wyrządził im ciężką krzywdę moralną tem, że odciągał ich od spraw polskich, co niemało przyczyniło się do zachowania się Żydów z Królestwa podczas wojny polsko-rosyjskiej w r. 1831. Po tej wojnie dopiero, gdy Królestwo utraciło swoją samodzielność i rząd rosyjski, nie mając więcej przeszkód ze strony polskiej, zaczął na własną rękę wprowadzać w czyn swoje „błogie zamiary“ względem Żydów, wówczas dopiero ci ostatni ocknęli się i zrozumieli, jak dalece krzywdził ich pan senator, wskutek czego później, po upływie trzech dziesięcioleci, przy pierwszej próbie podejmowania akcji wyzwolenczej kraju, nie będą więcej powtarzali poprzednio popełnianych błędów, a trzymając się ręką w rękę kroczyć będą po drodze wyzwolenia razem ze społeczeństwem polskim, z którego rąk tylko otrzymają wtedy prawa obywatelskie.

DAWID KANDEL.

¹⁾ Russk. Arch., 1908, I, II, III: „iz arch. Nowosilcowa;“ Arch. warsz. gm. starozak.

Sonety miłosne A. Mickiewicza a pani Kowalska.¹⁾

Nieznane pisma Adama Mickiewicza, ogłoszone przez J. Kalenbacha, rzuciły dużo światła na stosunki kowieńskie Mickiewicza, który samotny, rozkochany w Maryli, bez pieniędzy i książek siedział i tęsknił między ludźmi obcymi. Jak wiadomo, jedyny ratunek w tym stanie rozdrażnienia i zwątpienia poeta znalazł w domu doktora Kowalskiego, którego piękna żona otoczyła młodego Filaretę troskliwą opieką. Według Odyńca („Wspomnienia z przeszłości“ 228) „była ona dla niego istotnie Opatrznością, jak ją sam nazwał w pół żartem.“ Rzeczywiście, „od pierwszych chwil poznania Adama przejęła się instynktowo dla niego jakby jakimś rodzajem czci, nie tylko przyjaźni i z całą energią niezłomnego swojego charakteru, a zarazem i z delikatnością niewieścią, zajęła się codziennem, cochwilowem osładzaniem mu tęsknego pobytu w Kownie.“ Przyjaźń niewieścia: tak charakteryzuje A. E. Odyniec stosunki między poetą i p. Kowalską. Ale nie mówiąc nawet o kwestyi ogólnej, o możliwości takiej przyjaźni między młodym geniuszem a młodą piękną kobietą, której wdzięki od razu oczarowały i samego Odyńca, mógłby dobroduszny przyjaciel Mickiewicza znaleźć w emfaticznych wyrazach p. Ko-

¹⁾ Artykuł niniejszy otrzymaliśmy od p. A. Pogodina, byłego profesora uniwersytetu warszawskiego, a obecnie wykładającego dzieje literatur słowiańskich w Charkowie. Jest to ustęp, przysłany nam przez prof. Pogodina w języku polskim, z obszernej pracy tegoż autora o Mickiewiczu, mającej w swoim czasie ukazać się po rosyjsku,

walskiej, „iż był dla niej w życiu najwyższym ideałem człowieka,“ coś więcej, niżeli samą przyjaźnią. Za Odyńcem mówili tak samo inni biografowie A. Mickiewicza: Chmielowski, J. Tretiak („Młodość Mickiewicza,“ II, 81), nawet Władysław Mickiewicz („Żywot,“ I, 49). Dziś wiemy, że to nie było tak, że p. Kowalską łączyła z poetą nie tylko miłość siostrzana, że była jego kochanką. Listy, ogłoszone przez p. J. Kallenbacha, są jasnym dowodem tego. Możemy wyśledzić rozwój tej miłości (zob. J. Kallenbacha „Mickiewicz w Kownie,“ Bibl. Warsz., 1911, Z. 1), która się zaczęła w początkach roku 1820. Pan Kowalski, jako lekarz powiatowy, rzadko bywał w domu; samotni, młodzi, „zawsze z sobą w parze,“ młody nauczyciel i pani Kowalska, która miała wtedy lat 28, przez długie wieczory rozmawiali i razem czytali. Zażyłość taka musiała przejść w miłość. W końcu maja Mickiewiczowi już „niewiele brakło do waryacyi, a częste przechodzenie chłopów (w dolinie kowieńskiej, gdzie się rozegrała ta scena) może tylko obroniło „od pokus nieestetycznych.“ Ale zwaryowanie przyszło swoim naturalnym trybem. Już w końcu czerwca Mickiewicz pisze do O. Pietraszkiewicza: „Ale teraz, teraz niestety, wyobraź, jeśli możesz, bóstwo z igrającym na barkach włosem, wśród białych muślinów, na wspaniałem łożu, w pięknym pokoju. Na to bóstwo *codziennie* patrzę, już estetyka uleciała.“

W lecie 1821 Mickiewicz był w Kownie, ale „wszyscy z Kowna wyjechali, *n. b.* wszyscy!“ Co znaczy to *notabene*, jeżeli to nie jest wzmianka o rzeczy, dobrze wiadomej F. Malewskiemu. We wrześniu tegoż roku poeta przybył do Kowna, ale nie na długo: miał mieszkać w Wilnie, otrzymawszy urlop. Stąd oziębłość. „Dziwne było powitanie. Adama ani na oczy; bo już Kowno porzuca. Niema innego środka do pojednania się, tylko przrzec mieszkać ciągle w Kownie; środek niepodobny do użycia. Postępujemy więc z sobą bardzo oziębłe.“ We wrześniu 1822 wszystko już było skończone: to, co „niegdyś tutejszy (kowieński) pobyt osładzało,“ teraz tylko smuciło, a często przerażało poetę. W październiku 1822 r. pisze Mickiewicz do Zana: „Była teraz w Wilnie Kow. Już tylko dla mnie jest panią Kow., rzadko widywać się z sobą kazała! Wie o życiu Peri“ (Maryli). Nareszcie 1 lutego 1823 r. ostatnia wzmianka: „O powikłanych i fatalnych stosunkach z Kleopatry nie donoszę.“

Tak przedstawia się stosunek, łączący Mickiewicza z panią Kowalską. Przez dwa lata ciągnęła się miłość, która nie była miłością w rodzaju odeskich. Czy nie zostawiła ona śladu w poezji Adama Mickiewicza? Wiemy, że poeta opiewał Johasię (zob.

artyk. J. Kallenbacha, 80), Karolinę Sobańską, inne „Danaidy“ odeskie, później pannę Jaenisch, nie mówiąc już o Maryli Puttkammer. Czyżby zupełnem milczeniem zbył miłość głębszą do pani Kowalskiej? Nie zdaje się to być naturalnem. Już w Kownie zaczął Mickiewicz sonety (naprz. „Do Niemna“). Pomiędzy sonetami miłosnymi, odbijającymi wrażenia nietylko odeskie, ale i wcześniejsze, znajdujemy kilka, które są, mojem zdaniem, poświęcone właśnie p. Kowalskiej i nie mogą się stosować do „Danaid.“ Niema tu żadnej aluzji do podarunków, do wierszy, na które były tak chciwe Danaidy. Powaga uczucia, wielka wzniosłość nastroju, delikatność, tak charakterystyczne dla Filarety, odbijają się bardzo od szyderych wyrazów wzgardy, którą obdarzał poeta Danaidy odeskie. Sądzę, że sonety XVI — XIX malują właśnie obraz miłości Mickiewicza dla pani Kowalskiej.

„Serce twoje, *co cierpiało tyle*, zbyt ufałaś mej enocie, zbyt swej własnej sile, i nazbyt ognia stwórca wlał w nasze istoty. *Przewalczylismy wiele i dni, i tygodni, młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze, i byliśmy oboje długo siebie godni.*“ Pisma Mickiewicza dowodzą, że to była szczerza prawda: długa walka, o której nie może być mowy w Odesie („wiele tygodni“), samotność, której nie znał poeta w Odesie, wzajemny szacunek, którego nie czuł Mickiewicz do „pieszczotek“ odeskich. Razem to daje wrażenie czystej a prawdziwej miłości. Jej tryumf nie był radością dla obojga kochanków, którzy żalowali utraty „uczuc estetycznych.“ Ale zmienić rzeczy było już zapóźno. Sonety „Dzień dobry,“ „Dobranoc“ i „Dobry wieczór“ wskazują, jak ułożyły się te stosunki nadal. Poeta widzi p. Kowalską „na łożu,“ wśród muślinów i t. d. Ale p. Kowalska jest uczciwą a wstydliwą kobietą. Poeta przyszedł ją obudzić. „Nie śmiej budzić!“ Kochanka nie jest zadowolona, wypędza go. „Nie pozwalasz ucałować ręki? Każesz odejść? Odechodzę: oto masz sukienki.“ Tak samo wieczorem. „Już dziś więcej nie będziem bawili.“ Kochanka smutna, miłość nie przyniosła jej radości; zgryzoty, o których mówi sonet XVI, „pustoszą“ jej serce, które już tyle cierpiało. „Niech odpoczną po łzach twoje oczy, niech się serce pokojem zasili.“ Bliższy stosunek między poetą a p. Kowalską już istnieje, ale coś stoi między niemi i teraz. „Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta, pozwól lica. Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć? *Daj mi pierś ucałować... Dobranoc!.. zapięta...*“ Nareszcie ostatni sonet, zwrócony do p. Kowalskiej: „Dobry wieczór.“ „Niechaj dzieńdobry wschodzi tym, *co społem żyją...* Dobranoc *niech szczęśliwych kochanków otoczy...*“ Poeta nie należy już do

kochanków i nie może mieszkać z nią razem. „Mieszkam teraz sam jeden—pisze do Pietraszkiewicza we wrześniu 1821 r. — na przeciw jej okien, widzę w oknach światło; teraz jest godzina 12.“

W całej swojej poezji Mickiewicz jest wielkim realistą. Opowiadanie o pobycie swoim w domu nieboszczki matki, zupełnie zgodnie z rzeczywistością, włożył w usta Gustawa; cierpienia miłosne, pożegnanie z Marylą w opowiadaniu Gustawa są do ostatniego słowa odbiciem uczuć własnych, przypadków z życia własnego poety. Nikt dotąd nie mówił tak szczerze i prosto o miłości, dlatego, że nikt nie czuł jej tak, jak Mickiewicz. Poeta rozszerza serce człowieka, uczy go nowych uczuć, nowych prawd serca. Dlatego nie jest próżną ciekawością badanie tej strony życia poety.

PROF. D-R A. POGODIN.

STOPIEŃ WŁADANIA ZIEMIĄ

a stosunki ludnościowe w zaborze pruskim.

Przodujące niegdyś liczebnie wychodźtwa zamorskiemu Niemcy, zajmują dzisiaj w zarobkowych wędrownkach amerykańskich jedno z miejsc ostatnich. Znamienna ta zmiana, będąca wynikiem potężnego rozrostu gospodarczego Rzeszy, olbrzymiego rozwoju produkcji przemysłowej i rolniczej tejże, bynajmniej świadczyć nie może o zwiększeniu się stopnia stałości osiedlenia ludności cesarstwa niemieckiego. Przeciwnie, badając nieco bliżej stosunki ludnościowe w Niemczech, zwróci na się uwagę badacza fakt znacznego przelewania się zasobów ludnościowych z jednej części kraju do drugiej, inaczej mówiąc, Niemcy są dzisiaj krajem ożywionych *wewnętrznych* wędrowek zarobkowych, przy bardzo słabych, dodać należy, wędrownkach zewnętrznych.

Fakt ten, stwierdzony naukowo, tłumaczy nam, czemu ludność Niemiec współczesnych tak szybko wzrasta liczebnie, albowiem cały prawie przyrost naturalny, nawiasem mówiąc dosyć wysoki, pozostaje wewnątrz granic państwa niemieckiego. Jednocześnie wyjaśnia on nierównomierność faktycznego wzrostu liczebnego ludności w poszczególnych krajach i w poszczególnych prowincjach Rzeszy i państw pojedynczych. Wędrownki bowiem wewnętrzne w jednych częściach Rzeszy zmniejszają przyrost naturalny, w innych zaś faktyczne powiększenie się liczby ludności znacznie przewyższa, wskutek właśnie tych wędrowek wewnętrznych, tenże przyrost naturalny.

Ogólna ta charakterystyka dotyczy zwłaszcza największego państwa związkowego—Prus. Jeżeli weźmiemy pod uwagę terytorium królestwa pruskiego, wówczas linią demarkacyjną pomię-

dzy częścią, w której wędrowki wewnętrzne zmniejszają przyrost naturalny, a częścią, w której zauważyć się daje wzrost znaczny tegoż naturalnego przysporzenia, jest rzeka Łaba. Wedle ciekawych w tym względzie badań profesora berlińskiego *Sering'a* w okresie czasu od r. 1880 do r. 1905 wszystkie obwody rejencyjne zachodnie, lewołabskie, wykazują przyrost ludności zamieszkałej po wsiach i na obszarach dworskich, obwody natomiast wschodnie, prawołabskie, wykazują zmniejszenie się tejże. Zatem prawołabskie terytoryum pruskie jest terenem dostarczającym ludnościowych zasobów dla terytoryum lewołabskiego, czyli wędrowki zarobkowe wewnętrzne idą od strony wschodu ku zachodowi, z prawego brzegu Łaby na jej brzeg lewy.

Jakież tedy przyczyny wpływają na takie rozgraniczenie terytoryum królestwa pruskiego? Wiadomo przecież, że jednym z najgłówniejszych powodów wędrowek zarobkowych, czy to zewnętrznych, czy też wewnętrznych jest rozwój przemysłowy tych krajów, do których wędrowki te się skierowują. Jeżeli tedy z tego punktu widzenia chcielibyśmy rozpatrywać wewnętrzną emigrację w Niemczech, wówczas otrzymalibyśmy rozwiązanie niecałkowite i jednostronne. Jest wprawdzie lewołabska część Prus bardzo uprzemysłowioną, tworzą ją przecież pomiędzy innymi prowincjami: Westfalia i Nadrenia, Hanowerskie i akwizgrański obwód górniczy, aleć przecież na prawej stronie Łaby znajduje się i okręg przemysłowy poczdamski, wielkoprzemysłowy Ślązk Górny oraz wielkie miasta Berlin i Wrocław, wokół których rozsiadły się gęsto liczne kolonie fabryczne.

Przyznać jednak trzeba, że pod względem rozwoju przemysłowego lewołabska część Prus znacznie przewyższa część prawołabską. Różnica jednak nie jest tak wielką, by w zupełności tłómaczyła odrębność tych dwóch części królestwa pruskiego, występującą tak jaskrawie, w swoistych wynikach, jakie statystyka ludności w Prusiech otrzymała w ostatniem dwudziestopięcioleciu.

O wiele natomiast pełniejszą i ściślejszą odpowiedź daje nam rozpatrzenie ciekawego tego zagadnienia z punktu widzenia stopnia władania ziemią. Do również bowiem ważnych powodów, wywołujących masowe zjawisko wędrowek zarobkowych należy głód gruntowy, dążenie włościanina ku zdobyciu własnego zagonia ziemi. Tam więc, gdzie włościanie niewiele posiadają ziemi, gdzie tedy przeważa wielka lub średnia własność, tam głód gruntowy jest silniej rozwinięty, aniżeli w prowincjach o przeważającej własności włościańskiej drobnej. Stąd więc konsekwentnie wypływa, że w prowincjach o przeważającej własności drobnej

wędrówki zarobkowe są słabiej rozwinięte, aniżeli w tych miejscowościach, w których przeważa własność wielka i średnia.

Ważnym również momentem w tej kwestyi jest i ta okoliczność, że włościanin, posiadający drobną własność rolną powstrzymuje członków swej rodziny od wędrówki zarobkowej, gdyż przez wychodźstwo traci robociznę, wydajność i sprawność pracy całego gospodarstwa zmniejsza się. Bez wątpienia, że i z tego powodu, drobna własność rolna hamująco oddziaływa na rozwój wędrówek zarobkowych czy to zewnętrznych, czy też wewnętrznych.

Rozpatrując tedy z tego punktu badania, nierównomierne natężenie wędrówek zarobkowych wewnętrznych w Prusiech, zrozumią się staję linia demarkacyjna Łaby. Albowiem, jak to wykazał w badaniach swych wyżej wzmiankowany prof. *Sering*,¹⁾ lewołabska część Prus jest połacią chłopską, o przeważającej własności drobnej, kiedy natomiast prawołabska część królestwa pruskiego, jest naogół połacią ziemiańską o przeważającej wielkiej własności rolnej.

Ziemie polskie zaboru pruskiego leżąc tedy na wschodnim, prawem wybrzeżu Łaby, znajdują się tem sanem w obrębie tej połaci, którą cechują znaczne wewnętrzne wędrówki zarobkowe na brzeg zachodni, prawołabski. Leżą one w tej części Prus, w której naogół przeważa wielka własność rolna.

Czy zatem ziemie polskie zaboru pruskiego są w tych warunkach zbiornikiem sił emigrujących na zachód, na lewy brzeg Łaby, jak przytem wędrówki zarobkowe wewnętrzne oddziaływały na liczebny układ ludnościowy oraz jakie są nasze na tem polu postępy lub cofania, zyski i straty?

Zabór pruski składa się z czterech dzielnic polskich, w których ludność polska stanowi obecnie bądź to bezwzględną większość ogółu ludności, bądź też bardzo poważną liczebnie mniejszość, w rzadkich tylko przypadkach mniejszą od 25% ogółu ludności. Dzielnicami temi są: Śląsk Górny, W. Księstwo Poznańskie, Prusy Zachodnie i Prusy Wschodnie. W granicach tych czterech prowincyj, ciągle etnograficzne terytorium polskie leży w obrębie obwodów rejencyjnych: 1) wrocławskiego (znikoma część), 2) opolskiego, 3) poznańskiego, 4) bydgoskiego, 5) kwidzińskiego, 6) gdańskiego (część), 7) gabińskiego (część) i 8) królewieckiego (część), obejmując łącznie 93 powiaty, z ogólnej liczby których, zaledwie w 3 mieszka mniej aniżeli 10% ludności polskiej.

¹⁾ M. Sering: Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande. Rede, gehalten im Königlich Preussischen Landes-Oekonomie Kollegium am 11. Februar, 1910. Berlin, 1910.

Terytoryum, w ogólnych granicach powyżej zakreślone, nie jest jednolitem ani pod względem rozwoju przemysłowego, ani też i co do stosunków, dotyczących władania ziemią. Ślązk Górny naprzykład jest wielkokapitalistycznym ogniskiem przemysłowym, jednym z największych, istniejących w granicach Rzeszy niemieckiej. Pod względem rozwoju przemysłowego zarówno Poznańskie jak Prusy Zachodnie oraz Królewskie daleko poza Ślązk Górny pozostały w tyle, będąc dzielnicami wybitnie rolniczymi. Również i pod względem podziału własności rolnej w poszczególnych dzielnicach zaboru pruskiego wybitne występują różnice. Znacznie bowiem odbijają się na tle potężnych śląskich gospodarstw leśnych, drobne gospodarstwa kaszubskie w Prusach Zachodnich.

Terytoryum polskie jest już od dłuższego czasu, od r. 1886, terenem akcji kolonizacyjnej, przeprowadzanej przez rząd pruski za pośrednictwem Komisji kolonizacyjnej w Poznaniu, oraz terenem jednocześnie wybitnej akcji parcelacyjnej ze strony polskiej, będącej obroną przed rządową akcją osadniczą. Prowadzone w jednym kierunku, z punktu widzenia gospodarczego, ze stanowiska badania stosunków, dotyczących władania ziemią, aczkolwiek z wręcz przeciwnych sobie powodów, obie te akcje wpływają na zwiększenie drobnej własności rolnej, a tem samym ograniczająco wpływają na rozwój wędrowek zarobkowych.

Inna natomiast przyczyna wpływa na dosyć znaczną intensywność wędrowek zarobkowych na zachodni, lewy brzeg Łąby. Mianowicie, Polacy będąc uposażeni w znacznie mniejsze środki materialne, nie mogli rozwinąć parcelacji w kierunku tworzenia samodzielnych ekonomicznie gospodarstw. Z tego powodu namnożyła się znacznie ogólna liczba gospodarstw karłowatych, poniżej 2.5 hektarów, których to gospodarstw w Poznańskim i Prusach Zachodnich znajduje się około 225,000. Gospodarstwa karłowate nie mogą wyżywić swych właścicieli z ich rodzinami, to też znaczna część ludności, gospodarującej na zagrodach karłowatych, emigruje za zarobkiem do miast, do ośrodków przemysłowych zachodnich lewołabskich. Dodać trzeba, że właściciele gospodarstw karłowatych to wyłącznie prawie Polacy, stąd też wędrowki zarobkowe na zachód, składają się wyłącznie z ludności polskiej, obniżając jej stan liczebny w dzielnicach polskich.

Efekt działania wędrowek zarobkowych na stan liczebny ludności, zamieszkałej w obrębie polskiego terytoryum etnograficznego naogół da się scharakteryzować następująco:

Z wyjątkiem miast, które zazwyczaj są ośrodkami przemysłowymi i handlowymi, i które w ten sposób przyciągają do się

ludność wiejską, wszystkie prawie powiaty z przeważającym lub też dosyć znacznym odsetkiem ludności polskiej, wykazują *ubytek* ludności wskutek wędrówek zarobkowych. Miasta natomiast wykazują przyrost liczebny mieszkańców i to bardzo znaczny, a to głównie wskutek wędrówek zarobkowych do miast. Ubytek ten zmniejszając przyrost naturalny, nie jest jednak w stanie zupełnie go zneutralizować, to też za okres trzydziestopięcioletni od r. 1871 do r. 1905, przysporzenie faktyczne wykazać się pozwala jako wielkość dodatnia. Pomimo, że wędrówki zarobkowe wywołują ubytek ludności zamieszkałej po wsiach i na obszarach dworskich, to jednak za tenże okres trzydziestopięcioletni uwładnia się znacznie przysporzenie ludności po wsiach i na obszarach dworskich zamieszkałych. Wobec tego zwiększyła się również i gęstość zaludnienia jak wogóle dla całego terytorium etnograficznego, tak i dla poszczególnych dzielnic oraz powiatów.

Celem zobrazowania przeto wszystkich tych zmian, jakie w ciągu ostatniego trzydziestopięcioletnia od r. 1871 do r. 1905 zaszły, omawiamy poniżej wykazy, przedstawiające przedewszystkiem odsetek ludności polskiej w każdym powiecie, stan władania ziemią wedle danych z r. 1895 i r. 1907, faktyczny stan liczebny ludności w r. 1871 oraz r. 1905 wraz ze wskazaniem gęstości zaludnienia dla tych dwóch krańców omawianego okresu i wykazaniem zwiększenia się lub zmniejszenia tejże gęstości. Pozatem wykazy te wskazują przyrost naturalny i faktyczny przeciętny dla jednego pięcioletnia, w okresie od r. 1871 do r. 1905, z wykazaniem przyrostu lub ubytku tegoż wskutek wędrówek zarobkowych. W końcu wykazany jest przyrost lub ubytek ludności wiejskiej specjalnie za cały okres dwudziestopięcioletni w odsetkach stanu liczebnego tejże w r. 1871.

Wykazy te opracowane zostały pod kierunkiem d-ra Aleksandra Raabego ze Schmargendorfu, asystenta prof. Seringa, który na nich właśnie oparł swoje wywody, dotyczące zależności pomiędzy stopniem władania ziemią a wędrówkami zarobkowymi.

Zaczynamy od *ziemi śląskiej*. Polacy zamieszkują tutaj cały obwód opolski — Ślązk Górny (16 powiatów) oraz dwa powiaty obwodu wrocławskiego (Ślązk Środkowy). Na 18 powiatów w 13 mieszka powyżej 50% ludności polskiej, w 4 — powyżej 25%, a tylko w jednym — pow. niemodlińskim — niespełna 10% Polaków. Cały ten obszar jest terenem przeważnie wysokoprzemysłowym. Pod względem władania ziemią przeważała liczba powiatów, w których drobna własność wynosiła przeszło 50% ogólnego obszaru rolnego. Powiatów takich o przeważającej drobnej własności rolnej było w r. 1895—13, zaś w r. 1907—14.

Wielkoprzemysłowy charakter Ślązka Górnego, oraz wybitnie drobny stan władania ziemią złożyły się łącznie na to, iż naogół dzielnica śląska wykazuje znaczny faktyczny przyrost ludności, przy znacznie niższych od reszty dzielnic polskich stratach wskutek wędrowek. Niektóre zaś powiaty przemysłowe, jak: bytomski i królewsko-lucki, katowicki, zabrzański wykazują znaczny przyrost ludności właśnie dzięki wędrowkom. Przykłady te potwierdzają raz jeszcze fakt zauważony w statystykach wędrowek, wedle którego ośrodki przemysłowe przyciągają do się zasoby ludnościowe z okolic małoprzemysłowych.

Ze zaś ubytek ludności wskutek wędrowek jest na Ślązku nieznacznym, przeto i przyrost ludności wiejskiej, zamieszkałej po wsiach i na obszarach dworskich jest dosyć wysokim. Przyrost ten wynosi w odsetkach stanu z r. 1871 dla 8 powiatów — powyżej 20%, dla 2 — od 10 do 20%, dla 5 — od 0 do 10%, dla 2 — ludność wiejska ubyła, przyczem ubytek wynosił od 0 do 10%, zaś dla 1 powiatu ubytek ten przeniósł 10%.

Inaczej przedstawiają się dane dla *W. Księstwa Poznańskiego*. W tej dzielnicy Polacy zamieszkują wszystkie 28 powiatów obwodu rejencyjnego poznańskiego oraz 14 powiatów obwodu bydgoskiego. Na ogólną liczbę 42 powiatów w 31 — mieszka powyżej 50% Polaków, w 7 — powyżej 25%, w 3 — powyżej 15%, w jednym tylko powiecie skwirzyńskim zamieszkuje zaledwie 5.2% ludności polskiej. Obszar ten wybitnie rolniczy posiada niewiele ośrodków przemysłowych i to bardzo słabych. Główną siłą przyciągającą wędrowki zarobkowe są miasta, zwłaszcza stolica Księstwa — Poznań oraz centrum obwodu bydgoskiego, Bydgoszcz.

Księstwo Poznańskie jest obszarem o przeważającej większej i średniej własności rolnej. Wedle danych z r. 1895 i r. 1907, w całym Księstwie było w r. 1895 — 3 powiaty o przeważającej drobnej własności, zaś 37 powiatów o przeważającej wielkiej i średniej własności (bez miast: Poznania i Bydgoszczy). Liczba powiatów małorolnych zwiększyła się wprawdzie w r. 1907, wynosząc już 8, przy jednoczesnym zmniejszeniu się liczby powiatów o przeważającej wielkiej i średniej własności do 34. Naogół tedy *W. Księstwo Poznańskie* jest dzielnicą wielkiej własności rolnej i ten jej charakter wpływa na znaczne zmniejszenie przyrostu naturalnego przez wędrowki zarobkowe. W omawianym okresie od r. 1871 do r. 1905, z ogólnej liczby powiatów Księstwa 4 powiaty wykazały ubytek przyrostu naturalnego ludności powyżej 100%, 30 powiatów — od 50 do 100%, 6 powiatów — poniżej 50%, a tylko dwa powiaty miejskie: poznański i bydgoski wykazują przyrost powyżej 10%.

Dzięki tylko silnemu przysporzeniu naturalnemu ludności w żadnym z powiatów poznańskich i bydgoskich nie dał się zauważyć ubytek faktyczny ludności wiejskiej. Wykazują one nawet jej przyrost rzeczywisty, ale za to nieznaczny: w 13 powiatach waha się on pomiędzy 0 a 10%, w 19 — 10 do 20%, jeno w 8 — przewyższa 20% (bez Poznania i Bydgoszczy). Stąd też pochodzi, że zwiększenie się gęstości zaludnienia jest znacznie słabsze, aniżeli na Ślązku Górnym.

Podobnie ułożyły się stosunki i w *Prusach Zachodnich*, nie różniących się wcale od Księstwa Poznańskiego ani swym rozwojem przemysłowym, ani też stosunkami, dotyczącymi władania ziemią.

Na 23 powiaty zachodnio-pruskie, leżące w obrębie polskiego terytorium etnograficznego (cały obwód kwidzyński i część obwodu gdańskiego) w 12—ludność polska przewyższa 50% ogólnej liczby ludności, w 6—przenosi 25%, w 3—przenosi 10%, zaś w dwóch: saskim i gdańskim (Wyżyny) odsetek ten niższym jest od 10%.

Prusy Zachodnie również są krajem wybitnie rolniczym, nieposiadającym oprócz miast, głównie Gdańska, Torunia i Grudziąza, większych ośrodków przemysłowo-handlowych. Dzielnica zachodnio-pruska jest przytem wyraźnie obszarem wielkiej i średniej własności rolnej; w r. 1895 nie było w całej tej dzielnicy powiatu, w którymby własność drobna wynosiła więcej połowy obszarów rolnych, w r. 1905 powiatów takich było zaledwie 2, wliczając w to miejski powiat toruński.

W tych warunkach w ciągu omawianego okresu wykazały Prusy Zachodnie znaczne zmniejszenie swego naturalnego przyrostu ludnościowego przez wędrowki zarobkowe. Ubytek taki wykazały 4 powiaty powyżej 100%, 16 — od 50 do 100%, 3—poniżej 50%; przyrost natomiast wykazały dwa powiaty miejskie: toruński i grudziądzki oraz powiat wejcherowski (przyrost nieznaczny 0.3%). To też i zwiększenie się ludności wiejskiej naogół było nieznaczne, a nawet niższe aniżeli w Księstwie Poznańskim. Mianowicie 2 powiaty wykazały ubytek ludności wiejskiej powyżej 10%, 1—ubytek od 10—0%, 7—przyrost od 0—10%, 6—od 10—20% i 5 powiatów przyrost powyżej 20%.

Ostatnią dzielnicą polską są *Prusy Wschodnie*, mianowicie część obwodów rejencyjnych: gąbińskiego i królewieckiego, w ogólnej liczbie 10 powiatów, z których w 5 powiatach mieszka Polaków powyżej 50% ogólnej liczby ludności, w 4 — powyżej 30%, w 1 zaś powiecie reszelskim zaledwie 14%. Kraj to wybitnie

rolniczy, o przeważającej średniej własności rolnej, nie posiada więc ani jednego powiatu, w którym własność drobna silnie byłaby reprezentowana. Stan ten odbił się na stosunkach demograficznych w ten sposób, że rozwijające się wędrowniki zarobkowe obniżyły znacznie naturalny przyrost ludnościowy. Wedle danych w okresie omawianym 1 powiat wykazał ubytek powyżej 100%, 8—od 50—100%, 1—poniżej 50%. Przyrostu nigdzie określić nie było można. Tak ujemny wpływ wędrowek zarobkowych na zwiększanie się ludności wywołał również i wcale niedodatnie wyniki na wzrost ludności wiejskiej, zamieszkałej po wsiach i na obszarach dworskich. Pod tym względem 3 powiaty wschodnio-pruskie wykazały ubytek ludności wiejskiej od 10—0%, 5 powiatów wykazało przyrost od 0—10%, 2 zaś—od 10—20%. Powyżej 20% przyrostu ludności wiejskiej żaden powiat nie wykazał. Zatem pod tym względem wędrowniki zarobkowe najujemniejsze wyniki wykazały w Prusach Wschodnich.

Wystarczy bliższe przyjrzenie się materiałowi statystycznemu, aby uchwycić zależność pomiędzy stopniem władania ziemią a przyrostem lub ubytkiem ludności, względnie dodatniem lub ujemnem oddziaływaniem wędrowek zarobkowych na stosunki ludnościowe.

I jeno dużemu przyrostowi naturalnemu, a co najważniejsze, zwiększeniu się akcji parcelacyjnej polskiej przypisać należy, iż wogóle polskie terytorium etnograficznie wykazuje przyrost ludności, pomimo, że leży ono na prawołabskim brzegu, w stronach o zmniejszającej się liczebnie ludności.

Że zaś kwestya polska w zaborze pruskim przedewszystkiem zależeć będzie od liczebnej i gospodarczej siły ludności polskiej, że oba te czynniki, przy rozwiązywaniu wielorakich zagadnień, tworzących ową kwestyę, doniosły wpływ wywierają i wywierać będą, przeto akcyę polską, mającą na celu normowanie stosunków, dotyczących władania obszarem rolnym, należy prowadzić w kierunku jaknajbardziej sprzyjającym wzrostowi ludności.

Niemcy, opierając się na badaniach swych uczonych ekonomistów i demografów, drogę taką znaleźli, jest nią przecież kolonizacya. My ją również znamy—swoistą bowiem tą drogą, z punktu widzenia polskich interesów narodowych i politycznych, jest parcelacya, tworzenie drobnych, aczkolwiek ekonomicznie samodzielnych, zagród włościańskich.

Uzbrojenie pancerników dzisiejszych.¹⁾

Ukazanie się „Dreadnoughta“ w roku 1906 oznacza początek ewolucyi, którą przeżyły kolejno wszystkie marynarki wojenne. Przed tą datą, mianowicie od roku 1895, myśl przewodnia, którą kierowano się w wyborze artyleryi dla okrętu wojennego, była następująca: do kilku dział wielkiego kalibru, przeznaczonych do atakowania grubych blindaży nieprzyjacielskich, dołączano większą liczbę armat kalibru średniego, których zadaniem było burzenie tak zwanej superstruktury²⁾ oraz przebijanie blindaży cieńszych; wreszcie liczna artylerya lekka, rozmieszczona przeważnie w górnych częściach statku, miała odpierać ataki torpedowców.

We Francyi, ostatnimi statkami tego rodzaju były okręty typu „République,“ której budowę rozpoczęto w r. 1900. Uzbrojenie ich stanowią:

1-o cztery armaty 30¹/₂ centymetrowe, osadzone w dwóch wieżycach podwójnych osiowych,³⁾ z których jedna znajduje się na przedzie, a druga na tyle okrętu;

2-o osiemnaście armat 16 centymetrowych, z których dwanaście mieści się w sześciu wieżyczkach mniejszych, rozstawio-

1) Por. P. Bourgoïn, naczelny inżynier artyleryi morskiej. Les installations d'artillerie à bord des cuirassés modernes. Revue générale des Sciences. Numer z 30 grudnia 1910.

2) Superstruktura—całokształt górnych części statku, wystających ponad linię pasa pancernego.

3) Wieżycą podwójną zowie się wieżycą, przeznaczoną na dwie armaty, które umieszczone są w niej równoległe do siebie na jednym poziomie. Wieżycą osiową—w przeciwstawieniu do bocznej—zowie się wieżycą, umieszczoną na osi głównej, t. j. podłużnej, okrętu.

nych symetrycznie po bokach statku (pomiędzy wieżycami głównymi), a sześć pozostałych — w oddzielnych redutach opancerzonych, i wreszcie

3-o dwadzieścia sześć dział 47 milimetrowych, nie osłoniętych, które składają się na artylerję lekką pokładu.

Ciągły wzrost tej części powierzchni okrętowej, która zabezpieczona jest grubym pancerzem, jak również zwiększenie się odległości bojowej wywołały przewrót w zasadach, wedle których planowane były dotąd komplety artylerji. Aby lepiej zdać sobie sprawę z wpływu tych dwóch czynników, rozpatrzmy np. warunki, w których 16-o centymetrowa armata francuska może atakować z powodzeniem pancernik angielski typu „Magnificent.“

Na statkach tego typu (spuszczano je w latach 1895—1898) artylerja średnia składa się wyłącznie z dział 152 milimetrowych, które rozmieszczone są w oddzielnych redutach, okrytych pancerzem 15 centymetrowej grubości. Pomiędzy temi redutami rozciągają się znaczne przestrzenie superstruktury, których jedyną osłoną jest blacha stosunkowo cienka.

Otóż na odległości bojowej, równej 4000 metrów, pocisk 16 centymetrowy, padając pod kątem prostym, może jeszcze, choć nie bez trudności, przedziurawić blindaż reduty; tembardziej groźny będzie ten pocisk dla różnych części superstruktury, i przeto, w obrębie pomienionej mety, atak taki uznać można za zupełnie celowy. Rzecz prosta jednak, że na odległości, przenoszącej 4000 m., wobec niemożności przebicia blindażu przez nasz pocisk 16 centymetrowy, tylko artylerja ciężka zdolna jest walczyć skutecznie z armatami 152 milimetrowemi, zabezpieczonemi w sposób wyżej opisany.

Na okrętach typów „Król Edward VII“ i „Lord Nelson“, wykończonych w roku 1905, armaty 15 centymetrowe umieszczono w jednej dużej reducie, która zajmuje połowę długości całego statku i obwiedziona jest murem, grubym na przeszło 18 centymetrów. W tym samym mniej więcej czasie przekonano się, że dzięki różnym ulepszeniom, a zwłaszcza postępom w celowaniu, można z pożytkiem rozpoczynać ogień na odległości 8000 metrów. W tych warunkach niższość armaty 16 centymetrowej staje się oczywista, albowiem z takiej odległości jej pocisk, nawet wystrzelony prostopadle, niezdolny jest przebić płyty pancernej, grubszej nad 70 milimetrów.

Aby więc atakowi i obronie przywrócić ich położenia względne dawniejsze, trzeba było zwiększyć potęgę artylerji średniej, i z tej to właśnie potrzeby zrodził się pomysł „Dreadnought'a“

oraz wszystkich okrętów, zwanych all big gun ships,¹⁾ dla których Dreadnought stał się pierwowzorem. Uzbrojenie główne tego pancernika składa się z 10 armat 30½ centymetrowych, rozmieszczonych w 5 wieżycach podwójnych, z których trzy są osiowe, a dwie boczne. Artylerya lekka liczy 16 armat 102 milimetro-
wych; i tu również ujawnia się zwiększenie kalibru, ponieważ na „Lordzie Nelsonie“ i „Królu Edwardzie VII“ kaliber dział lekkich wynosił tylko 76 milimetrów.

A zatem, pod względem uzbrojenia, cechy charakterystyczne „Dreadnought’a“ są następujące:

Zwiększenie i ujednostajnienie kalibru artyleryi ciężkiej, złożonej wyłącznie z dział 30½ centymetrowych, usunięcie artyleryi średniej oraz zwiększenie potęgi artyleryi lekkiej.

Ta ostatnia zmiana jest równie racjonalna, jak i poprzednie, a wypływa z przeobrażenia, jakiemu w tymże czasie uległ torpedowiec eskadrowy, który jest dzisiaj właściwie kontrtorpedowcem o pojemności, wahającej się pomiędzy 700 a 1800 tonn (typ Swift) i który, dzięki takim wymiarom, może pełnić służbę prawie niezależnie od stanu morza. Takie zwiększenie rozmiarów torpedowca z konieczności pociągnęło za sobą wzmocnienie jego budowy, a wskutek udoskonalenia torpedy wzrosła znacznie w ciągu lat ostatnich dalekość jej skutecznego rzutu. W wyniku tego wszystkiego, aby utrzymać na dawnym poziomie skuteczności działania artyleryi lekkiej przeciw torpedowcowi, trzeba było powiększyć także i jej kaliber.

Względy powyższe, łącznie z naukami wojny rosyjsko-japońskiej, wpłynęły na wytworzenie się w sferach miarodajnych jednomyślnego prądu opinii, tak, iż pancerniki, budowane obecnie w różnych państwach, wykazują pod względem uzbrojenia cechy zasadniczo wspólne. Jeszcze bardzo niedawno Francya i Japonia, odrzuciwszy zupełnie artyleryę średnią w typach „Danton“ i „Satsuma“, nie uznawały jednolitości kalibru w artyleryi ciężkiej; dzisiaj i one przeprowadzają tę zasadę jaknajściślej.

Wogóle należy zaznaczyć, że dążność do powiększania kalibru stała się dziś powszechną i to zarówno w zakresie uzbrojenia głównego, jak i wtórnego. „Lion“ i „Orion“, spuszczone świeżo w Anglii, otrzymały mają: pierwszy 8 dział 13½ calowych (34 cm.), drugi 10 armat tegoż kalibru. Pancernik brazylijski „Rio de Janeiro“, budowany w warsztatach angielskich, będzie

¹⁾ T. j. okrętami, na których wszystkie działa są dużego kalibru.

posiadał 12 dział 356 milimetrych, a marynarka włoska zajmuje się próbami armaty o kalibrze, równym 406 milimetrom.

Zdolność przebijająca armaty 30 centymetrowej, w którą uzbrojone są prawie wszystkie pancerniki nowsze, może być niewątpliwie uważana za wystarczającą na wszelkich odległościach bojowych wobec dzisiejszej grubości pancerza; dalsze zwiększanie kalibru ma przedewszystkiem na celu powiększanie ładunku wybuchowego pocisków.

Co się tyczy artylerii lekkiej, to kaliber jej maksymalny Stany Zjednoczone podniosły ostatnio do 127 milimetrów (typ „Wyoming“), a Francya do 14 centymetrów (typ „Jean Bart“); na najnowszych okrętach niemieckich, japońskich i brazylijskich kaliber ten dochodzi nawet do 15 centymetrów.

Ostatecznie pancerniki najnowszych modeli uzbrojone są w dziesięć do trzynastu dział („Giulio Cesare“) przynajmniej 30 centymetrych, rozmieszczonych w wieżach podwójnych lub potrójnych. Na uzbrojenie wtórne składa się mniej więcej dwadzieścia dział, których kaliber waha się pomiędzy 10 a 15 centymetrami. Widzimy więc, że artyleria średnia, usunięta zupełnie z „Dreadnought'a“ i statków pokrewnych, ukazuje się z powrotem na niektórych okrętach najnowszych, ale rola jej dzisiejsza jest całkiem odmienna od dawnej, albowiem głównem jej zadaniem jest teraz odpieranie ataków kontrtorpedowców.

Taki skład artylerii wtórnej, całkiem usprawiedliwiony, gdy chodzi tylko o atak, wykonany przez kontrtorpedowce we dnie, podlega poważnym zarzutom, jeżeli uwzględnimy okoliczności specjalne bitwy nocnej.

W rzeczy samej, w tym drugim przypadku, pomimo największej sprawności reflektorów, statek atakujący najczęściej będzie wykryty z pancernika dopiero na odległości stosunkowo nieznacznej. W tych warunkach zmniejsza się bardzo przewaga, jaką zapewnia większy kaliber zarówno pod względem celności strzałów, jak i siły przebijającej. Przewaga ta zredukuje się jeszcze bardziej, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że maksymalna częstość strzałów armatnich zmniejsza się w nocy o znaczny ułamek swej wartości normalnej, a ponieważ częstość ta maleje w miarę zwiększania się kalibru, przeto łatwo jest zrozumieć, że wobec ograniczonej liczby dział musi istnieć pewien kaliber graniczny, powyżej którego częstość strzałów, jaką osiągnąć można, jest absolutnie niewystarczająca.

Względy powyższe nakazywałyby zatrzymać artylerię lekką w uzbrojeniu pokładu; ale wtedy zjawia się trudność zapewnie-

nia dostatecznej ochrony tym armatom, których nie można przecież umieścić gdzieindziej, jak tylko w górnej części okrętu. Dotąd niezdolano pokonać tej trudności w sposób zadowalający; między innymi rozwiązaniami proponowano ukryć artyleryę lekką w rurach pancernych o małej średnicy, naprzemian otwieranych i zamykanych automatycznie.

Rozmieszczenie artyleryi ciężkiej bywa na różnych statkach dość rozmaite.

„Dreadnought“ i okręty pokrewne mają, jak widzieliśmy, po 5 wieżyc podwójnych, z których 3 są osiowe a 2 boczne, umieszczone symetrycznie. Tym sposobem statek w pościgu lub ucieczce może strzelać jednocześnie z sześciu dział 30 centymetrowych, a mianowicie: z dwóch wieżyc bocznych (4 lufy) oraz z jednej osiowej, przedniej lub tylnej (2 lufy). W kierunku poprzecznym statek taki ma możność strzelania jednoczesnego z ośmiu dział: z trzech wieżyc osiowych (6 luf) oraz z jednej bocznej (2 lufy).

Na statkach „Minas Geraes“ i „San Paulo,“ zbudowanych w Anglii dla Brazylii, uzbrojenie główne składa się z dwunastu dział 30 centymetrowych, ustawionych w sześciu wieżycach podwójnych, z których cztery są osiowe, dwie zaś umieszczone po bokach, ale nie symetrycznie. Z pomiędzy czterech wieżyc osiowych dwie ustawione są tuż przy sobie na przedzie okrętu, a dwie pozostałe również tuż przy sobie—z tyłu; nadto, w każdej z tych par, wieżyca, bliższa środka okrętu, góruje nad swą sąsiadką skrajną, tak, iż jak tego dowiodły próby, strzały, dawane z wyższej, w niczem nie przeszkadzają strzałom, dawanym z niższej, i odwrotnie. Łatwo zrozumieć, że dzięki takiemu rozkładowi, statek może w pościgu lub ucieczce strzelać jednocześnie z ośmiu dział, w kierunku zaś poprzecznym—z dziesięciu.

W Anglii, w Stanach Zjednoczonych, we Włoszech i w Rosyi ustaliło się ostatnimi czasy przekonanie o bezwzględnej wyższości kanonady poprzecznej nad podłużną. Koncepcya ta, za którą przemawiają względy natury taktycznej, jest właśnie przyczyną tego, że na okrętach, budowanych przez wymienione państwa, nadaje się przewagę wieżycom osiowym, które pozwalają zużytkować wszystkie lufy w kierunku poprzecznym, gdy tymczasem wieżyce boczne dają tę możność tylko w pościgu lub ucieczce.

PIŚMIENNICTWO.

ST. TARNOWSKI: *Julian Klaczko*, I i II. Czcionkami drukarni Czasu. 1909.

Jądrem całej psychologii Klaczki jest wyświecenie jego uniwersalizmu. Dlaczego ten młodziutki poeta w parę lat po dziecinnych próbach poetyzowania występuje już jako niezwykle publicysta polityczny, by w dalszym ciągu swej działalności spełniać równoległe rolę naczelnego krytyka literatury i sztuki i pierwszorzędnego teoretycznego, a chwilowo i praktycznego polityka swego pokolenia? Przy szukaniu odpowiedzi na to pytanie (i wiedzieli o tem prawie wszyscy, którzy o Klaczce pisali) należy mieć przedewszystkiem możność ujrzenia rozwoju tego człowieka od wewnątrz, od strony warsztatu, na którym rodziły się pomysły i obowiązki, zasady i czyny Juliana Klaczki. Prof. Tarnowski dokonał tego bardzo potrzebnego zadania za pomocą najwłaśniejszego środka, jakim narazie mógł rozporządzać: mianowicie ilustrował pisma Klaczki jego listami do przyjaciół i czasem, choć rzadko, osobistymi wspomnieniami. Te listy do przyjaciół, to wielka, jak się okazuje z dzieła, korespondencya z ks. Janem Koźmianem, Lud. Kastorym (wychowawcą synów księcia Adama Czartoryskiego) i Eustachym Januszkiewiczem. Prof. Tarnowski, zużytkowując ten materiał, stworzył nowy, z innych źródeł, dotychczas prawie nieznaną wizerunek płodnego życia Juliana Klaczki. Warto zaś zaznaczyć, że mimo nieulegającej wątpliwości powagi imienia Klaczki, ubiegłe dziesiątki lat, prócz przekładów francuskich pism i przygodnych studyów (Chmielowskiego, Hoëssicka), nie przyniosły nowego oświecenia tej wybitnej osoby i talentu.

Klaczko urodzony i wychowany na rubieży pokoleń, z których jedno pamiętało jeszcze Królestwo Kongresowe i całe jego

pół-wolne życie, a drugie targano się w walkach emigracyjnych, żyjąc niejako z dnia na dzień, gdyż z dnia na dzień czekano na jakąś rozstrzygającą wieść z kraju—rzucił się w wir walk swego pokolenia ze swobodnym, jemu tylko właściwym gestem. Zdaje się, że on jest jedynym przykładem pisarza, którego pisma nie noszą już śladu walk wewnętrznych, który wypowiedzenie się swoje nie obciążał, nieraz drogocennym, lecz zawsze zdezoryentującym balastem myśli, rodzących się i wykształcających dopiero w czasie pisania. Klaczko dawał rzeczy skończone formalnie i treściowo. W ciągu pisania nie ulegał żadnym impulsom. Entuzjazm jego był entuzjazmem konsekwencji i dalszego ciągu, nie entuzjazmem zdumienia i naiwności. Krytyka jego była jednostronną, lecz nie była zdawkową, była politycznie interesowną, lecz nigdy nie była powierzchowną. Krytyki jego zachowywały długotrwałą wartość, gdyż były wynikiem pracy umysłowej, która wszelkie skręty i załamania, wszelkie następstwa swojej myśli oceniła i przewidziała.

Wśród stosu nazwisk paryskich z lat 1846—1860 niema ani jednego, któreby mogło wykazać podobną Klaczce konsekwencyę w linii rozwojowej. I tem tłumaczy się ten zasadniczy w życiu Klaczki fakt, że przez całe lata był głęboko przeświadczony o tem, że powiązać potrafi nici przebiegającego przed oczami współczesnych życia. To przekonanie uczyniło go polihistorem, największym z polskich w drugiej połowie XIX w., i całej działalności jego nadało cechę wewnętrznej spistości. Gdy pierwsze już wystąpienia Klaczki skupiły około nich interes ogółu — podniósł on swoją pracę pisarską do godności narodowego obowiązku i w myśl niego prowadził swe dzieło usque ad finem. Jak publicznie zwalczał wszelką emigracyjną autopsyę (list do Kastorego z r. 1858), tak prywatnie wyraźnie spowiadał się z dróg, któremi do takich pojęć doszedł. „Nie czynny—pisze—z aktu skruchy aktu rozkoszy.“ Wymownym przykładem, jak pojmował tę negacyę, są jego „wykłady o Mickiewiczu.“ „Co Mickiewicz przyniósł do nowej epoki? Najprzód religijność. U niego niema śladów żalu nad utratą naszej dawnej potęgi, znaczenia. Polska nie zachowała nic z czasów pogańskich. Równy z pierwszym królem, co wzrok przy chrzcie odzyskał, ona przejrzała i jako chrześcijańska, żyć poczęła. Myśmy nie mieli Izajasza, coby nas o błędach ostrzegwał, mieliśmy Jeremiaszów (Niemcewicz, Woronicz), co płakali nad zburzoną Jerozolimą. Mickiewicz jest Ezechielem, co widzi przyszlą Jerozolimę, do niej tęskni, do niej przez Boga dąży. Pokolenie nowe wyszło z ducha Mickiewicza i dziś, jak u nie-

go w pieśni i wszędzie, ojczyzna jest wszystkim, tak i ono nie żyje w ekspektatywie, że kiedyś może walczyć samo, ale w każdej chwili, w każdym zatrudnieniu szuka, jakby jej służyć.“

Ta śmiała i wówczas tak szczęśliwa dyspozycya odczytu wykazuje, że dla Klaczki nie istniało w odróżnieniu do prawie wszystkich współczesnych żadne *petitio principii*. Zasady, utrwalone wiekową tradycją, pojmował jako coś bezwzględnie obowiązującego społecznie i etycznie. Dążenie do utrwalenia tych zasad w jakimś logicznym, praktycznym, a aktualnym systemie jest najważniejszym może wspólnym rysem, który łączył różne pokolenia i różne środowiska: hotelu Lambert, otoczenia księcia Czartoryskiego, red. „Wiadomości polskich,“ Szujskiego i innych twórców stronnictwa t. zw. stańczykowskiego. Klaczko zaś był najszerszym propagatorem tego dążenia. W Mickiewiczu sławił człowieka, który przyszedł, by stanowić o życiu narodu. Nie możemy przypuścić, by Klaczko nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć zakwilań, pod których ciężarem gięła się Mickiewicz, Czartoryski, Lelewel. W naturze jednak jego nie mogło pomieścić się zrozumienie przedziału myśli od czynu. Omija on wszystko, co staje na drodze do tej jedynie pożądanej harmonii i cała konstrukcya jego wykładów o Mickiewiczu ma na celu dowieść, że wielkość Mickiewicza polega na odzwieriedleniu typu narodowego i religijnego życia (tytanizm). Równocześnie przecież Klaczko dostrzegał, że wszystko, co przyniósł geniusz Mickiewicza w umysłach słabszych łącno się może zmienić w karykaturę. I nie chodziło mu wyłącznie o mistycyzm, którego nawet on jako karykatury nie traktował, lecz o tajone przez wielu, a rzeczywiste u ogółu emigracyjnego zaślepienie, że przyniesiony z sobą obraz Polski starczy za wszystko. Zupełna niechęć do dalszego *wychowywania się* społecznego—oto co uderza wzrok Klaczki i co on jeden z pierwszych spostrzega. Autorstwo emigracyjne dostało w Klaczece—obok Kalinki i Worcella—swego pierwszego sędziego. We wszystkich dziedzinach życia wydobywały się na jaw formy bezczynnej tęsknoty i duch dyonizyjski święcił swe tryumfy. „Wiadomości polskie“ z Klaczką na czele sprowadziły sprawę na grunt inny i przypomniały, że zasadą dla każdego organizmu jest to, by każda część służyła swemu odpowiedniemu celowi, w odpowiednim czasie i miejscu. Rozpoznanie tego Klaczkowego punktu widzenia do dziś mroczy nieszczęśliwy zbieg okoliczności, który zmuszał go do równoczesnej walki na kilka frontów i nie pozwolił mu tej zasady w stosunku do ówczesnego życia gruntownie rozwinąć. W szereg lat później Klaczko pisał „Dwóch kancle-

rzy.“ Pomimo wszystko, co go od Bismarka dzieliło, nie można nie odczytać z pomiędzy linii, że Klaczko uważał Bismarka za człowieka, który sił swoich umiał roztropnie używać, który wyrósł ponad romantykę rozstrzeliwania uczuć i celów. Klaczko zwraca uwagę, że prócz Bismarka były legiony Niemców, życzących zjednoczenia swej ojczyzny. Oni jednak tylko pragnęli; on czynił. Gdyby marzycielstwo nie stanęło im na drodze, dzieło Bismarka mogłoby być zostać dokonaniem w inny sposób. Mutatis mutandis była to nauka dla społeczeństwa polskiego. Klaczko zaczął wyklądać ją już w „Wiadomościach polskich,“ kiedy pisał swą oburzeniem przesiąkniętą recenzję „Krewnych“ Korzeniowskiego lub pełną znakomitych dygresyj historyzoficznych odprawę separatystom litewskim: „Odstępcy.“ Zwłaszcza recenzja „Krewnych“ powinna być dla pojmowania obowiązku publicznego przez Klaczkę decydująca. Dzisiaj wiemy w czym leżał gordyjski węzeł, splątany przez Korzeniowskiego, a rozcięty przez Klaczkę. Powieściowy szablon, który przepoił wszystko, co Korzeniowski napisał, mścił się rozmaitego rodzaju ślepymi ulicami w historykach „Spekulanta,“ „Garbatego“ i „Krewnych.“ Ślepą ulicą, ulicą bez wyjścia był kronikarski fakt nauczania młodych przez los, że życie jest poważne. Tego chciał Korzeniowski dokazać i do tego dociągał swą fabułę, którą zamierzał uczynić historycznie wierną i lokalnie prawdziwą. Niestety chce, że Korzeniowski, ciągle spełniając postulaty szablonu powieściowego, pomieszał to, co Eugeniuszowi i jego bratu przyniósł zewnętrzny los służby wojskowej, z tem, co uczyniło wewnętrzne skupienie i poprawa po poznaniu powagi życia.

W tym poszczególnym wypadku „Krewnych“ nie istniały dla Korzeniowskiego subtelności Klaczki. Czyniłby wręcz naprzekór swemu doświadczeniu, gdyby nie opowiadał rzeczy blizkich i prawdopodobnych, które w danym wypadku krewnych mogły się wydarzyć. Apologię punktu widzenia Korzeniowskiego możnaby szczegółowo rozprowadzić pod tym oczywiście warunkiem, że zupełnie nie będziemy brali pod uwagę konsekwencji *społecznego* punktu widzenia Klaczki. Wtedy bowiem perspektywy przesuwają się i Korzeniowski musiałby ustąpić, jako ten, który czegoś nie dopatrył lub wiele ominął. I tu stajemy w środku, wchodzimy in medias res. Nie dopatryć lub ominąć. To były najbardziej śmiertelne z grzechów, które kiedykolwiek Klaczko swoim wyrzucał. Dla całości życia polskiego i osobistego Klaczko wazył się na wszystko. Czytajmy jego listy z okresu choroby matki przed chrztem. Jego natura, która przeszła przez wychowanie

myśli mickiewiczowskiej, wzdrygała się przed połowicznością. A za taką uważał odwlekanie religijnego czy wyznaniowego skojarzenia się z ludźmi, którzy podbili go zupełnie. Gdy więc u Korzeniowskiego dojrzał połowiczność w nienawiści i połowiczność we wzgardzie, dobył najostrzejszych strzał ze swego pełnego kołczanu. Dla zrozumienia „Krewnych,” jako powieści pewnego czasu i pewnych okoliczności, miejsca nie było.

Klaczko nie znosił dwuznacznych słów i małoznacznych określeń. Podkreślone przez prof. Tarnowskiego lubowanie się w antytezach pochodziło także stąd, że pragnął on głęboko wiedzieć zupełnie jasno z kim ma do czynienia. Jaka szkoda, że Korzeniowski nie zdecydował się na polemikę z Klaczką! Wyszłoby to na dobre i jednej i drugiej stronie. W każdym razie zuchwały i tak w jego oczach niezbędny wybuch Klaczki musiałby otrzymać szerszą, powiedzielibyśmy, teoretyczną podstawę. Przypomnijmy treść recenzji „Gładyatorów.” Klaczko stanął przed połowicznym dziełem sztuki i skarży się, poprostu skarży się, że Lenartowicz, pomimo obietnic, nie dał niczego innego, tylko niedopowiedzianych „Gładyatorów.” A wreszcie pierwszy szeroki występ Klaczki, to rozprawa z tymi Niemcami, którzy w przełomowej chwili nie umieli być ani prawdziwymi rewolucjonistami, ani zdecydowanymi obrońcami dawnego porządku rzeczy. „Filozof historii zapyta kiedyś, dlaczego ciężarna góra Rewolucyi porodziła takie śmieszne myszy, jak parlament frankfurcki i prezydentura Ludwika Bonapartego? Odpowie sobie, że tragiczny czas zastał na świecie ludzi komicznych.” „Herkules znalazł się między pigmejami.” „Rycerz był tylko Don Kiszotem, Brutus był tylko brutalnym, i przez to stało się, że zwycięzcę z pod Piramid parodyowały piramidalne nicości.” Tak. Klaczko miał zawsze stałe kryterium oceny ludzi i ono to dyktowało mu jego „Kanclezy,” „Wieczory florenckie,” „Juliusza II-go.”

W r. 1854, burząc hipotezę Wittego w rozprawie „Dante et la critique moderne,” nie miał innego założenia nad to, że Dante w interpretacji nowoczesnej krytyki wygląda znacznie mizerniej, aniżeli Dante jego, Klaczki, surowy a płomienny mistrz religijnej ekstazy i szczęścia narodowego. Trzeba przyznać, że postawienie Dantego na piedestale, utworzonym z erudycyi i przenikliwości Klaczki jest koniecznością logiki i ścisłości filologicznej, przynajmniej w zakresie tego materiału, jaki przedstawia Witte, Wegele i Klaczko. Dante miał być wodzem epoki, lecz zarazem i jej odbiciem. Tak stała dla naszego pisarza sprawa w r. 1854 i tak w r. 1898, kiedy nawpół sparaliżowanemu nadsyłają ostat-

nie arkusze „Juliusza II.“ Ileż to razy w tej książce podkreśla Klaczko wyjątkową zdolność papieża do uchwycenia w ręce steru rządów całej Europy! Ten dziwny dłużnik Michała Anioła, protektor Rafaela, stał się u Klaczki reprezentantem Włoch, dążących do jedności państwowej. Marsz Juliusza II w górę Włoch na czele papieskiego wojska jest dla Klaczki taką samą realizacją, jaką była propaganda religijności przez Mickiewicza, jakim było dośrodkowe skupianie się Krasińskiego, jakim był cały tułaczy żywot Alighieriego. I odwrotnie, Klaczko z nienawiścią ściga polityczny pochód Bismarka, nie widząc w nim niczego nad proste powodzenia silniejszego bez żadnego oparcia o jakieś prawo moralne i z zaciekłością, pozornie tylko niezrozumiałą, utwierdza siebie i drugih w przekonaniu, że Heine jest nie nie wart, ponieważ nie posiada ani religijnego, ani narodowego punktu zaczepienia. A przecież artykułik o Heinem powstaje w r. 1855, a „Les Deux Chanceliers“ we dwadzieścia kilka lat później. Skupienie powagi i skupienie myśli w ciągu długiego pasma lat pracy i wysiłku wypełnia zewnętrznie charakterystykę Juliana Klaczki. Pisze o nim prof. Tarnowski: „był wyższym siłą myślenia i czucia.“ Wyższy w tem także, że siłę *swego* myślenia i *swego* czucia umiał, jeden z bardzo nielicznych, nadawać powagę autorytetu. Autorytet potwierdzał wyjątkową możliwością dalekiego widzenia, przytłaczając umiejętnością przejrzystej budowy dzieł z różnych dziedzin wiedzy ludzkiej. Rozliczność pism jego jednoczyła się na tle aktualności. To znaczy rzeczom pozornie odległym narzucał tkanek bezpośredniego interesu—przed rzeczami naprawdę bliskimi otwierał niespodzianie perspektywy dalekie. Przyczyny jego pracy nad Dantem, sztuką polską, Bismarkiem są identyczne.

Jeśli więc i w sprawach od terenu zwyczajnych prac Klaczko nigdy nie tracił z oczu całokształtu swoich poglądów na zadania teraźniejszości—cóż dziwnego, że w chwilach bezpośrednio zetknięcia się z zasadami przeciwnymi jego naturze wrodzonej i wyrobionej wybuchał całą energią swojego słowa? Przesada, o której pisał między innymi i Piotr Chmielowski, należy policzyć na plus teoretyka hotelu Lambert. Była to bowiem przesada w ilustrowaniu poglądów, nie było przesady w ocenie. Estetyczne wartości „Wyznań poety,“ „Bogów na wygnaniu“ Heinego, nieporównana skończoność sonetów Petrarcki znalazły w Klaczce swego komentatora. Nie ulega wątpliwości, że naogół stosunek jego do nich był jednostronny. Katolicyzm Klaczki był zbyt legitymistyczny, by nie był jednokolorowym pryzmatem.

Lecz człowiek, który tak, jak Klaczko, do katolickiego światopoglądu się dopracował i przezeń się przepracował¹⁾—nie jest człowiekiem ciasnym i ma prawo konfrontować swoją szczerłość z pseudo-szczerością i nieszczerością drugich.

Cokolwiek jednak w apologii Korzeniowskiego, rozwoju sztuki polskiej i Heinego powiedziano—nikt nie zaprzeczy, że Klaczko szedł prostą drogą do celu, nie pustoszył ogrodów dla nasycenia śmieci, ani nie mieniał złota na miedź. Wierną wydaje nam się podobizna, rysowana piórem, St. Tarnowskiego: „Umysł, obejmujący zarówno rzeczy polityki i historii, jak kwestye nauki i sztuki, w jednych, jak drugich bystry i przenikliwy, zdolny przejrzyć nawskroś i osądzić, zgłębić fakt czy dzieło, z jego naturą, z jego powodami i skutkami; inteligencya tak świetna, tak wielostronna, jak wogóle nie zdarza się często w naszym świecie. Dusza, gorąca w miłości, gorąca w oburzeniu i pogardzie wszystkiego, co złe i niskie, a wrażliwa bardzo, przez tę wrażliwość potęgująca każde uczucie, każdy ból, każdy zawód; może byłaby zdolna tak samo potęgować radość, uniesienie, szczęście, ale tych w życiu tego człowieka chyba nie było. Zdolność myślenia i zdolność czucia, miały służyć nieprzerwanie dzielną i wierną w zdolności pisania. Dar wypowiedzenia tego, co myślał i czuł w największej mocy słowa, miał w stopniu, jakiego nie powstydziliby się nawet wielki poeta, jaki prozaik, choćby bardzo wielki, miewa bardzo rzadko. We wszystkich wiekach i językach nieliczni są pisarze tak świetni (!): w tym XIX w. stał w pierwszym rzędzie między najświetniejszymi, nietylko w Polsce, ale w całej Europie. Z nabytych wiadomości, z wrażeń od dzieciństwa odbieranych składają się w jego umyśle nieprzebrane pokłady znajomości, wiedzy, sądów. Ich opiłki, ich zdawkowa moneta niejako, to rozprawy i artykuły literackie w polskim i francuskim języku z pierwszych lat jego pobytu w Paryżu. Niektóre już wspaniałe, wszystkie, rzecz można, świetne. Ale nastaje potrzeba pisania o rzeczach polskich dla Polaków, poczyna się wydawnictwo „Wiadomości polskich,” a w nich, jak na politycznym, tak i krytycznym polu, rozum, talent i styl Klaczki jaśnieją dopiero całym swoim blaskiem. Koroną tych prac i ich zakończeniem, jest „Poeta bezimienny” (Kraśiński). ... Potem rok 1863: nie czas myśleć o poezyi, o sztuce. Klęski i boleści spadają jak grad. Dużo lat przeszło, zanim mógł człowiek oderwać myśl od tych cierpień.

¹⁾ Listy do Koźmiana.

Ale kiedy ochłonął trochę, zaczęły pomału dobywać się na wierzch dawne marzenia czy zamiary, dawne umiłowane przedmioty rozmyślań i badań. W r. 1879 wyszły „Wieczory florenckie“ (Causeries florentines), czyli studia o Dantem. I znowu długie lata milczenia, nie próżnowania, w ciągu których składa się zwolna plan wielkiego dzieła: „Papiestwo i Odrodzenie“—wielkości i winy tej epoki, którą sztuka i cywilizacya dotąd nazywa Wiekiem Złotym. Na początku pójdzie Juliusz II na tle historycznych wypadków, w otoczeniu mistrzów i geniuszów sztuki, z wielkimi, dumnymi planami w głowie, z siłą wielką, ale siłą świeckiego człowieka w duszy. Drugi tom, to będzie Leon X, dalszy ciąg tego samego Odrodzenia i tego samego Papiestwa, tylko już większy, już pierwiastków siły i wielkości mniej. Tom trzeci, zakończenie, to będzie Klemens VII i zdobycie Rzymu przez hiszpańskie żołdactwo, Sacco di Roma, jako kara za zeświecczenie papiestwa. Taki był plan: dojrzewał i wykonywał się przez lata. Wreszcie wyszedł z pod prasy Juliusz II... Leon X był prawie skończony, prawie gotowy, ale go spalił.“ (T. I, str. 14, 15, 16 i 17).

Tu wymierzył St. Tarnowski Klaczcze sprawiedliwość. Może nawet więcej, niż sprawiedliwość. W sądach, zawartych w powyższych cytatach, mieści się bowiem nietylko miara sędziego, jakim był zawsze St. Tarnowski, lecz także serdeczna wyrozumiałość przyjaciela i tajemna chęć usprawiedliwienia dobrego brata. One podnoszą postać Klaczuki do wyżyn bardzo wysokich. „To najświetniejsza inteligencya w literaturze polskiej drugiej połowy XIX w. Byłaby jedną z bardzo świetnych w każdym kraju, w każdej epoce, choćby najbardziej ludźmi błyszczącej. W tym czasie nikt drugi nie miał wzroku tak bystrego w rzeczach polityki i w rzeczach literatury i sztuki. Sama ta rozległość byłaby zadziwiająca nawet przy mniejszym stopniu siły, a ten stopień jest wyjątkowy; jest przytem na obu tych polach równy. Nauka rozległa i gruntowna, równa zdolności—a talent na wysokości obu. Te przymioty wystarczyłyby na całość wyjątkowych rozmiarów. Ale do niej trzeba jeszcze dodać szlachetność tych dzieł, tej myśli, tej dążności. Zawsze w służbie dobrej sprawy, z wiernością niezachwianą, z poświęceniem, często z miłością najgorętszą a roztropnością najczujniejszą, w goryczy często, w rozpaczy nigdy — wskazywał tę drogę, na której leży nasze dobro, nasz honor, nasza przyszłość“ (T. II, str. 387).

Gdy, dzięki prof. Tarnowskiemu, możemy z jednego rzutu przejść przez cały zagon, na którym Julian Klaczek pracował,

po wielu słowach, streszczających nasze odczucie wielkiego trudu, jakiego dokonał Klaczko—stajemy i stanąć musimy przed słabością także tego znamienitego człowieka. Na geniusz składa się tysiące cnót i wad. Bez pewnych cnót i wad nie można wybić się nad poziom. Są przecież wady, bez których można się obejść. Klaczko nie ominął w swem życiu słabości opierania się na pewnej koteryi. Znosić umiał materyalne ubóstwo — samotności życiowej znosić nie umiał. Szukał przyjaciół, którzy w znacznej części byli protektorami. Żył z rówieśnikami, którzy zarażali go swoją wadą zaściankowości, nie dając mu swojej cnoty — odporności zaściankowej. Klaczko, wielki twórca „Wieczorów,“ bał się opinii, szedł na lep demagogii „swojego“ kółka. To jasno wynika z listów do Januskiewicza, z mów poselskich w sejmie lwowskim i Wiedniu. Prof. Tarnowski wiedział o tem dobrze, lecz z wyrozumiałością dyskrecyi i przyjaźni przesunął ten punkt widzenia na różne uboczne okoliczności.

Przy przyszedłem, obszerniejszem omawianiu krytyki Klaczki możnaby przeprowadzić paralelę pomiędzy nim a Micheletem; następnie ukazać pewne podobieństwa z Sainte-Beuvem, a także stwierdzić i udokumentować wpływ Klaczki na popularną i często później cytowaną książkę Stapfera: „Petite comédie de la critique littéraire“ (1866). Prof. Tarnowski oświecił głównie kształtowanie się charakteru i poglądów Klaczki. Z dzieła jego najbardziej przekonujemy się, jak konsekwentnie wyrabiał się Klaczko. Ujrzelśmy się życiową Klaczki w tem, że jeden z bardzo nielicznych przynosił do literatury rezultaty pracy, której przedtem w sobie dokonał, że był człowiekiem z jednej bryły. Prof. Tarnowski zadowolił się rolą komentatora i w książce swej nagromadził materyał wagi ogromnej. Wartość przelicznych adnotacyj, płynących z najlepszej znajomości i rozumienia Klaczki, ocenić będą umieli wszyscy ci, którzy z książkami Klaczki naprawdę nie powierzchownie się zetknęli.

Smutkiem życiowym Klaczki było przedśmiertne osamotnienie. Ten człowiek, wydobywając się na wierzch w nowem, potrosze obcem środowisku, zdobywał sobie miejsce naczelne rezygnacją z praw, przynależnych każdemu. Ubocznie wspomina prof. Tarnowski, że dwa razy w ciągu swego życia musiał Klaczko zapominać o miłości. Byłoby to małoważne w życiorysie każdego innego krytyka, któryby nie był tak wyjątkowo konsekwentny, jak Klaczko. Gdy przecież on — od losu wyjątkowo w pewnym kierunku uposażony, w innym musiał grę życiową pozostawić nie rozegraną, nawet nie zaczęłą — przekonania jego

nabierają siły rzeczy przeżytej. Nie godzi się zapominać, że w tych chwilach życia Klaczki dokonał się akt rezygnacji, która — jak to powiedział — „nie ulegała przeznaczeniu, lecz je wywoływała“ (Listy włoskie).

MIECZ. RETTINGER.

BOLESŁAW LIMANOWSKI. *Szermierze wolności*. Kraków, 1911. Spółka nakładowa „Książka.“

Dobrze opracowane biografie są wielką pomocą w pracach historycznych i mają znaczenie popularyzatorskie, a że dobrze opracowane są biografie, które leżą przedemną, z radością je przeto powitać należy. Oprócz życiorysu Emilii Platerówny, najnowsza książka Limanowskiego zawiera życiorysy emigrantów: Szanieckiego, Zaliwskiego, Stolzmiana, Heltmana, Darasza, Mierosławskiego i Wróblewskiego. Dzieje Wielkiej Emigracji mają taki charakter, że byłoby pożytecznym, aby opracowano nie tylko biografie wielkich działaczy, nie tylko wodzów stronnictw, ale zebrano także dane biograficzne o wszystkich emigrantach. To zresztą istnieje, tylko że istnieje w rękopisie, a więc nie jest dostępne dla każdego. Mówię o „Cmentarzyku emigracyjnym“, ułożonym przez Jana Bartkowskiego, a znajdującym się w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Cmentarzyk ów ułożony jest na wzór bibliotecznych katalogów kartkowych, w ten sposób, aby mógł być w miarę wymierania Emigracji uzupełniany i nie jedną już kartkę po śmierci Bartkowskiego włożył tam Władysław Mickiewicz. Na kartce takiej czytamy gdzie i kiedy N. N. się urodził, co czynił, gdzie i kiedy umarł, gdzie jego nekrologi, gdzie biografie znaleźć można. Naturalnie, że byli emigranci, o których Bartkowski wiadomości nie zebrał (tyczy się to tych zwłaszcza, którzy do Ameryki wyszli), albo o których wogóle nie wiedział i których stąd w „Cmentarzyku“ nie znajdziemy. Ale takich jest nie wielu. Bartkowski, powstaniec listopadowy, zmarł późno i znał niemal wszystkich emigrantów, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia. Prócz tego pisanie biografii było jego ulubionem zajęciem, nekrologów emigrantów, przez niego napisanych, po różnych czasopiśmiech rozsianych jest mnóstwo. U córki Bartkowskiego, panny Bartkowskiej, mieszkającej w Paryżu, znajdują się w rękopisie jego niezwykle cenne „Pamiętniki“ oraz rękopis p. t. „Dawne czasy“, zawierający biografie kilku emigrantów, bliższych przyja-

ciół autora, między nimi biografia Ordon. Niewątpliwie stacya naukowa polska w Paryżu dołoży wszelkich starań, aby ta spuścizna Bartkowskiego przeszła kiedyś w jej ręce.

Biografie Limanowskiego są tylko biografiami demokratów, bo z przekonań jego wynika, że szermierzem wolności może być tylko demokrat. W stosunku do Wielkiej Emigracji, podział na arystokratów i demokratów nie odpowiada temu podziałowi, jaki przywykliśmy widzieć w normalnem życiu społeczno-politycznem. Obok Heltmana, czy Alcyaty, a niewątpliwie w większym od nich stylu i większego znaczenia szermierzem wolności będzie Adam Czartoryski; obok Mierosławskiego i Wysockiego — Bem i Dembiński. Powiedziałbym, że Limanowski w ocenianiu ludzi i zjawisk stoi na stanowisku Towarzystwa Demokratycznego. Zwraca to uwagę, zwłaszcza wówczas, gdy poznajemy jego poglądy na powstanie listopadowe. Powstanie listopadowe, że tak tę jego opinię sformułuję, upadło dlatego, że rewolucyi politycznej nie wsparła rewolucya społeczna, że jej się Rząd i Sejm rozwinąć nie pozwolił. Nie miejsce tutaj wchodzić w ocenę tego poglądu, powiem tylko, że po „Pamiętnikach“ Prądzyńskiego przyczyna upadku prostsza jest o wiele: powstanie upadło, bo Skrzynecki bić się nie umiał.

Przechodząc do szczegółów zaznaczam, że bardzo dobrą jest sylwetę Mierosławskiego. Co jednak znaczy na str. 237:

„Skłonność ta do polemizowania wciąż wzrastała (w Mierosławskim) i doszła do tego, że zaczęła wkraczać w granice zwykłej denuncyacji?“ Powinnoby znaczyć, że Mierosławski za pomocą polemiki publicystycznej celowo szkodził wobec władzy swoim przeciwnikom politycznym. Tylko to bowiem byłoby denuncyacją, *zwykłą* denuncyacją nadto. Zarzut to tak straszny, tak kłócający się z tem, co sam Limanowski mówi o Mierosławskim z powodu zachowania się jego przed sądem niemieckim, nie party zresztą żadnym dowodem, że należy go wytlómaczyć nieścisłością stylu poprostu i nie dopuścić, aby na pamięci Mierosławskiego powstała taka plama, bo cokolwiek o nim powiemy, nie powiemy nigdy, że w działalności swojej wkraczał w granice *zwykłej denuncyacji*.

Słaby jest Zaliwski. Skłóciły się sympatyje autora ze źródłami i świadectwami innych i Zaliwski wypadł dla czytelnika zupełnie niezrozumiale. Nie wytlómaczony, nie poruszony nawet moralny współudział, jaki miał w zabójstwie Stanisława Połockiego 29 listopada; bardzo pobieżnie przedstawiona wyprawa w 1831 r.

Ciepło, sympatycznie, umiejętnie nakreślone życiorysy Szanieckiego, Stolzmana, Heltmana, Darasza i jednego z ostatnich—Walerego Wróblewskiego. Wiele nowych szczegółów przysporzono. Zdaje mi się, że Limanowski pierwszy skorzystał z papierów po Janowskim, znajdujących się w bibliotece Jagiellońskiej.

Drobnostka: zamiast bojownicy, powstańcy i t. p. autor pisze zawsze *bojowcy*. Tymczasem wyraz ten łączy się z wyobrażeniem pewnej określonej grupy organizacyjnej, której nie było ani podczas powstania listopadowego, ani w czasie komuny paryskiej—takiego więc zastosowania nie można uważać za szczęśliwe. Szkoda, że autor nie opracował biografii Alcyaty, Kamińskiego, gen. Wysockiego, Dąbrowskiego. Brak to dotkliwy. Miejmy jednak nadzieję, że Limanowski skorzysta jeszcze w tym kierunku z materiałów, które tak długo skrzętnie gromadził i ze swoich wspomnień osobistych.

ST. SZPOTAŃSKI.

BRAWER A. J. Dr.: *Galizien wie es an Oesterreich kam. Eine Historisch-statistische Studie über die inneren Verhältnisse des Landes in Jahre 1772.* Leipzig—Wien 1910, str. 107.

Minęły, zdaje się, bezpowrotnie czasy Roepellów, Carów i Zeissbergów, gdy to w uniwersytetach niemieckich studyujący Polak miał sposobność nie tylko słuchać świetnych wykładów z dziejów Polski, ale i znaleźć znakomitych kierowników, jeśli wybrał temat z dziejów ojczystych przy pracach seminaryjnych, czy rozprawie doktorskiej. Dzisiaj trudno znaleźć na wszechnicy niemieckiej profesorów, znających naprawdę dzieje polskie: doszło do tego, że historycy polscy, aspirujący do tytułów doktorskich, a nie bardzo pewni swych sił, wolą przedstawiać rozprawy na uniwersytetach niemieckich, wiedząc, że wyznaczeni tam profesorowie-recenzenci nie będą w stanie odróżnić w ich pracach plew od ziarna. Rozprawy po niemiecku pisane, a dotyczące dziejów polskich, bierze się też teraz z nieufnością do ręki lub też całkiem się je ignoruje.

Temu ostatniemu losowi uległa, zdaje się niesłusznie zresztą, rozprawa d-ra A. J. Brawera „Galizien wie es an Österreich kam.“ A jednak nie powinniśmy jej pomijać milczeniem, gdyż z jednej strony napisana jest nie bez talentu i oparta na mało dotąd wyzyskanych materiałach, a z drugiej strony będzie ona pewnie na długo źródłem informacji dla uczonych niemieckich, nieznających

języka polskiego. Wreszcie i oświecenie, jakie rzuca autor na dzieje w swej pracy, nie jest bynajmniej powszednie. Pan Brawer, chociaż, o ile sądzić można z jego dzieła, dobrze włada językiem polskim, nie jest Polakiem. Nie jest on jednak i Niemcem. Narodowość swą zdradza w końcu dzieła w przypisie (str. 104), gdy pisze, że „*in ihrem Jargon besassen die Juden einen Kulturschatz.*“ Uczony, nazywający żargon „skarbem kulturalnym,“ widzi w Galicyi trzy oddzielne narodowości i oczywiście na dzieje ich zapatruje się z punktu „narodowo-liberalnego.“ Szlachta więc, którą, mówiąc nawiasem, oblicza p. Brawer w Polsce XVIII wieku na miliony, jest oczywiście gnębicielem wszystkich naokoło siebie. Żydzi są tylko narzędziem w jej rękach, stosunek ich do chłopów polskich i ruskich był oczywiście, według p. Brawera, jedną idyllą. Chłop miał wiedzieć doskonale, iż nie ma Żydowi czego zazdrościć, gdyż i jego spotykają ze strony dziedzica razy i szczucie psami. Za to podziwiać mieli włościanie inteligencyę Żydów i udawali się do nich o radę w sprawach ważniejszych. „W protokółach gubernium lwowskiego — woła z patosem nasz autor — napróżnoby się szukało skarg, podawanych na Żydów przez chłopów, natomiast, po objęciu kraju przez Austryę, podawano skargi na dziedziców i to nawet za panowania cesarza Józefa II.“ A jednak ten sam pan Brawer, który nie rozumie, iż temu, kto był przyczyną ciągłych waśni między chłopem a dworem, obojętny był stosunek włościan do Żydów, przyznaje w końcu swej książki, że była jednak przyczyna, która pozbawiała dziedziców galicyjskich możności samowolnego uciskania chłopów, a była nią obawa, by chłopci nie uciekli za granicę (str. 98). Szkoda tylko, że p. Brawer nie wspomina, iż chłopci galicyjscy uciekali do tej samej Rzeczypospolitej Polskiej,¹⁾ w której chłop „pod wieloma względami stał niżej, aniżeli np. obcy niewolnik według praw żydowskich, albo nawet niewolnicy amerykańscy przeszłego stulecia.“

Przytoczone cytaty objaśniają dostatecznie punkt widzenia pana Brawera. Należy jednak dodać, że naogół zna on polską literaturę historyczną, zwłaszcza historię ustroju Polski, rzadko tylko zdarzają się w dziele jego takie kwiatki, jak Chełmskie województwo na stronicy 8 i 9, jak Krasnostawskie, a nawet Grabowieckie, „Grabowiecer Palatinat,“ województwo nieco dalej. W pracy swej zużytkował autor wielce ciekawy materiał źródłowy, przechowywany częścią w Wiedniu, częścią zaś we

¹⁾ Tokarz: „Galicya,“ str. 240.

Lwowie w Ossolineum, a zawierający urzędowe doniesienia urzędników austriackich, wysłanych do Galicyi. Operując tym materiałem, opracowuje Brawer przede wszystkim statystykę ludności: według jego przypuszczenia, po przyłączeniu Galicyi do Austrii, ludność jej sięgała 2,600,000, w tej liczbie miało być ludności chrześcijańskiej co najmniej 2,430,000. Następnie rysuje położenie poszczególnych klas społecznych, opowiada o stosunkach własnościowych, o systemie dzierżawnym, metodach rolniczych stosowanych w Galicyi, o położeniu hodowli bydła rogatego, pszczelnictwa, rybołówstwa, leśnictwa, górnictwa, ciężarach włościan, o stanie przemysłu, rzemiosł, o handlu i wreszcie o kulturze duchowej. Naogół biorąc, dochodzi dr. Brawer do przekonania, zresztą niewątpliwie zgodnego z prawdą, że Galicya pod względem rozwoju ekonomicznego stała po pierwszym rozbiore nisko, że nie umiała wyzyskać swoich bogactw naturalnych. Nie małe wobec tego znaczenie mają przytoczone przez p. Brawera świadectwa księcia Lobkowitza i cesarza Józefa II, będące dowodem, iż za czasów polskich Galicya nie znajdowała się w tak okropnym stanie, w jakim znalazła się później pod dobroczynnym rządem austriackim. Józef II w lecie 1773 r. nazywa Galicyę „najpiękniejszą i najżyźniejszą częścią Polski, a nawet większej części krajów dziedzicznych, szczególniejszą część leżącą między temi dwoma rzekami (Seretem i Zbruczem); ziemia tam jest doskonała, było piękne i dorodne. Ziemia ta, w której widać jeszcze smutne ślady spustoszeń, dokonanych przez Turków, Tatarów, Rosyan i konfederatów, jest jednak *dobrze uprawna*.”

Praca p. Brawera opracowana jeszcze przed ukazaniem się „Galicyi“ prof. Tokarza, stanowi ważne do niej dopełnienie i zasługuje też, powtarzamy z naciskiem, by się nią czytelnicy polscy zainteresowali.

I. B.

ADAM SKAŁKOWSKI. *En marge de la correspondance de Napoléon I. Pièces inédites concernant la Pologne (1801—1815)*. Varsovie, Gebethner et Wolff. Paris, H. Le Soudier. 1911, str. 99.

Zbliżająca się setna rocznica wyprawy na Moskwę, ożywiła ruch naukowy na polu badań epoki napoleońskiej. Niestety, nauka polska, nie jest w możności dorównać olbrzymim przedsięwzięciom wydawniczym, podejmowanym przez rządy francuski i rosyjski. Tam całe biblioteki źródeł i opracowań, u nas zale-

dwie nikły wysiłek indywidualny świadczyć ma przed światem, że i Polacy mają coś do powiedzenia o tych latach wielkiego bohaterstwa i wielkiego nieszczęścia.

Skrzętny i choć młody, lecz zasłużony już badacz, d-r Adam Skałkowski w szeregu prac, opartych na mozolnie i z pilnością wyjątkową gromadzonym materiale archiwalnym, snuje nic poważnych rozważań naukowych, dotyczących schyłku dni Rzplitej i jej odrodzenia w bohaterskich walkach Legionów i bojowych mozołach wojaków napoleońskich. Książki Skałkowskiego, bez z góry powziętej tendencji autora, są dokumentalnym stwierdzeniem tego wzniesłego wysiłku pokoleń, którym w twardej służbie dla Polski przedewszystkiem, w gloryi zwycięstwa czy w mroku klęski, „o cześć imienia polskiego“ chodziło. Z tych nieraz suchych, zwięzłych i lakonicznych dekretów, raportów, ordynansów bije jakaś moc niezwykła, jakaś obca, nieznaną dzisiejszym czasem tężyzna ludzi czynu.

Takiego wrażenia doznaliśmy, przerzucając karty „nieogłoszonych listów, not i dekretów Napoleona,“ Polski dotyczących. Zdawałoby się, że poza ogromnym zbiorem korespondencji cesarza i kilku doń suplementami, nie pozostało nic ważnego; okazało się przeciwnie. Dokładne zbadanie archiwów rządowych stwierdziło istnienie całego szeregu nieznanych, częstokroć nader cennych przyczynków; z roku na rok przybywają różne „lettres,“ „ordres“ i t. d. pominięte lub zgoła niepostrzeżone przez badaczy. Z takich ineditów powstała też książka niniejsza. Są to nieraz okruchy, lecz okruchy ważne i nieobojętne dla historyka. A więc przedewszystkiem spora wiązanka nowych szczegółów życiorysowych wielu oficerów polskich: o gen. Jabłonowskim, Falkowskim, Wybickim, Sułkowskim (Janie), Łączyńskim, Mich. Radziwille, Chłapowskim, Łubieńskim, Bronikowskim, Niegolewskim, Konopce, że tylko tych wymienimy; liczne stany służby oficerów, przytaczane z różnych archiwów przez Skałkowskiego, składają się na obfity zbiór źródłowy niezaprzeczanej doniosłości.

Najwięcej materiałów dotyczy lat 1807 i 1812. Do dziejów organizacyi siły zbrojnej Księstwa ciekawe są dekrety o formacyi poszczególnych pułków, a zwłaszcza brulion projektu ogólnej formacyi wojsk Księstwa, znany dotychczas z innych wariantów, ogłoszonych przez Loreta i Handelsmana.

Do roku 1812 na Litwie mnóstwo tu przyczynków, w zakresie spraw wojskowych przeważnie; rozkazy dzienne i minuty dekretów zawierają całą mozaikę nazwisk i nominacyj w zarządzie cywilnym i wojskowym Litwy. I tak ciągnie się ten łańcuch roz-

kazów i zapisków pierwszego konsula i cesarza, od grudnia 1801 roku do maja 1815 r., od odezwy Legionistów aż do wygnania na Elbę.

Praca wydawcy wykonana wzorowo, jedyny zarzut, jakiby można uczynić, dotyczy pozostawienia pisowni nazwisk i miejscowości polskich w wadliwej, częstokroć wprost niezrozumiałej transkrypcji francuskiej; w takich razach należy dawać odpowiednie sprostosowania w przypisach lub nawiasach, np. Horain zam. Horain, Liappa—Łappa, Luboczczyński, Simanozecki, Szardurski i t. p. nie przedstawiają trudności w odtworzeniu pisowni prawidłowej.

„Na marginesie“ korespondencyi Napoleona zanotował Skalkowski z pietyzmem wybrane, a prawdziwie godne pamięci, fakty i nazwiska.

H. M.

Kronika miesięczna.

Bilans sesyi Izb.—Referat komisji w sprawie chełmskiej.—Interpelacya Koła w sprawie nauczania wspólnego.—Wyższa uczelnia rolnicza w Warszawie i jej znaczenie.—Prawa języka polskiego w sądach, w procedurze, w sprawach włościańskich i gminnych.—Zjednoczenie opinii polskiej na Litwie.—Opłakane wybory w Galicyi.

Bilans ostatniej sesyi Izb rosyjskich, zamkniętej przez do-
roczne ferye parlamentarne, nie przedstawia się pomyślnie ani ze
stanowiska rządu, ani ze stanowiska interesów społeczeństwa. Izba
Państwowa załatwiła tylko cztery ważniejsze sprawy znaczenia
ogólniejszego: projekt organizacyi szkolnictwa ludowego, projekt
organizacyi ziemstwa wołostnego, reformę sądów miejscowych
i projekt rozszerzenia praw budżetowych Izby; wszystkie zresztą
zalegają jeszcze w Radzie Państwa, która dotąd rozpatrzyć ich
nie miała czasu; posłowie zatem bez plonu zgola stają przed
swymi wyborcami. Rząd i reprezentowane przez niego idee nie
wychodzą także z ubiegłej sesyi wzmocnione. W projekcie szkol-
nym, wbrew woli jego, poddano szkoły cerkiewno-parafialne kon-
troli ministeryum oświaty, uprawniono języki ojczyste uczniów
podczas czterech pierwszych lat nauczania początkowego, wreszcie
wbrew woli ministra oświaty esygnowano, jako pierwszą ratę na
wprowadzenie nauczania powszechnego, dziesięć a nie osiem mi-
lionów rubli. Wniosek rozszerzenia praw budżetowych Izby był
oczywiście sprzeczny z zamierzeniami rządu, a wszyscy pamiętamy
niedawną dotkliwą porażkę moralną, jaką poniósł w sprawie
ziemstw dla Litwy i Rusi. Przed opinią nacyonalistyczną nie mo-
że się poszczycić żadnemi efektownemi zwycięstwami, jak w r. z.
szybkim przeprowadzeniem projektu finlandzkiego; nawet sprawa
chełmska nie została w obecnej sesyi ukończona.

Ukończony został dopiero i rozdany posłom referat komisji wydelegowanej do sprawy chełmskiej. Jest to spory tom, liczący 425 stroniec dużego formatu, z czego 170 stroniec zajmuje sam referat, resztę zaś aneksy. Wstęp historyczny stoi oczywiście poniżej wszelkiej dyletanckiej nawet krytyki jako tako obznajmionych z historią; świadectwom historyków, nawet niepodjezrzanych (Nestor), przeciwstawiane są dowolne kombinacye faktów referenta komisji, Czichaczewa. Wszelkie bajki o rzekomym ucisku ludności ruskiej i Unii przez Polaków znalazły tu oczywiście miejsce poczesne. Ukaz tolerancyjny wywołał—zdaniem autorów referatu—nowy ucisk, który wyrażał się w kierunku moralnym i ekonomicznym. Więc znajdujemy ogólnikowe twierdzenia o rzekomem biciu i katowaniu prawosławnych, bez podania wszakże dat i miejscowości i bez uwzględnienia rezultatów śledztwa z rozkazu generał-gubernatora Maksymowicza, które nicość tych zarzutów wykazało; referat nie liczy się nawet zupełnie z rozprawami w *plenum*, w których te właśnie ostatnie fakty należycie przez posłów naszych odparte zostały. Ordynacyę Zamoyских uznano za główny czynnik ekonomiczny nawracania, pod grozą pogorszenia bytu materyalnego; nie potrzeba oczywiście dla naszych czytelników podkreślać bezzasadności i tych oskarżeń.

Niemniej fantastyczne są przytoczone w referacie komisji dane cyfrowe. Nie miejsce tu, w kronice, zwalczać je przy pomocy licznych a sumiennych opracowań statystycznych polskich. Wystarczy stwierdzić, że gdy niepodjezrzany statystyk urzędowy, prof. Francew, podaje ilość ludności prawosławnej we wschodnich powiatach gub. lubelskiej i siedleckiej na 280,000, referat komisji znajduje na terytorium przyszłej gub. chełmskiej 450,000 ludności rosyjskiej oraz kilkadziesiąt tysięcy *convers*ów, którzy, zdaniem autorów, wrócą jeszcze na łono cerkwi prawosławnej. Tymczasem o istotnej panice ludności, o przesadnych obawach z powodu zamierzonego wyłączenia gub. chełmskiej świadczą pośrednio takie fakty, jak tłumna emigracya, wyludnianie się poprostu całych wsi w niektórych okolicach gub. siedleckiej, których mieszkańcy emigrują do Parany; dane urzędowe podają ilość ich w ciągu paru miesięcy r. b. na parę tysięcy osób; a ile wyszło jeszcze bez paszportu, bez pomocy naszych opiekuńczych instytucyi wychodźczych!

Przechodząc do motywów projektu, czytelnik polski dowiadyduje się z pewnem zdumieniem, że wyłączenie gub. chełmskiej przedsięwzięte zostało w interesach Królestwa, „aby umożliwić wprowadzenie tam samorządu i różnych innych instytucyi nie-

zbędnych.“ Zdumienie mija, gdy sobie przypomnimy, że ponoć i rozbiór Polski dla naszego dobra jedynie dokonany został. Zawsze ta sama historyczna obłuda, brak odwagi cywilnej przyznania się do istotnych celów. Bo oto czytamy dalej, że samorząd w Królestwie nie może być innym, tylko polskim (więc zagrażałby inkryminowanym powiatom zupełnem spolszczeniem)—choć autorom referatu ani się śni w przyszłości głosować za polskością tego samorządu, o którym nawet i słuch zamilkł zupełnie. Ostateczny wniosek jest zresztą zupełnie jasny: „Na wyłączenie Chełmszczyzny—czytamy—nie można zapatrywać się, jako na cel sam w sobie; wyłączenie jest zaledwie pierwszym krokiem w szeregu całego systemu zarządzeń w zakresie kulturalnym i ekonomicznym, których podstawą ma być świadomość działaczy miejscowych od góry do dołu, iż większość ludności Chełmszczyzny należy do narodowości rosyjskiej i że konieczna jest twarda i konsekwentna polityka narodowa.“

Rzecz charakterystyczna, że referat nie zadaje sobie zgoła trudu polemizowania z opiniami urzędowymi wszystkich naczelnych rządów Królestwa, poczynając od gen. Hurki, a kończąc na gen. Skąlonie (z wyjątkiem hr. Szuwałowa), oraz zbijania ich bardzo poważnych ze stanowiska państwowego argumentów, przeciw wyodrębnieniu ziemi chełmskiej przemawiających. Czyżby milczkiem wszyscy w czambuł byli posądżani o „opolaczenie“? Możliwe, że tego spodziewać wobec fantastycznych napaści części prasy nacjonalistycznej rosyjskiej, świadczących o symptomatach nastroju obecnego.

W takich warunkach, w takim nastroju rozwijała się praca reprezentacji naszej podczas sesji ubiegłej. Nie było pola do efektownych wystąpień; może być mowa zaledwie o spełnianiu ciężkich obowiązków na trudnym posterunku. Ta charakterystyka działalności posłów naszych wystarczy tembardziej, że poszczególne ich wystąpienia znajdowały zawsze oświetlenie na tem miejscu. A ostatnim aktem Koła było wniesienie interpelacji do p. ministra spraw wewnętrznych w sprawie zarządzeń, wydanych przez generał-gubernatorów i gubernatorów terytoriów dawnej Rzeczypospolitej, zabraniających oddawania lokali na wspólne nauczanie dzieci oraz współdziałania i uczestnictwa w nauczaniu domowem. Interpelacja ta wykazuje pogwałcenie prawa w wydaniu tych postanowień, dotyczą bowiem spraw, które mogą być rozstrzygane jedynie w drodze postępowania sądowego a nie administracyjnego; przytem prawodawstwo istniejące określa wyraźnie, jakie są czyny występne w zakresie nauczania, a wśród

tych czynów występnych niema kwalifikacji „nauczania wspólnego.“ Interpelacyi nagłość uchwalona nie została; innemi słowy złożono ją do kosza.

Umysł ludzki posiada pewną zasadniczą cechę optymizmu, wyrażającą się w tem, że przy każdej ocenie jakiegoś zamkniętego okresu istnieje potencjalna nadzieja, że w przyszłości lepiej będzie. W ocenie współczesnych zjawisk politycznych ze stanowiska interesu narodowego polskiego niema niestety miejsca na najłżejszy cień takiego optymizmu. Życie odwróciło oto znowu jedną kartę w księdze parlamentaryzmu rosyjskiego, a następna może być dla nas jedynie gorsza, nie—lepsz.

*

*

*

Jeżeli w życiu politycznem znajduje miejsce jedynie zupełny pesymizm, mamy na szczęście pewne kompensaty w życiu kulturalnem. Coraz to można zanotować fakt mniej lub więcej wybitny, a świadczący o wznoszeniu się naszego społeczeństwa na nieco wyższy szczebel kulturalny. Taki fakt bardzo doniosły mamy do zanotowania i dzisiaj, a jest nim stworzenie wyższej uczelni rolniczej w Warszawie.

Pomimo pewnego uprzemysłowienia kraju, Królestwo jest jeszcze bodaj przeważnie krajem rolniczym i to krajem, którego rolnictwo po pewnym okresie upadku znajduje się znowu w rozwoju. Świadczy o tem pos. Wł. Żukowski, który przed dziesięciu laty w pracy swojej „Bilans rolniczy Królestwa“ stwierdził, że kraj nasz przestał być wywożącym ziemiopłody, że przewyżka wartości przywozu zboża i przetworów zbożowych nad wywozem stale wzrasta, że zatem w przyszłości bilans rolniczy coraz niekorzystniej układać się musi. Dziś zaś ten sam ekonomista zmienia swoje dawniejsze wnioski, opierając się na ostatecznych danych statystycznych.

Okazuje się z nich, że przedewszystkiem wzrósł znacznie wywóz jarzyn, a zwłaszcza nasion traw pastewnych, że zwiększył się także wywóz pszenicy, a tylko w dziedzinie żyta przywóz nad wywozem wykazuje coraz większą zwyżkę. Jeżeli zaś zestawimy ogólny bilans wartościowy obrotu ziemiopłodów między Królestwem a Cesarstwem i zagranicą, to ten również przedstawia się

w ostatnich czasach korzystniej. Jeszcze w r. 1894 przewyżka wywozu nad przywozem wynosiła 2,759 tys. rb.; potem już od r. 1895 mamy przewyżkę przywozu nad wywozem; wynosi ona w r. 1895 — 1,071 tys. rb., w r. 1896 — 2,436, w r. 1897 — 3,604, w r. 1907 — 2,830, wreszcie w r. 1909 — 1,090 tys. rb.; widzimy więc wyraźny zwrot na lepsze. Taki sam zwrot obserwujemy w przetworach zboża. W r. 1897 wywieziono z Królestwa 66 tys. pudów mąki, a w r. 1909 — 678 tys. Otrąb w r. 1897 — 4,909, a w r. 1909 — 10,650 tys. pud.; wywóz makuchów zagranicę wzrósł ze 125 tys. pud. w r. 1897 na 3,210 tys. w r. 1909; wywóz siodu do Cesarstwa z 47 tys. pud. w r. 1897 do 708 tys. w r. 1907. „Liczby powyższe — konkluduje p. Żukowski — nabierają szczególnej wymowy, jeżeli uprzytomnimy sobie, że w ciągu dziesięciu lat ostatnich ludność Królestwa wzrosła niemal o 15%... należało więc oczekiwać, że dopłata krajowa za ziemiopłody również wzrośnie przynajmniej w tym samym stosunku. Rzeczywistość zadała kłam tym przewidywaniom; rolnictwo nasze nie tylko zdołało utrzymać na rynku swoje stanowisko, ale nawet pokryje znaczną część krajowego deficytu. I rezultat ten osiągnięto bynajmniej nie dzięki jakiejś zmianie warunków zewnętrznych, ale własną mocą i własną pracą.“

Dalsze polepszenie bilansu rolniczego kraju jest w prostym stosunku do podniesienia w nim kultury rolnej, a to podniesienie znowu uzależnione jest od wzrostu sił fachowo wykształconych. Dlatego nazwaliśmy faktem bardzo doniosłym założenie wyższej uczelni rolniczej w Królestwie. Wyższe Kursy Rolnicze powstają przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa dzięki staraniom Wydziału szkolnego Centralnego Towarzystwa Rolniczego oraz ofiarności kilku jednostek. A śnać na mocnych oparte muszą być podstawach skoro inicjatorom udało się pozyskać na kierownika tak niepospolitą siłę fachową, jak prof. Pomorski, dotychczasowy dyrektor wyższej szkoły rolniczej w Dublinach, który nie zawahał się tego stanowiska dla Warszawy porzucić.

Zbyteczna prawie podkreślać znaczenie tej szkoły dla kraju. Od lat kilkunastu, od ostatecznego upadku Instytutu agronomicznego w Puławach pozbawieni jesteśmy na miejscu ogniska, w którym młodzi nasi rolnicy kształcićby się mogli. Idą szukać światła wiedzy zagranicą. Wiemy, ile zawdzięczają Wydziałowi rolniczemu na Wszechnicy Jagiellońskiej i w Dublinach. Ale wiemy również, że te studia zagraniczne dla uboższej młodzieży niezawsze są dostępne i nieraz wypada z nich zrezygnować dla bezpośredniej pracy na roli. Wiemy również, że nigdzie praca naukowa

nie jest tak korzystna, jak w tem środowisku właśnie, w którem młody rolnik działalność praktyczną na własnym warsztacie prowadzić będzie; łatwiej wtedy ustrzedz się od zastosowań, nieraz kosztownych a nawet rujnujących, właściwych dla krajów o wyższej kulturze, dla nas zaś jeszcze przedwczesnych. Zadaniem wyższego zakładu krajowego będzie właśnie tych zastosowań regulacja, śledzenie pilne tego, co z ogólnej nauki rolnictwa da się u nas zużytkować i w jakich mianowicie rozmiarach.

Tu i owdzie słyszeć się daje zarzut, że wobec wznagania się drobnej własności w kraju byłyby pożyteczniejsze średnie szkoły rolnicze, niż wyższy instytut, interesom większej własności służący. Zarzut to z gruntu niesłuszny. Instytut nie będzie służył interesom większej własności, lecz interesom wiedzy i kultury. Średnie zaś szkoły rolnicze kształcą raczej oficjalistów różnych stopni, niż podnoszą kulturę gospodarstw drobnych. Dla tych ostatnich najlepszym jest przykład, idący bezpośrednio z dobrego, sąsiedniego warsztatu większego. Wymownie świadczy o tem przykład Poznańskiego i Prus, gdzie właśnie wysoki poziom swoich gospodarstw zawdzięczają drobni rolnicy większym sąsiadom. Brak im czasu na systematyczną naukę fachową; teoretyczną wiedzę szerzą wykłady w kółkach, i u nas już z pożytkiem zapoczątkowane. W klasycznym kraju demokratycznej własności drobnej, w Danii, daleko większy kładą nacisk na kursy kilkodniowe, kilkotygodniowe, kilkomiesięczne, niż na szkoły o kursie paroletnim; i takie kursy organizuje u nas z powodzeniem Centralne Towarzystwo Rolnicze. A usiłowaniam oświaty fachowej brakło właśnie koordynacyi, wierzchołka teoretycznego, którym będą właśnie Wyższe Kursy Rolnicze. Dlatego rzetelne uznanie i rzetelna wdzięczność należy się inicjatorom, twórcom i ofiarodawcom za dokonanie dzieła dobrego, pozwalającego jasnym i spokojnym okiem patrzeć na przyszłość rolniczą tego rolniczego kraju, przez ludność z dziada pradziada rolniczą w przeważnej części zamieszkałego.

*

*

*

Niema chyba społeczeństwa, któreby w takiej mierze — jak polskie w Królestwie — zatraciło świadomość swego prawa. Nie tylko okoliczności zewnętrzne, ale i lenistwo wrodzone popycha

życie nasze w kierunku najmniejszego oporu, czyli wszechpotężnego datku. Obce nam są piękne zasady Ihering'owskiej „walki o prawo“ dla samego prawa, dla szczytnej potrzeby obracania się w wiadomych, ściśle określonych granicach. W życiu codziennem—skarżąc się nieustannie na ograniczenia—stwarzamy ciągle szeregi precedensów, które później przeciw nam i synom naszym zwrócone być mogą. A grzeszymy tu często nieświadomością i dlatego każde usiłowanie rozproszenia jej mroków na najszersze zasługuje spopularyzowanie.

Jakież są prawa języka polskiego w życiu publicznem? Szczupłe są, ale są i są zbyt mało w życiu wyzyskiwane. Korzystając z pracy p. Maryana Krzesimowskiego, ogłoszonej w „Wiadomościach Codziennych,“ zaczniemy od sądów. Obowiązkowość języka rosyjskiego w sądach kraju naszego wypowiedziana jest w art. 464 organizacyi sądowej z r. 1876: „Postępowanie sądowe w instytucjach sądowych Okręgu Warszawskiego odbywa się w języku rosyjskim.“ Od tej ogólnej zasady prawo nieliczne tylko, niestety, czyni wyjątki, zezwalając na używanie w sądach języka polskiego zamiast rosyjskiego lub też równoległe z językiem rosyjskim. Wyjątki te dotyczą: 1) sądów gminnych, 2) protokołów zeznań świadków, 3) protokołów uchwał rady familijnej, 4) aktów rejentalnych, wreszcie 5) podpisów na podaniach do sądów. Wyjątek dla sądów gminnych sformułowany został w uwadze do wyżej przytoczonego już artykułu 464 organizacyi sądowej. Uwaga ta brzmi, jak następuje: „Przy rozpoznawaniu procesów cywilnych i spraw karnych w sądach gminnych, może być, oprócz języka rosyjskiego, dopuszczane używanie i tego języka, którym mówi ludność miejscowa, w tych wypadkach, kiedy strony i uczestniczące w sprawie osoby nie znają języka rosyjskiego. Lecz i w tych wypadkach, na mocy tego (464) artykułu, wyroki, postanowienia i decyzye sądu i wogóle wszelkie akty, przez sąd wydawane, powinny być układane w języku rosyjskim.“

Z artykułu tego możnaby wyprowadzić wniosek, że podania do sądów gminnych mogą być składane w języku polskim. Istnieją wszakże orzeczenia najwyższej instancyi interpretacyjnej, senatu, których mocą muszą być te podania pisane po rosyjsku, jakkolwiek przytoczony artykuł mówi tylko o języku rosyjskim w aktach, od sądu wychodzących. Tak więc prawa języka polskiego ograniczają się do postępowania ustnego oraz do możności składania dokumentów do podania dołączonych bez tłumaczeń na język rosyjski, których to tłumaczeń wymaga prawo w procedurze sądów okręgowych.

Do liczby skromnych ustępstw, uczynionych na rzecz języka polskiego w sądownictwie, zaliczyć należy zapisywanie po polsku zeznań świadków, którzy nie znają języka rosyjskiego. Przepis powyższy wyłożony został w art. 405 ustawy procedury cywilnej: „Do przesłuchania świadka, nie rozumiejącego języka rosyjskiego, wzywa się tłumacza, zeznania zaś świadka zapisują się w obu językach.“ Czy przepisy powyższe ściśle bywają stosowane? Niestety, nie można tego powiedzieć. Często świadek po rosyjsku nie rozumie, zeznanie jego jednak odrazu bywa po rosyjsku spisywane, bez zapisania polskiego tekstu. Każdy jednak, komu chodzi o to, ażeby przez dokładność swojego zeznania przyczynił się do rzeczywistego wyjaśnienia sprawy, powinien stanowczo żądać, w myśl wyraźnie przysługującego mu prawa, ażeby, o ile po rosyjsku nie umie, zeznania jego zapisano po polsku. Podpisanie zaś wyłącznie rosyjskiego protokołu, którego, wskutek nieznamomości języka rosyjskiego, nawet przeczytać nie może, powinien stanowczo odmówić, bo na to mu prawo pozwala. Nie jest wyraźnie przez prawo powiedziane, czy przepis powyższy stosuje się tylko do sądów okręgowych, czy także do sądów pokoju oraz gminnych. Wynikałoby wszakże z art. 80 procedury cywilnej, który brzmi: „jeżeli sędzia pokoju przy rozpoznaniu sprawy napotka jakie trudności, załatwić je powinien na zasadzie przepisów w niniejszej księdze zawartych, mając na względzie szczegółowe przepisy postępowania w sądach ogólnych,“ że cytowany artykuł powinien być i na niższe sądy rozciągnięty.

O radach familijnych mówi art. 1572 ustawy procedury cywilnej: „Na radach familijnych, w których prezydują sędziowie pokoju lub ławnicy, rozprawy mogą się odbywać, w razie nieznamomości języka rosyjskiego ze strony członków, w innym, dostępnym dla nich języku miejscowym; lecz uchwały rad familijnych winny być redagowane w języku rosyjskim, z dołączeniem, jeśli członkowie rady uznają to za konieczne, przekładu postanowienia w tym języku, w którym się odbywały rozprawy.“ Z przytoczonego przepisu wynika, iż na radzie familijnej, odbywającej się czy to w miastach — pod przewodnictwem sędziego pokoju, czy to na wsi — pod przewodnictwem ławnika, każdy, ktokolwiek niedostatecznie włada językiem rosyjskim, może mówić i nad uchwałą rady familijnej naradzać się z innymi członkami po polsku. Następnie może zażądać, ażeby uchwała rady była spisana w dwóch językach, t. j. po rosyjsku i po polsku. O ile uchwała spisana jest w dwóch językach, w takim razie każdy może żądać, ażeby kopia uchwały również w dwóch językach była mu wydana.

Mało kto wie jeszcze, że akty rejentalne mogą być sporządzone w dwóch językach. Art. 249 ustawy notaryalnej brzmi, jak następuje: „Osoby, zeznające akty notaryalne w okręgu sądowym warszawskim, mogą oprócz tekstu rosyjskiego otrzymać przekład tegoż w języku, używanym przez ludność miejscową, pod odpowiedzialnością rejenta za zgodność tłumaczenia, i z warunkiem, iż w każdym razie za oryginał uważany będzie tekst rosyjski.“ Z treści przepisu tego wynika, iż każdy ma prawo domagać się, aby akt urzędowy sporządzony był w języku rosyjskim i polskim. Tymczasem w rzeczywistości przepis ma niewielkie zastosowanie. Tu i owdzie po większych miastach zdarza się, że akty spisywane są w dwóch językach, ale na prowincyi z przepisu tego nikt prawie nie korzysta. A przecież największą liczbę aktów zeznają włościanie, którzy z trudnością mogą zrozumieć nawet polskie brzmienie aktu notaryalnego, z tekstu zaś rosyjskiego nie rozumieją zwykle ani słowa. Obowiązkiem więc rejentów jest tłumaczyć stronom, że mają prawo zażądać spisania aktu w dwóch językach. Wiemy z góry, jaki zarzut nas spotka. Oto sporządzenie aktu w dwóch językach pociąga za sobą zwłokę oraz zwiększenie kosztów. To prawda, ale przecież lepiej jest ponieść drobny wydatek i mieć za to akt, który samemu przeczytać i zrozumieć można. Nie byłoby potem tego, co się często zdarza, iż włościanie zupełnie inaczej treść aktu sobie wyobrażają, aniżeli tę, która rzeczywiście przez nich została podpisana.

Wreszcie, o ile ktoś nie umie podpisać się po rosyjsku, może śmiało na wszelkich podaniach podpisywać się po polsku, i o ile nie może znaleźć na razie nikogo, ktoby taki podpis na podaniu przetłumaczył, może podanie z polskim podpisem do sądu złożyć i nie obawiać się, że sąd z tego powodu podanie odrzuci. Przepis ten stosuje się tak do spraw cywilnych, jak i do karnych.

Akty prywatne, poświadczane przez sędziów pokoju i przez sądy gminne mogą być sporządzane obok tekstu rosyjskiego także i w języku polskim na zasadzie uwagi do art. 220 ustawy notaryalnej, która opiewa: „Wskazane w tym (220) artykule akty prywatne, składane do poświadczenia sędziom pokoju i sądom gminnym, mogą być spisywane, oprócz języka rosyjskiego i w tym języku, którego używa ludność miejscowa, z tym jednakże warunkiem, że w razie wyniknięcia z takiego aktu procesu sądowego i złożenia go do sądu, powinien być złożony wraz z oryginalnym aktem i poświadczony przekład tegoż na język rosyjski.“

Przejdźmy do aktów stanu cywilnego. Początkowo wszystkie te akty były spisywane wyłącznie w języku polskim, aż do

roku 1868. Od tego bowiem roku, na mocy postanowienia Komitetu Urządzającego z dnia 10 (22) listopada 1867 r., nakazano prowadzić akty stanu cywilnego wyłącznie po rosyjsku, zezwalając tylko odnośnie do wyznania katolickiego, ażeby na życzenie otrzymującego wypisy z tych aktów proboszcz dołączał do rosyjskiego tekstu i polski przekład aktu. Wprawdzie Komitet Urządzający nie miał prawa decydować o sposobie prowadzenia aktów stanu cywilnego, był on bowiem instytucją, która miała się zajmować wyłącznie urządzaniem włościan w kraju naszym. Wszelako postanowienie to weszło w życie i od roku 1868 księgi stanu były prowadzone tylko po rosyjsku. Dodać przytem należy, iż rzadko kto korzystał z prawa otrzymywania wypisów w dwóch językach, tak więc nietylko same akta były spisywane, ale i wypisy z nich były wydawane wyłącznie po rosyjsku. Tymczasem istnieje ukaz Senatu Rządzącego z dn. 13 października 1907 roku, ogłoszony w № 250 „Gońca Urzędowego“ z d. 17 (30) listopada t. r., mocą którego „tak księgi stanu cywilnego, jako też i wypisy z nich mogą być prowadzone we wszystkich językach miejscowych z tem jednakże zastrzeżeniem, aby tekst rosyjski uważany był za zasadniczy.“

Co do postępowania w sprawach włościańskich, już stwierdził Komitet ministrów w Najwyżej zatwierdzonym dzienniku swoich posiedzeń, iż „włościanie często wyrażali niezadowolenie, że komisarze włościańscy, nie znając polskiego języka, często nie mogą zrozumieć prawdziwego sensu próśb, z którymi zwraca się do nich ludność miejscowa.“ „W niektórych wypadkach — czytamy dalej — np. przy polubownym podziale serwitutów, sporządzenie ich po rosyjsku nie zupełnie osiąga cel, ponieważ dokumenty te pozostają niezrozumiałymi dla włościan.“ Wobec tego Komitet musiał zwrócić „poważną uwagę na usunięcie niedogodności, wynikających z nieposiadania przez urzędników instytucyj włościańskich języka miejscowego.“ A rezultatem było postanowienie takie: „Nadać ministrowi spraw wewnętrznych prawo wszczać starania względem zamianowania na urzędy w zarządzie włościańskim w guberniach Królestwa Polskiego osób, znających tak rosyjski, jak i polski język, z takim wyrachowaniem, ażeby do dnia 1 stycznia 1910 r. wszystkie wymienione urzędy były obsadzone przez takie osoby.“

Istnieje również postanowienie Komitetu ministrów, które 6 (19) czerwca 1905 r. Najwyżej zatwierdzone i w zbiorze praw ogłoszone zostało (Zbiór praw z r. 1905 № 109), a które brzmi, jak następuje: „Przyznać osobom, które otrzymały kopie decyzyj

komisarzów włościańskich i kopie postanowień gubernialnych komisyj do spraw włościańskich, prawo do otrzymywania, oprócz rosyjskiego tekstu i przekładu na język, którym mówi ludność miejscowa, pod odpowiedzialnością tych urzędów za dokładność tłumaczenia i pod warunkiem, że w każdym razie tekst rosyjski będzie uważany za oryginał.“

Prawo z r. 1864, które zaprowadzało u nas ustrój gminny, nie przewidywało żadnych ograniczeń dla języka polskiego w gminie. Przeciwnie, skutkiem właśnie nie pilnowania praw naszych, skutkiem wielkiego rozdzwieku między dworem i chatą, który cechował okres popowstaniowy i sprawiał, że samorząd gminny był zupełnie pozbawiony inteligentnego nadzoru i kierownictwa, zostały one zatracone i powoli wprowadzono język rosyjski do całej biurowości. Dopiero dnia 19 czerwca 1905 roku zostało Najwyżej zatwierdzone postanowienie Komitetu ministrów, które wprawdzie nie przyznało gminom tego, co im się z prawa należało, ale uwzględniło w znacznej mierze język polski. Postanowienie to, ogłoszone w № 109 Zbioru praw z r. 1905, brzmi jak następuje: „Wyjaśnić, że w prowadzeniu ksiąg i wogóle w biurowości tak w zarządach gminnych, jako też i na zgromadzeniach parafian, wyznających religię rzymsko-katolicką, oraz na zgromadzeniach szkolnych w guberniach Królestwa Polskiego winny być prowadzone w języku rosyjskim wszystkie księgi i dokumenty, które ulegają rewizji osób urzędowych, jak również korespondencya z tymi osobami; lecz równolegle z językiem rosyjskim może być dopuszczone używanie i tego języka, którym mówi ludność miejscowa. Korespondencya wójtów z podwładnymi osobami urzędowymi może się odbywać w języku miejscowym.“

„Z przytoczonego postanowienia — mówi p. Krzesimowski — i z urzędowych doń motywów wynika: Przedewszystkiem, że język rosyjski ma być używany w gminach tylko w tym celu i o tyle, o ile ma on ułatwić osobom urzędowym sprawowanie kontroli. Wszelkie więc księgi, dokumenty, które ulegają kontroli naczelnika powiatu lub komisarza włościańskiego, powinny być pisane w dwóch językach. Prawo nie mówi, które mianowicie księgi i dokumenty ulegają tej kontroli, mogą więc na tem tle wynikać nieporozumienia.

„W celu uniknięcia tych nieporozumień i ścisłego zastosowania się do prawa, najlepiej będzie, jeśli pełnomocnicy gminni wraz z pisarzem i wójtem sprawdzą, jakie mianowicie księgi i protokoły kontroluje, czyli sprawdza, czyta naczelnik powiatu lub inna jaka osoba urzędowa. Takie kontrolowane księgi powinny

być prowadzone w dwóch językach, wszystkie zaś inne, na mocy przytoczonego postanowienia Komitetu ministrów, mogą, a jeśli mogą, to oczywiście powinny być prowadzone tylko po polsku. Bez względu może się odbywać tylko po polsku korespondencya wójta z pełnomocnikami, sołtysami, nauczycielem, wszystkimi mieszkańcami gminy i odwrotnie; również mogą być pisane tylko po polsku te księgi, jak to z sensu prawa wynika, które służą do zarejestrowania czynności, będących czysto wewnętrzną sprawą gminy i nie obchodzących wcale władz administracyjnych, jak np. księga szarwarkowa, podwodowa i t. p. Nadmienić należy, iż uchwały oraz wszelkie czynności zebrań gromadzkich w wioskach i osadach mogą być prowadzone wyłącznie w języku polskim, prawo bowiem mówi wyłącznie o gminach, a więc nie stosuje się ono do gromad, w których powinna obowiązywać dawna ogólna zasada co do polskiego języka w biurowości.

„Te same zasady, które mają zastosowanie do gmin, stosują się również i do zebrań parafialnych i szkolnych. Jeśli więc protokoły takich zebrań władza kontroluje, należy je spisywać w dwóch językach, w przeciwnym razie można je spisywać tylko po polsku.“

Praca, którą powyżej pobieżnie streściliśmy, ukazała się w piśmie, które ręk ludu dochodzi. Podnosi to szczególnie jej znaczenie. Z jednej strony bowiem, prawodawca, czyniąc nieliczne wyjątki dla języków miejscowych, miał na względzie szczególnie warstwy ludowe, jako języka państwowego nieznające, z drugiej zaś procedura prawna jest dla każdego człowieka, a szczególnie nieoświeconego, gąszczem, przez który przedrzeć się trudno, cóż dopiero jeszcze, gdy zaciemniony nieznajomością nie tylko terminów ale i języka, w jakim są redagowane. Pomimo trudności i kosztów, z jakimi połączone jest korzystanie z wyżej przytoczonych przepisów, byłoby pożądanym, aby lud nasz korzystał z nich jaknajszerzej, by uniknąć w ten sposób nieuczciwych po owym gąszczu przewodników, pokątnych doradców i innych wyzyskiwaczy. A że rolą inteligencji wiejskiej jest bezinteresowna ludowi porada, że roli tej często przez nieświadomość spełniać nie może, pragnęliśmy tu prawa języka polskiego znającym je — przypomnieć, innym — uświadomić.

*

*

*

W społeczeństwie polskiem na Litwie mamy do zanotowania fakt z pozoru drobny, a przecież doniosły w następstwach swoich i znamienny co do nastroju opinii. Drugi to fakt podobny na ziemiach polskich z ostatnich kilku miesięcy. Pierwszym — było porozumienie zawarte na Ślązku między wczorajszymi zaciekłymi wrogami, posłami i redaktorami Korfantym i Napieralskim. Obecnie, na Litwie, dwie grupy, reprezentowane przez dwie redakcyje, w dobrze zrozumianym interesie narodowym jednoczą się w wydawaniu wspólnego organu, by tem mocniej uwypuklić zwartość łącznego działania—powiedzmy raczej trwania i wytrwania.

Do działania pole niewielkie. Inne w formach, te same w rzeczy oddziałują prądy zewnętrzne, kto wie, czy nie gorzej. Dużo wody upłynęło w Niemnie, Wilii i Dźwinie od czasu, gdy Katarzyna II, kreując nowe generał-gubernatorstwo litewskie, gwarantowała wszelkie swobody i odrębności—do przedednia dzisiejszego zniesienia generał-gubernatorstwa, bo kresy te już złączone są dostatecznie z centrami państwa. Dużo wody i dużo zmian nastąpiło — żeby wspomnieć rządy Murawjewa. Czyż są te kresy w istocie tak złączone? Urzędowym oświadczeniem przeczą urzędowe akty. Bo sceptycyzmem co do złączenia tchną i ziemstwa dla Litwy i Rusi i nieustanne domagania się języka urzędowego w nabożeństwach dodatkowych, gdy Rosyan-katolików niema tam, a Białorusini lękają się zmiany, jak ognia, gdy po kraju uwijają się oddziały wolontaryuszy „związku nacyonalistycznego,“ a po dworach—dziś, nie przed laty, odbywają się nieustanne rewizye, szukające nici nieistniejącej intrygi polskiej. Mówimy tylko o faktach najjaskrawszych.

Życie trzeba najpierw, potem filozofować. Życie — to znaczy trwanie i przetrwanie, filozofowanie — to rozprawy o różnicach i programach, gdy dziś jeden jedyny tylko życie wysuwa. Inaczej było przed pięciu laty. Powstało jedno pismo—„Kuryer Litewski“—odzwierciadlające dość jaskrawo jeden odłam opinii. Nadzieje były znaczne, tedy i walka o supremację naturalna. Więc przeciwstawił mu się drugi, też jaskrawo—w „Dzienniku Wileńskim.“ W ogólnych zarysach je scharakteryzować — to nazwać pierwszy krajowym, drugi narodowym; pierwszy—oparcia dla polskości szukał przede wszystkim w porozumieniu i wzięciu w ręce interesów wszystkich narodowości, kraj zamieszkujących, drugi widział w niej samej, w tradycjach jej na tych ziemiach dostateczne oparcie. Życie rozwiało złudzenia; obce ludy odtrącały wyciągniętą rękę; nie było też pola ani warunków do żywszej akcyi narodowej polskiej, która roztaczać miała tradycyjne, do-

broczyenne promieniowanie. Życie ścierało ostrzejsze kanty, następowała—jak słusznie zwrócono uwagę—dyfфуzya poglądów różnych, która do fuzyi doprowadziła. Nie do abdykacyi—z żadnej strony, ale do zrozumienia, że w chwili obecnej nie akcentować różnice, lecz cechy wspólne i wspólne zadania obrony należy. Ten wspólny „Kuryer Wileński“ będzie tego wspólnego porozumienia zadatkim i zakładnikiem, tej wspólnej pracy ostoją i placówką. Niechże się rozwija jaknajpomyślniej.

Tylko organizmy żywotne i trwałe mają zdolność przystosowywania się do zmienionych warunków życia. Społeczeństwo polskie na Litwie złożyło tej żywotności dowód. I dowód także pomyślnego postępu myśli realistycznej. A przymiotnika „realistyczna“ nie używamy bynajmniej w znaczeniu określenia politycznego i partyjnego, lecz w znaczeniu określenia kierunku filozoficznego, którego przeciwstawienie nominalizmem się nazywa. Przetłómaczone na język codzienny, znaczy to, że w polskości na Litwie zwyciężyło poczucie „rzeczy“ samej, nie takiego czy innego „miana;“ poświęcono barwy sztandarów dla tem lepszego uratowania treści, której są różnymi wyrazami i symbolami. W tem tkwi przykład i nauka dla innych także dzielnic Polski; tak lubiliśmy i lubimy zawsze walczyć o „miana;“ że czas byłoby zacząć uczyć się skupiać dla „rzeczy.“ Jakkolwiek rachunek całkowity z różniczkowego ród swój wie, przecież jest formą matematyczną wyższą i — trudniejszą. A w matematyce zawarta jest ścisła logika życia.

*

*

*

Jakiś ideolog zwycięskiego stronnictwa politycznego wymyślił niegdyś twierdzenie, że wybory są niezmiernie uświadamiającą szkołą życia politycznego mas. Jak wiele innych liczmanów prawd i ten puszczono w obieg i powtarzano bezkrytycznie a jednostronnie. Daleko bardziej krytycznie, a również jednostronnie możnaby ukuć prawdę przeciwną, że są szkołą znieprawiania mas.

Uosabiają wielkie i małe idee w ludziach, zawsze od nich mniejszych. Wyzwalają niesłychaną ilość potencjalnych w życiu powszednim nienawiści. Na arenę wychodzą najniższe jednostki,

bo te umieją kaptować ludzi i głosy. Stwarzają atmosferę bezwzględnego panowania frazesu i oszczerstwa. Budzą ambicje niesłychane i niczem niekontrolowane. Aby dojść do sławy i zaszczytów w każdej dziedzinie życia trzeba pracy i zasługi; tu los i kiełbasa wyborcza każdemu głupcowi zapewnić mogą miejsce wśród kilkuset najgłośniejszych, pozornie najświetniejszych i najpotężniejszych. Błyskotliwość nęci, a kontroli niema; już Spencer stwierdził, że gdy za waryata ogłoszonoby przeciętnego śmiertelnika, który bez długich, fachowych studyów rwałby się do budowania mostów i leczenia ludzi—każdy uważa się za uzdolnionego znawcę spraw politycznych i powołanego do rządów losami narodu.

Najsmutniejsze refleksye nasuwa przebieg i rezultat ostatnich wyborów galicyjskich. Bójki, wkraczania częste policji i wojska, szarża i salwa, kilkadziesiąt trupów — to obraz przebiegu. A rezultaty? Paru poważnych ludzi usuniętych, kilka tryumfujących osobistości, wyszarzanych w najbrudniejszych, bo finansowych nadużyciach (za jednym takim każą głosować solidarnie przy wyborach ściślejszych w imię zagrożonego interesu narodowego); trudno o większy cynizm i szersze niemoralności.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Na posiedzeniu Komisji Meteorologicznej przy Wydziale III, odbytem w dn. 26 z. m. pod przewodnictwem p. S. Dicksteina, odczytane zostały następujące referaty: P. K. Milde: „O przebiegu ciśnienia i temperatury w Silnicze w okresie dwudziestopięcioletnim (1886—1910)“; — p. Wł. Gorczyński: „O wartościach heliograficznych dla ziem polskich.“

Dn. 1 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III (nauk matematycznych i przyrodniczych), na którym wygłoszono komunikaty następujące: p. Z. Weyberg: „Przyczynek do poznania zasadowych glinokrzemianów wapniowych typu margarytowego, zawierających bromek wapniowy“; — p. Z. Weyberg: „Przyczynek do poznania chemizmu sodalitów siarczanowych“; — p. St. J. Thuggutt: „O alofanoidach“; — p. W. Sierpiński: „O pewnej funkcyi ciągłej z pantachiczną mnogością odcinków stałości“; — p. Wł. Gorczyński: „Pierwsze prace w obserwatorium meteorologicznem pod Grodziskiem.“ Cz. I; — p. J. Sioma (przedstawił p. St. Miklaszewski): „Kaolin i żelaziak brunatny Kadzielnii“; — p. J. Sioma (przedst. p. St. Miklaszewski): „Gliny czerwone wyżyny kieleckiej“; — p. J. Sioma (przedst. p. St. Miklaszewski): „Utwory kaolinowe wyżyny kieleckiej“; — p. C. Łopuski (przedst. p. J. Lewiński): „Fauna kredowa Lubelskiego.“ Cz. II; — p. St. Miklaszewski: „Absorbęca w glebach formacyj starszych“; — p. St. Miklaszewski: „Gleby okolicy Bochni i Wieliczki“; — p. St. Miklaszewski: „Gleby powiatu Mławskiego“; — p. H. Raabe (przedst. p. J. Tur): „Amoebidium parasiticum cienk. Cz. II. Ciałka metachromatyczne.“

Dn. 6 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I, na którym p. Ignacy Chrzanowski wygłosił referat p. t. „Czy Skarga był tolerantem.“ Na pytanie powyższe referent odpowiedział przecząco i wyjaśnił szczegółowo, dlaczego Skarga nie mógł być tolerantem. Idea tolerancji religijnej w XVI w. pły-

nęła bądź z uniwersalnego teizmu, bądź ze sceptycyzmu, bądź z oportunistycznego; Skarga tymczasem nie był ani teistą, ani sceptykiem, ani oportunistą. Wprawdzie zarówno zdrowy rozsądek, jak i prawe serce Skargi domagały się tolerancji, lecz rozum, skrzepowany dogmatem średniowiecznym, oraz dobrowolna ofiara z własnego intelektu, nie pozwalały Skardze uznać głosu zdrowego rozsądku i serca za normę przekonania i postępowania; z drugiej strony jednak zdrowy rozsądek i uczciwe serce sprawiły, że nietolerancja Skargi nigdy nie sięgała tak daleko, jak u Orzechowskiego albo Hozyusza.

Na posiedzeniu Komisji Antropologicznej przy Wydziale II, odbytem w dn. 27 maja r. b., p. K. Stolyhwo wygłosił referat p. t. „W sprawie kształtów goryloidycznych i orangoidycznych,“ illustrowany tablicami i pokazem czaszek. W dyskusji nad referatem brali udział pp.: Ign. Baranowski, E. Bogusławski, E. Majewski i referent. Prócz tego p. Stolyhwo przedstawił zgromadzone w r. b. przez p. Stanisława Senczewicza pomiary i obserwacje antropologiczne nad dziećmi w szkole Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy przy ulicy Czerniakowskiej № 114a.

— Nowy słownik języka polskiego. Od lat kilkunastu wychodzi w Warszawie zeszytami dzieło pomnikowe „Słownik języka polskiego.“ Na czele tego wydawnictwa, popieranego przez kasę imienia Mianowskiego, stali początkowo: ś. p. Jan Karłowicz, prof. Adam Kryński, oraz prof. Władysław Niedźwiedzki. Skutkiem śmierci Karłowicza i wycofania się z redakcji słownika prof. Kryńskiego, kierunek dzieła objął prof. Niedźwiedzki przy pomocy i współdziałaniu prof. Kaz. Króla.

Wydano dotąd 29 zeszytów, które się składają bez mała na pięć tomów (około 1.100 stron dużego formatu każdy). Zeszyt ostatni doprowadzono do wyrazu „rozbaraszkować się.“ Ile jeszcze wyjdzie zeszytów, przewidzieć trudno, prawdopodobnie jednak będzie ich około dziesięciu co najmniej, tak, iż całe to wielkie dzieło obejmie przypuszczalnie około 6—7 dużych tomów.

Nieodzowną i nagłą była potrzeba nowego słownika języka polskiego; wprawdzie posiadamy dwa dawne: B. Lindego, wydany przed stu laty, tudzież „Wileński,“ (z drugiej połowy XIX w.), oba te jednak dzieła są już dziś całkowicie wyczerpane i są rzadkością bibliograficzną; dawne przytem słowniki zgoła nie odpowiadają wymaganiom dzisiejszym, wobec ciągłego rozwoju języka polskiego i wzbogacenia go mnóstwem nowych wyrazów, których oczywiście nie znali dawni słownikarze.

Jak dalece będzie górował nowy nasz słownik nad dwoma poprzednimi, widać najlepiej z obliczenia następującego: słownik Lindego zawiera łącznie około 51,000 wyrazów, słownik wileński około 100,000. Nowy, wydawany obecnie, obejmie przypuszczalnie przeszło 300,000 wyrazów, w liczbie których znajdzie się i nieco tak zw. gwarowych, które ś. p. Karłowicz gorliwie zbierał i ujął w osobny „Słownik gwar polskich.“ Nowy „Słownik“ będzie dziełem pomnikowym i rzecz niewątpliwa—będzie służył wielu pokoleniom, ku popra-

wie i nauce języka ojczystego. Dzieło to odznaczyła i zaleciła krakowska Akademia Umiejętności.

— KONKURS „PRĄDU“ NA KATECHIZM. Redakcja „Prądu,” pragnąc przyczynić się do uczczenia roku jubileuszowego — 1912 ks. Piotra Skargi, „który był w dziejach naszych przepotężnym natchnionym rzecznikiem urobienia społecznego ducha obywatelskiego, wypływającego z zasad religii,” ogłosiła konkurs na katechizm elementarny religii rzymsko-katolickiej z jedną nagrodą niepodzielną w kwocie 1,000 rb.

Wykład ma być podzielony na rozdziały, stanowiące odrębną całość i składające się z trzech następujących części: I. Wyjaśnienie treści danego rozdziału w sposób zrozumiały dla umysłu dziecka. Część ta ma naprowadzać ucznia na kwestye zasadnicze, sformułowane ściśle w części trzeciej. Tu należy wskazać wzory z życia Chrystusa, czerpiąc przykłady objaśniające ze środowiska dobrze znanego tym, których ma się pouczyć. II. Systematyczny zbiór pytań, które zadawane kolejno dziecku, zmuszą je do zastanowienia się nad zagadnieniami danego rodzaju i do wyrobienia swego poglądu. III. Zawierać ma sformułowanie zasad i dogmatów wiary, poparte w miarę potrzeby cytatami z Pisma św. Całość obejmować ma 4 arkusze druku zwykłej szesnastki. Termin ostateczny nadsyłania prac 1 czerwca 1912 r. Adres: Redakcja „Prądu,” Warszawa, Warecka 10.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Czerwiec, 1911. Władysław Studnicki: Sprawa polska; — Krytyka: Balzer Oswald: Chronologia najstarszych kształtów wsi słowiańskiej i polskiej; — Berent Waclaw: Ozimina; — Brodzińskiego Kazimierza Nieznane poczeye; — Czaplicka Marya: Olek Niedziela; — Demel Bolesław, D-r: Licznany mennicze zwane podskarbiówkami; — Deotymy Pamiętnik; — Duilhé de Saint Projet: Apologia naukowa wiary chrześcijańskiej; — Dzierżyński Ignacy: Podręcznik szkolny do oznaczania pospolitszych roślin wiosennych; — af Geijerstam Gustaw: Moi chłopcy; — Górski Wojciech: Reformy szkolne; — Grabowski Tadeusz Stanisław: Poprzez Słowiańszczyznę; — Jaworski Franciszek: Lwów stary i wczorajszy; — Kaczmarczyk Kazimierz, D-r: Ciężary ludności wiejskiej i miejskiej na prawie niemieckim w Polsce XIII i XIV w.; — Korczak Janusz: Józki, Jaśki i Franki; — Kraushar Aleksander: Sprawa studenta Benedykta Kalinowskiego; — Kutrzeba Stanisław, D-r: Ordocoronandi regis Poloniae; — Leszczyński Edward: Konik Zwierzyniecki; — Makłowicz Józef, Ks.: Przykłady ojezyste do nauki katechizmu; — Miłaszewski Stanisław: Gest wewnętrzny; — Minkiewicz Romuald: Nad morzem moim, księga tęsknoty; — Morzycka F.: Dzwon na wysokiej wieży; — Mrok Wiesław: Podmiotowość a przedmiotowość; — Natanson Michał: O uprawie buraków cukrowych; — Pownicki Tytus: Dochód z owiec; — Rogron Józef Atanazy: Wieczne nowiny; — Selmer Agot Gjems: Nad dalekim, cichym fiordem; — Stasiak Ludwik: O narodowości Wita Stwosza; — Tao, czyli Droga Niebios, czyli

Doktryna Najwyższego Rozumu;—Tomczak Kazimierz Ks.: Modernizm a protestantyzm liberalny;—Wais Kazimierz, Ks. D-r: W obronie scholastyki;—Wasilewski Zygmunt: O sztuce i człowieku wiecznym;—Weychert-Szymanowski Wład. i Bruner Wanda: Świat czarów;—Winnicki Władysław: Zasady wymowy języka angielskiego;—Zeromski Stefan: Sulkowski, tragedia;—Sprostowanie;—Pod prasą;—Kronika;—Konkurs;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ADAMOWICZ BOGUSŁAW: Tajemnica długiego i krótkiego życia. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

BIRMY DRÓBECKI STANISŁAW: Fartuszek. Warszawa (1911). E. Wende i S-ka.

BONIECKI: Herbarz polski. Tom XIV. Zeszyt II. Od „Latoszyńscy“ do „Lenczewscy.“

BRZOWSKI STANISŁAW: Dębina. Powieść. Część pierwsza: Sam wśród ludzi. Lwów, 1911. Księgarnia polska B. Połonieckiego.

CHLEBOWSKI BRONISŁAW: Warszawa za Książąt Mazowieckich. Warszawa, 1911. Nakładem Towarzystwa Miłośników historii.

DE WYZYWA TEODOR: Gwalbert czyli opowiadania młodego człowieka, przekład Kazimierza Woźnickiego z przedmową Wincentego Kosiakiewicza. Część I i II. Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł wyborowych.“

FICHTE JAN BOGUMIŁ: Powołanie człowieka. Przełożył i wstępem poprzedził Adam Zieleńczyk. Z portretem J. B. Fichtego. Lwów, 1911. Wydawnictwo „Symposion.“ Księgarnia polska B. Połonieckiego.

GAWROŃSKI RAWITA FRANCISZEK: Andrzej Towiański i Jan Andrzej Ram. Kartki z historii mistycyzmu religijnego w Polsce w pierwszej połowie XIX wieku. Lwów, 1911, nakładem autora.

— Polityka pruska wobec Rosyi i Austrii. Odbitka z „Przeglądu Narodowego.“ Warszawa, 1911.

GODLEWSKI MICHAŁ, KS. DR. PROF.: Documenta ad historiam Seminarii principalis vilnensis pertinentia 1803—1822. Petropoli, 1911.

LISTY MIŁOSNE MARIANNY D'ALCOFORADO. Tłómaczenie i wstęp Stanisława Przybyszewskiego. Lwów, 1911. Nakładem księgarni J. Maniszewskiego.

LOTI PIOTR: Nokturn. Przełożył z francuskiego Józef Smrek. Kraków, 1911. G. Gebethner i S-ka.

MISCELLANEA POLSKIE. Katalog № 11. Wydawnictwo Antykwaryatu polskiego Hieronima Wildera i S-ki. Warszawa, 1911.

NASZE ŻYCIE. (Jednodniówka). Petersburg, 10 grudnia 1910 r.

OPIEKUNOWIE WIDOWCA. Powieść z życia wiejskiego. Przez autora „Kłopotów starego komendanta.“ Warszawa, 1911. Wydawnictwo „Biesiady literackiej.“

PAMIĄTKI STAREJ WARSZAWY, zebrane na wystawie urządzonej staraniem T. O. N. Z. P. w maju i czerwcu 1911 roku. Warszawa, 1911. Wydawnictwo Tow. opieki nad zabytkami przeszłości.

PAMIĘTNIKI KS. MARYI WOŁKOŃSKIEJ. Z wstępem i przypisami wydawcy księcia Michała Wołkońskiego. Z II poprawionego wydania przełożyła J. B. „Biblioteka dzieł wyborowych.“ Warszawa, 1911.

PASZKOWSKI EDWARD: Rozbitki. Z kroniki kresowej. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

POLENLIEDER Deutscher Dichter Gesammelt und herausgegeben von St. Leonhard. I Band. Kraków, 1911. Podgórze, skład I. Piaseckiego.

PÓLKOZIC-PLICHTA STANISŁAW: Pamiętnik z czasów 1863—1872. Opowiadanie. Warszawa—Kraków, 1911. Gebethner i Wolff.

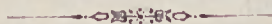
PUŁASKI KAZIMIERZ: Kronika polskich rodów szlacheckich Podola, Wołynia i Ukrainy. Monografie i wzmianki. Tom I. Nakładem i drukiem Feliksa Westa w Brodach, 1911. Główny skład na Królestwo: E. Wende i Spółka, Warszawa.

RADZISZEWSKI IDZI, ks. Doktor Filozofii, Magister św. Teologii, Regens seminarium Duchownego w Włocławku: Geneza Religii w świetle Nauki i Filozofii. Włocławek, 1911. Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

SACHER-MASOCH: Groźne kobiety. Tom I—Sfinksy. Tom II—Silne serca. Lwów, b. r. Wydawnictwo „Kultura i sztuka.“

STYL ZAKOPIAŃSKI. Zeszyt II.—Ciesielstwo. Tekst Stanisława Witkiewicza. Lwów, 1911. Wydawnictwo H. Altenberga.

WAZOW IWAN: W walce o wolność (Świętosław Terter—Walenrod Bułgarij). Powieść historyczna z końca XIII wieku. Przekład z bułgarskiego za zezwoleniem autora i przedmowa Józefy z Zagórskich Anc. Część I. Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł wyborowych.“



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Wydawnictwo jubileuszowe.

Prenumeratę na ilustrowany

WYBÓR NOWEL

Wiktora Gomułickiego

(obacz odezwę w zeszycie czerwcowym) przyjmuje redakcja *Tygodnika Ilustrowanego* na warunkach następujących:

Cena egzemplarza zwyczajnego, w wydaniu wytwornem, z ilustracyami najpierwszych polskich artystów — **rb. 3**, z przesyłką pocztową **rb. 3 kop. 50**.

Na papierze czerpanym—**rb. 10**, z przesyłką pocztową **rb. 10 kop. 50**. (Egzemplarzy takich, opatrzonych kolejnymi numerami, będzie 50).

Na papierze najwykwintniejszym, holenderskim lub japońskim, z autografem autora i wydrukowanem nazwiskiem prenumeratora — **rb. 25**, z przesyłką pocztową o **60 kop.** drożej. (Egzemplarzy takich, oznaczonych kolejnymi literami alfabetu, będzie 10).

Książka wyjdzie w miesiącach zimowych r. b. Po wyjściu cena zostanie podniesiona.

Nazwiska prenumeratorów będą ogłoszone w *Tygodniku Ilustrowanym*. Całkowita ich lista zostanie wydrukowana przy „Wyborze nowel.“

„BIBLIOTEKA WARSZAWSKA“

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym,

rozpoczyna z rokiem 1911-ym

siedemdziesiąty pierwszy rok swojej działalności naukowo-literackiej
i wychodzi

w zeszytach najmniej dwunasto-arkuszowych.

PROGRAM „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych
- II. **Historya.** Dzieje powszechne i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.—
Przegląd literatury belletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne, oceny dzieł sztuki.**
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym.
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości naukowe i bibliograficzne.**

WARUNKI PRENUMERATY.

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego:

Rocznie rb. 10 kop. —

Półrocznie „ 5 „ —

W Warszawie zaś:

Rocznie rb. 9 kop. —

Półrocznie „ 4 „ 50

Kwartalnie „ 2 „ 25

Cena pojedynczego zeszytu rb. 1.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do *Administracji „Biblioteki Warszawskiej,“ ulica Krakowskie Przedmieście Nr. 5*, gdyż to zapewnia najlepiej akuratną ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Oplata za ogłoszenia w „BIBLIOTECE WARSZAWSKIEJ“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“ rubli 5. Za ogłoszenie, zapelniające pół stronicy, rubli 3, i za ogłoszenie, zapelniające 1/4 formatu, rubli 2.